

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LISTOPAD 2014/5

www.magazynhisteria.pl

GRABIŃSKI I LĘK

ELIZA KRZYŃSKA-NAWROCKA

GOŚĆ SPECJALNY:

SYLWIA BŁACH

DEZORIENT EKSPRES | DUSZE W PUDEŁKU

NATURA ŚMIERCI | PARASOLKA

PIEKŁO, KTÓRE ZAMARZEŁO | SŁODKICH SNÓW

SMAKOSZ | STRACH | ZAPACH KAMIENIA

ZBRODNIA ERICHA KNOTHEGO

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
DEZORIENT EKSPRES	Katarzyna Lewcun	5
DUSZE W PUDEŁKU	Sylwia Błach	21
NATURA ŚMIERCI	Kosma Woźniarski	27
PARASOLKA	Sandra Gatt Osińska	40
PIEKŁO, KTÓRE ZAMARZŁO	Edward Horsztyński	48
SŁODKICH SNÓW	Jagoda Okuniewicz	62
SMAKOSZ	Przemysław Kyrzcz	70
STRACH	Robert Mikłosz	82
ZAPACH KAMIENIA	Agnieszka Kwiatkowska	99
ZBRODNIA ERICHA KNOTHEGO	Przemysław Karbowski	104
Grabiński i lęk	Eliza Krzyńska-Nawrocka	117

Redakcja: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk

Ilustracje: Roman Panasiuk, Marcin Czarnecki

Korekta: Dagmara Adwentowska

email: magazynhisteria@gmail.com

Witajcie w piątym, a zarazem ostatnim numerze „Histerii”! Spokojnie, oczywiście chodzi o ostatni numer w tym roku, gdyż w przyszłym również zamierzamy Was nieco postraszyć.

Co robią tory na okładce? Kilka dni temu obchodziliśmy 78. rocznicę śmierci polskiego mistrza grozy – Stefana Grabińskiego, twórcy horroru kolejowego. Z tej okazji zorganizowaliśmy konkurs literacki „Ślepy Tor”, będący swoistym hołdem dla pisarza. Dwa opowiadania (tekst zwycięski i wyróżniony) możecie ocenić na kolejnych stronach niniejszego numeru.

Grabiński to jednak nie tylko opuszczone dworce czy nawiedzone pociągi. Przekonacie się o tym, czytając artykuł „Grabiński i lęk”, autorstwa dr Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej.

Do każdego numeru zapraszamy pisarzy znanych w świecie polskiej grozy. Tym razem mamy zaszczyt gościć na naszych łamach Sylwię Błach. W natłoku innych zajęć, udało Jej się znaleźć czas, by napisać „Dusze w pudełku”. Opowiadanie jest krótkie, bez wątków wampirycznych, ale zawiera sporą dawkę histerii.

Tym razem możemy pochwalić się parytetem. Liczba tekstów nadesłanych przez panie równa się liczbie tych nadesłanych przez panów. Warto zauważyć również, że spośród wszystkich autorów, aż ośmiu publikuje u nas po raz pierwszy.

Zanim zasiądziecie do lektury dziesięciu histerycznych opowiadań, polecamy „Wyznania Histeryka”, czyli wywiad z autorem najlepszego tekstu poprzedniego numeru. Pan Przemysław Karbowski zwyciężył w głosowaniu po raz drugi z rzędu.

Życzymy strasznej lektury na długie jesienne wieczory,
Histeryczna Redakcja



WYZNANIA HISTERYKA



Przemysław
Karbowski

Wolę Czytelników przymierzam się właśnie do etatu Histeryka. Za głosy bardzo dziękuję. Od września nie stałem się lepszy, mądrzejszy ani ładniejszy, więc jeśli ktoś dopuścił się karygodnego niedopatrzenia i nie zapoznał się jeszcze z IV numerem „Histerii”, niniejszym doń odsyłam. Miałem okazję się w nim przedstawić.

Pozdrawiam Czytelników

Zapisałeś się w historii naszego magazynu, zdobywając tytuł Histeryka drugi raz z rzędu. Jakie to uczucie?

Odpowiem jak Pat Harrigan w „Dzikiem bandzie” Peckinpaha: „dobre...”.

Pierwsze zwycięstwo dała Ci „Pamiętka z tuberkulozy”. Drugie – „Oratorium”. Które opowiadanie cenisz sobie bardziej?

Wszystkie swoje dzieci wypadałoby kochać i cenić jednakowo, niezależnie od tego, czy są brzydkie, czy ładne (śmiech). Dodam tylko, że o ile „Pamiętkę...” wygrzebałem z szuflady, jak tylko o istnieniu „Histerii” się dowiedziałem, o tyle „Oratorium” było napisane specjalnie z myślą o rzeczonym magazynie.

Jaka muzyka skłoniłaby Ciebie do morderstwa?

Hm, po pierwsze, bohater „Oratorium” nie jest moim alter ego. Po drugie, interpretacja, jakoby ów bohater zabijał pod wpływem muzyki, jest jedną z wielu i z autorską akurat się nie pokrywa (śmiech). Może on po prostu tylko tak się tłumaczy? Muzyka nie budzi we mnie morderczych skłonności. Chociaż jak słyszę ten nieszczęsny „polski rock”, którym katowano mnie w latach 80-tych... Kto wie?

Jedna z recenzentek napisała, że chętnie przeczytałaby Twoją książkę. Czy masz w planach wydanie zbioru opowiadań lub powieści?

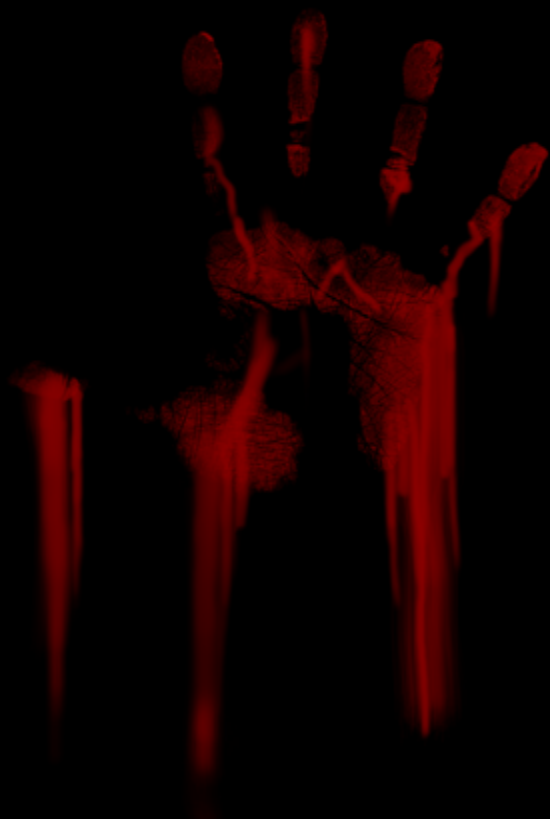
Plany musiałyby mieć jakieś wydawnictwo. Mam powieść, którą będę proponował wydawcom. Jest pewien szkopuł, to nie jest powieść grozy... Krótsze formy pojawiają się tu i ówdzie, jak dobrze pójdzie, na jesieni. Pech chciał, też z literaturą grozy niemające nic wspólnego.

Co sądzisz o sluchowisku na podstawie „Oratorium”, zrobionym przez Technienie Grozy?

Inicjatywa ze wszech miar ciekawa i miłe wyróżnienie, zwłaszcza że w temacie sluchowisk czy audiobooków nie mam żadnego rozeznania. Najciekawsze było dla mnie takie zaakcentowanie przez lektora pewnych fraz, na które nigdy bym nie wpadł, czytając na głos osobiście.

Które opowiadanie innego autora z IV numeru „Histerii” podobalo Ci się najbardziej?

„Mali powstańcy” Agnieszki Kwiatkowskiej i „Zapisane” Piotra Borowca. Mam nadzieję, że jeszcze nie raz będziemy sąsiadami na łamach nie tylko „Histerii”. Amen.



rys. Roman Panasiuk



DEZORIENT EKSPRES

Katarzyna Lewcun

Prolog

- Musimy powiedzieć ludziom.
- Nie możemy! Oni... ja tego nie zrobię!
- Nie pojmujesz. Ludzie muszą mieć choćby szansę.
- Szansę, żeby... o Boże! To znaczy... czyli... A my? O Chryste!
- Tak bym ci radził. Ja muszę zostać. No już, idź.

Pociąg pędził.

Pierwszej stacji nie będzie

Młoda, śliczna dziewczyna patrzyła przez okno pociągu. Naprzeciwko siedział chłopak, zdjął buty

i trzymał stopy oparte o jej kolana. Jego powierzchowność przywodziła na myśl jedno słowo: czekolada. Był smagły, miał ciemne włosy i duże brązowe oczy. Przeżywała go żartobliwie Pocahontas albo Sarenka. Nie znosił tego. Miał kompleksy, uważał, że wygląda dziecinnie, niemęsko. Postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że są świeżo zakochani, w rzeczywistości spotykali się od ponad dwóch lat. Para jak z żurnala... a jednak nie byli szczęśliwi. Anna chorowała. Wodząc wzrokiem za umykającym za szybą krajobrazem, dumiała o przyszłości. Miała rozpaczliwą nadzieję na odmianę. Tego dnia obroniła pracę licencjacką i skończyła wreszcie znieawidzone studia. Zastanawiała się, jak udało jej się tego dokonać... Człowiek potrafi najczęściej znieść tyle, ile musi. Nauczyła się trudnej sztuki kompromisu z rzeczywistością – dostosowywała się do wymagań, znosiła w milczeniu samotność i niepewność wśród obojętnych rówieśników. Bo potem mogła odreagować – miała grono przyjaciół, którzy ją lubili, rodzinę, która starała się wspierać (po swojemu, specyficznie, czasem denerwująco) i przede wszystkim miała Mateusza – tę swoją trudną, ale prawdziwą Miłość. Często się upijała i często robiła... to. Chuchnęła na szybę. Na zaporowanej powierzchni narysowała palcem przerażoną twarz.

Chłopak czytał gazetę. Był inteligentny, wrażliwy i nerwowy. Najczęściej wesoły i energiczny, czasem miewał napady marudzenia, których nie znosiła. Zastanawiała się, czy połączył ich ten wewnętrzny niepokój, czy tylko zwykły przypadek. Uważała, że tak naprawdę jej nie zna i nie rozumie i czasem miała o to ogromny żal... a czasem winiła siebie.

Turkot kół pociągu uspokajał. Usypiał. Pasażerowie jechali nieświadomi celu.

Ewa chodziła po korytarzu, kołysząc na rękach córkę. Mała była tego dnia wyjątkowo marudna, co chwila popłakiwała, kwękała. Ewę bolała głowa. Podróż z niemowlęciem to koszmar. *Tak tu niewygodnie. I brudno! Pełno zarazków, od samego wdychania powietrza kruszynka gotowa dostać biegunki.* Wracaly od świeżo upieczonej babci, która po raz pierwszy widziała wnuczkę. *Ciekawe, rozważała Ewa, jakim perfidnym wynalazkiem jest instynkt macierzyński.* Dziecko zjawilo się nie w porę. Jej mąż zarabia niewiele (obiecuje, że to się zmieni), a ona przez ciężę oblała maturę (przynajmniej tak się usprawiedliwia). Trzeba będzie liczyć na pomoc niebogatych rodziców. Ogólnie miazga, a przecież jest taka szczęśliwa. Nie martwi się o przyszłość. Ma takie piękne, cudowne dziecko! Mała Maja popatrzyła na matkę wymownie, po czym zwymiotowała jej na bluzkę. Ewa zaklęła.

Rodzina Brusznickich posilała się. Jak to jest, że dzieci zawsze błyskawicznie głodnieją w podróży? Pani Wiola rozdawała swoim pociechom kanapki z szynką. Póki co siedziały spokojnie i pracowały szczękami. Potem zapewne jedenastoletni Łukasz zacznie dokuczać starszej siostrze, a ta w którymś momencie nie wytrzyma i go stłucze. Najmłodszy, Łodzio, będzie jak zwykle rozkoszny i grzeczny (nie licząc tego, że powyciera sobą kurze z podłogi, przytrzaśnie sobie palec

drzwiami, etc.,etc.). Familijna rutyna. A Franek obiera jajko ugotowane na twardo i gapi się bezmyślnie w okno. No tak, wie, że żona sprawuje nad wszystkim nadzór. *To dlatego, że w naszym związku ja jestem ta mądrzejsza*, pocieszyła się Wioletta.

Marcin miał kolejny świetny pomysł na powieść. Ścisnął w dłoniach zeszyt z zapisanymi dwiema stronami. Dlaczego słowa nie chciały spływać na papier? *Bo jesteś beztalenciem. Nigdy nie będziesz pisarzem!* Obracał w głowie te gniewne myśli z masochistyczną zajadłością. Ale nie chciał w nie wierzyć. W szkole zawsze mówili mu, że świetnie pisze. Skoro miał dobry styl i masę pomysłów, skąd ta blokada? Jakby gigantyczna trema. Nie rób niczego, ze strachu przed porażką! Zniechęcony wsunął brulion do plecaka. Przypatrywał się współpasażerom. *Ale gruba baba*, skonstatował ze złośliwą radością. Co można robić w przegrzanym pociągu? Zaczął bez przekonania przerzucać strony gazety. Po chwili odpłynął w marzenia. *Kiedy już napiszę tę książkę... Pieniądze, wywiady, uznanie krytyków, nagroda Nike... Nobel... a czemuż by nie Nobel?* Głowa opadła mu na ramię, zasnął.

Pani Krysi było gorąco. Osoby puszyste zawsze gorzej znoszą upał. Westchnęła ciężko z głębi obfitej piersi. Czy jej się zdawało, czy ten siedzący naprzeciwko szczypiorkowaty chłopaczek faktycznie popatrzył na nią z dezaprobatą? Może jest przewrażliwiona? Z drugiej strony, jak inaczej mógłby na nią popatrzeć? Czuła się staro, staro i przeraźliwie grubo. Pięćdziesięcioletnia klucha. Kiepska trwała, tanie ciuchy. W dodatku pracuje jako księgowa! Nawet to lubi, no i zawsze uważała, że ma niezły mózg... Ale musi przyznać, że jej zawód nikomu nie wydaje się interesujący. Tak jak ona sama. I cóż z tego, że jest świetną gospodynią? W domu zawsze czyściutko, schludnie. Kto to docenia? Jej gulasz to istne niebo w gębie, a gołąbki... Przełknęła ślinę, zgłodniała (po raz tysięczny tego dnia). Wyciągnęła z torby oponki własnej roboty i zaczęła pałaszować. Pochłaniała właśnie piątą, kiedy napotkała kłujący wzrok tego smarkacza. Uśmiechał się sarkastycznie. Że też musiał się obudzić! Chciała się zezłościć na jego bezczelność, ale tylko się zawstydziła własnego obżarstwa, zaczerwieniła i, upokorzona, wyszła do toalety. Była tak wzburzona, że idąc korytarzem nawet nie zauważyła, że pociąg właśnie mija stację, na której miała wysiadać. W pełnym pędzie...

Niektórzy pasażerowie przysypiali. Gorąc, kurz i duchota – oto odwieczni towarzysze letnich podróży. W pociągu jechała nieprzebrana masa ludzi. Czytających, rozmawiających, zagapionych w krajobraz za szybami. I kompletnie odciętych, schowanych w swoich odtwarzaczach mp3, grach w telefonach komórkowych. Niektóre kobiety dumwały, czy nie zmienić długości włosów, inne rozmyślały o remoncie mieszkań, jeszcze inne wciąż i wciąż na nowo rozpamiętywały problemy w pracy. Dwóch robotników wracało z saksów w Niemczech do żon stęsknionych ich mocnych ramion i kieszeni wypchanych euro. Popijali piwo, komentując ponuro stan polskiej polityki. W naturalny sposób nawiązywały się przelotne znajomości.

Śliczna dziewczyna oprócz elfickiej urody, świeżo zdobytego wykształcenia i przystojnego chłopaka miała też swój sekret. Wcale nie romantyczny. Żyła z chorobą psychiczną, zwaną fachowo „zespołem kompulsywnego objadania się”. To taka bulimia, tyle że bez rzygania. Anna była w jej okowach już od czasów szkoły podstawowej i w głębi serca uważała ją za nieodłączną część siebie. Nie potrafiła wyobrazić sobie, co by robiła, jak myślała, jak odczuwała, czego pragnęła, gdyby była wolna od tego brzemienia. To już chyba nie byłaby ona... Mateusz zarzucał jej czasem, że nie chce naprawdę wyzdrowieć. A przecież chodziła na terapię! Głównie z jego powodu. Leczenie nie przynosiło jej zdaniem efektów. Owszem, przeanalizowała wraz z terapeutką całe swoje dzieciństwo, wywlekając na światło dzienne niemiłe epizody. Zdiagnozowały razem zakompleksienie, nieśmiałość, niepewność i zbyt przywiązanie do rodziców. Ale pani Edyta – psycholog, nie wiedziała, że mała Ania, mimo że tak wybrakowana, jest też bardzo bystra, ma potężnie rozwiniętą inteligencję emocjonalną i przeczytała setki książek z dziedziny psychiatrii i psychologii. I sama doszła duuuużo wcześniej do tego, co „odkryły” na wspólnych sesjach. Wiedziała, kiedy i dlaczego miewa napady. Rozumiała innych ludzi (była dla koleżanek taką etatową przyjaciółką od wysłuchiwania zwierzeń) i rozumiała też samą siebie... ale to nic nie pomagało! Nie potrafiła okiełznać tego wewnętrznego wroga. Ataki jedzeniowe rozładowywały w niej napięcie, które inaczej mogłoby doprowadzić do kompletnej rozsypki. Pozwalały na chwilę odpuścić. Dawały ukojenie i zapomnienie. W zamian zabierały wiele. Te wszystkie wieczory, kiedy Bambi nie miał prawa jej zobaczyć, mimo że strasznie go potrzebowała... Kiedy ulegała słabości, czuła się tak zła, brzydka i bezwartościowa. Te wszystkie zajęcia, które opuściła na uczelni i te, których opuścić nie mogła, więc szła stawiać czoło światu z opuchniętą, obrzmiałą twarzą...

Trzy ostatnie przedziały zajmowała smarkata – właściwa i „przeterminowana” młodzież wracająca z Woodstocku. Większość piła i bawiła się (trudno wyhamować tak od razu), część spała, kilkoro było już tak wykończonych, że siedzieli, patrząc tępo przekrwionymi oczami. Dinka i Etam całowali się zachłannie. Dobrali się jak w korcu maku. Byli tak zbuntowani i niekonwencjonalni, jak to tylko możliwe. Szokować i prowokować, to była ich dewiza, sens, cel i treść życia. Filozofia dobra jak każda inna. Oboje już dawno przekroczyli trzydziestkę, ale patrząc na ich zniszczone, szare twarze można by im dać i pięćdziesiątkę. Dina miała na sobie tylko potarganą bieliznę nie pierwszej świeżości. Uwiędłe ciało zdobił wzór sińców – pamiątki po szalonym pogo pod sceną. Etam zaledwie kwadrans wcześniej wymalował sprejem niecenzuralne hasła na ścianach. Trochę mu się tęskniło do więzienia, gdzie spędził najpiękniejsze miesiące swojego życia. Może tak dobrze wspominał tamten czas, bo był wtedy młody? Może dlatego, że obecnie cholernie się nudził i potrzebował jakiejś odmiany? A może dlatego, że w pace poznał cierpki smak miłości homoseksualnej? Ostatnio jego punkowa kocica jakoś nie pobudzała zmysłów... ale kochał ją i to musiało wystarczyć. Na festiwalu „adoptowali” sobie dziecko – szesnastolatka, który uciekł

z domu. Krążył po polu namiotowym narąbany jak kilo drzewa, powtarzając w kółko: „Jestem na Woodstocku, jestem na na na Woodstocku, jestem na Woodstocku pierwszy raz aaa... pierwszy raz pamięta się całe życie!”. Przygarnęli go do swojego namiotu, żeby nie spotkało go coś niemiłego... taki dzieciuch... Etam wiedział, że reaguje na obecność tamtego ożywieniem o wyrażnie erotycznym zabarwieniu... ale wiedział też, że jest dobrym człowiekiem i nigdy, nigdy nie zrani, nie przestraszy ani nie napęli obrzydzeniem niewinnej istoty.

Pociąg pędził.

Dinka myślała o miłości, związkach i seksie. Zastanawiała się, czy jako dojrzała kobieta nie powinna mieć lepszego rozeznania w tym, co się z nią dzieje.

Etam położył pieszczotliwie rękę na jej głowie.

– Odwal się – mruknęła machinalnie – muszę się pomyśleć poważnie.

Pocałował ją w czoło i odsunął się taktownie. Dinka popijała jabcoka i mamrotała pod nosem. A jej wewnętrzny monolog wyglądał tak:

Po pierwsze: seks. Ja wcale nie lubię seksu. Kiedyś ubóstwiałam całowanie się. Dlaczego teraz nie? Nigdy, przenigdy nie miałam orgazmu... no to znaczy z kimś drugim. Czy ja jestem nienormalna, czy ja jestem oziębła? Ach, jak mogłam zapomnieć... przecież miałam raz orgazm. To było tak dawno... Zrobiłam wtedy test i wyszło, że jestem w ciąży. Byłam tak kurewsko szczęśliwa! Niby czemu, co ja bym mogła swojemu dziecku dać dobrego? Cały dzień śpiewałam i czekałam, aż Etam wróci. Chciałam mu to oznajmić tuż po miłosnym akcie, tak by było romantycznie. No i coś się ze mną stało, miałam w łóżku taki odjazd... A co on na wielką nowinę? Zaklął, przytulił mnie i oznajmił, żebym się nie martwiła. To chyba jedyny raz był, że mnie zranił. I nawet w sumie nie chciał przecież... A ginekolog, do którego poszłam, rozwiął nadzieję, ot tak, zniszczył wizję, jakie miałam w marzeniach, te o ślicznym niemowlaku, laluni maleńkiej, niebieskookiej... powiedział, że test się omylił. Że jestem bezpłodna jak aligator na puszczy, a brak okresu to z niedożywienia. Jak on mógł do mnie tak? No i co, z tego wychodzi, że pieprzenie jest najlepsze jak właśnie nie jest tylko pieprzeniem, jak temu towarzyszą inne okoliczności. No to ja nie rozumiem, bo kocham tego mojego starego durnia bardziej niż na to zasługuje, ale to się na nasze pożycie intymne nie przekłada. Ale powinnam się cieszyć, że ze mną jest, mimo że go nie zaspokajam tak jak powinnam, z moim wyglądem już nikogo lepszego nigdy nie znajdę. I wcale bym nie chciała! W ogóle nie wyobrażam sobie bez niego życia!

Marcin obudził się z krótkiej drzemki. Przyśnił mu się pomysł! Nigdy wcześniej tak nie było. Takie „nocne objawienie” (choć był środek dnia) musi zwiastować przełom i sukces! Momentalnie zamienił zmaltretowanie własną nieudolnością na furję twórczego zapału. Bez żalu zostawił ledwo co rozpoczętą historię Lolity. Nie przypominało to porzucenia dziecka – raczej tylko wzięcie przez kobietę „tabletki po” – w końcu przecież nie wiadomo, czy „coś by się z tego

urodziło”... Skrobał długopisem tak mocno, jakby chciał przedziurawić papier. Na gorąco zapisywał konspekt przyszłej powieści wszech czasów:

„Seks misja 2. Dwóch studentów idzie razem do szpitala. Jeden chce się poddać operacji zmiany płci – czuje się kobietą. Drugi, jego kumpel, tak zwany wieczny student, a do tego hulaka, pragnie wypróbować na sobie nowatorską metodę męskiej antykoncepcji. Obaj zostają źle znieczuleni, bo anestezjolog, zamiast przyłożyć się do pracy, rozmyśla o swoim synu, który wyznał mu, że jest gejem. Zapadają w śpiączkę i zostają wybudzeni dopiero po upływie stu lat. Świat tymczasem poszedł naprzód – czyli jak zwykle we właściwym kierunku. Dokonała się rewolucja genderowa. Zapanował totalny uniseksizm. Mężczyźni noszą sukienki, malują się, są empatyczni i pełni wdzięku. Kobiety wręcz przeciwnie. Idealem kobiecej sylwetki stała się talia równie szeroka co biodra i możliwie płaski biust plus, oczywiście, kaloryfer na brzuchu. Zbyt obfite krągłości u pań określa się mianem obrzydliwie samicznych. U panów w cenie są długie smukłe nogi mięśniami nieskażone (depilacja to oczywistość) i łabędzie szyje. Transseksualny bohater nagle odkrywa, że w nowych czasach nie chce wcale zmieniać płci, poznaje uroczą członkinię „straży równości i jedności płciowej” i zakochuje się w niej (kluczową przyczyną mogą być jej wąsy). Ale jego kolega playboy ma pewne problemy z przystosowaniem. Odnajduje opozycyjną, tajną organizację walczącą o przywrócenie pradawnych stosunków. Nie wiem, jak dalej ma się rozwijać akcja. Na pewno musi być dużo absurdalnych dialogów.”

Marcin uniósł lekko błędny wzrok. Ponownie trafił spojrzeniem na grubą współpasażerkę. Pani Kryśka starała się udawać, że wcale nie jest w trakcie przeżuwania kanapki. Czuła się bardzo głupio. Wiedziała, że nie powinna siedzieć jak trusia z pełnymi ustami, tylko spokojnie przełknąć. W końcu nikomu nic do tego, co ona robi! Byle tylko się nie zarumienić!

I wtedy Marcin uśmiechnął się do niej i powiedział „smacznego”.

Maksymilian Joński jechał pociągiem tylko dla kaprysu. Był to u niego pierwszy i z pewnością ostatni przypływ fantazji. Świetnie zarabiający adwokat w kwiecie wieku. Poważany w ten specjalny sposób – przez ludzi mu podobnych – nie za uczciwość i za zasady, lecz za ich brak. Wszystko na wysoki połysk – willa, samochód, żona, dzieci, buty rzecz jasna też. Smukły, wysportowany. Przystojny. Zaskakująco mało błyskotliwy jak na człowieka, który osiągnął taką pozycję. Jeden z tych szczególnych specjalistów bez zainteresowań, pasji, marzeń. Horyzont sięgający konta w banku. Z tym że, jak każdy, miał swój mroczny sekret – wybuchy gniewu. Narastała w nim stopniowo agresja. Do wczoraj kończyło się na wyzwiskach. Uderzył żonę pierwszy raz. Postanowił, że kupi jej na przeprosiny złotą biżuterię. Ale nie mógł zaręczyć, że to się więcej nie powtórzy... zbyt wiele czuł przyjemności policzkując ją. Pan Maksymilian pił w Warszawie kawę i przeglądał akta sprawy. Za oknem uciekał niewidziany przez niego świat... uciekał coraz szybciej...

Ewa przeprała bluzkę w toalecie (na szczęście woda leciała z kranu!) i założyła na siebie moką. Czuła przyjemne orzeźwienie. Maja, zmęczona upałem i własnym płaczem, usnęła. *Na kogo wyrosnie to moje małe półdiabły? Na pewno na piękność, to już widać.* Matka z córką tworzyły malowniczy obrazek. Miłość, radość, bezpieczeństwo. Jednym słowem: macierzyństwo. Miały przed sobą jeszcze parę chwil tej błogiej nieświadomości...

Konduktorzy zebrali się w grupkę i szeptali nerwowo, mimo że i tak nikt nie mógł ich słyszeć – przedział służbowy od pasażerskich oddzielał pusty wagon. Po twarzy najstarszego z kolejarzy strumyczkami spływał pot. Nie naradzali się, co zrobić – zbierali siły przed tym, co zrobić musieli.

– Mówcie spokojnie. Starajcie się nie dopuścić, żeby przy drzwiach zrobiły się zatory. Musimy kontrolować... no wiecie...

– Uwaga, uwaga, ogłaszam, że skoki z ekspresu linii x są od tej chwili reglamentowane? – Najmłodszy z konduktorów zaśmiał się ponuro. Pracował od niedawna, nikt jeszcze nie wyrobił sobie o nim zdania. Chudy i wysoki, z wiecznie rozczochranymi blond włosami. Nos jak ptasi dziób. Kiedy jakiś gapowicz mu napyskował, czerwienił się jak baba. Nigdy się nie uśmiechał i prawie nigdy nie odzywał. Większość kolegów obstawiała, że przy bliższym poznaniu okaże się równym gościem.

– Zamknij się, Michał! Dobra, panowie, trzeba iść. Nie ma czasu.

Michał ruszył pierwszy. Przy drzwiach zatrzymał się. Sztywno, jak robot, nacisnął klamkę. Korytarz wypełnił się natychmiast świstem powietrza i turkotem kół. Zanim zdążyli zareagować, wyskoczył. Ostry krzyk to ostatnie, co zapamiętali. Ich krzyk, jego? Nie wiadomo. Podbiegli prędko, żeby zobaczyć, czy mu się udało. Spóźnili się. A on leżał na piaszczystym skraju lasu, przy torach. Czy to szok go sparaliżował, czy zabrała śmierć?

Wstał. Ogłuszająco, ochryple wrzasnął:

– Boże! Żyję! Boże!

Inni konduktorzy rozeszli się, żeby wypełnić obowiązki.

– Proszę państwa! Proszę mnie uważnie posłuchać! Mamy bardzo nietypową awarię. Pociąg nie może się zatrzymać. Maszynista mówi, że nie ma nad nim żadnej kontroli. Co gorsze, nie da się z nikim skontaktować, nie wiemy dlaczego, łączność zerwana. Próbowaliśmy oczywiście komórek, nic z tego.

Zgodnie z przewidywaniem podniósł się gwar. Padły chaotyczne pytania, okrzyki przestrachu i groźby pod adresem PKP. Niektórzy wyjęli telefony komórkowe i bezskutecznie próbowali się dodzwonić. Większość patrzyła tylko nierozumiejącym wzrokiem.

– PROSZĘ o CISZĘ! Widzicie państwo... Pociąg przyspiesza. Możliwe, oczywiście, że przestanie, że uda się go zatrzymać, że coś się zmieni, że odzyskamy kontakt z tymi z zewnątrz...

ale na razie nic na to nie wskazuje. Jeśli prędkość wciąż będzie rosła... Jesteśmy w pułapce. Kto ma odwagę... powinien chyba próbować wyskoczyć. To ryzykowne, ale póki co możliwe...

Mijamy właśnie stację Śmierć

Niektóre kobiety płakały. Jeden z konduktorów dostał po twarzy od jakiegoś łysego grubasa. Zdawało się, że upał wzrósł, brakowało powietrza. Czarnowłosa mężczyzna z wąsem zdecydowanie ruszył przez korytarz. Otworzył drzwi mocnym szarpnięciem. Skoczył. Nikt nie wiedział, czy mu się udało, ale dał innym sygnał do działania. Po chwili do wypełnionej turkotem i świstem bramy ocalenia lub stracenia pchały się tłumy. Zaczęło się dziać to, czego obawiała się obsługa: bezmyślny i nieostrożny pęd. Śmiertelny pośpiech. Panika doprowadziła do tratowania się nawzajem, wypychania na zewnątrz. Byłe prędejsze, póki starczy odwagi, byle żyć! Na Boga, przecież wiadomo, że dwadzieścia osób naraz nie wyskoczy! Pracownicy PKP próbowali powstrzymać zbiorową histerię. Najstarszy z konduktorów, siwy Roman na własne oczy widział, jak wyrzucona przez innych kobieta uderza na zewnątrz o betonowy słup. Zgrabna postać odziana w kwiecistą, uroczą sukieneczkę walnęła z taką siłą, że aż się odbiła. Roman zemdleł. Po raz pierwszy w życiu. I definitywnie po raz ostatni. Bo potem podeptała go gromada pasażerów, gruchocząc mu kręgosłup.

Gorączkowa aktywność przyszła falą i jak fala opadła. Nastął chwilowy bezruch. Jakby ludzie nieco otrzeźwiali. Ale wraz z przyływem rozsądku spotęgował się strach. Dla odmiany nie skakał nikt. Wszyscy zastanawiali się, czy warto podjąć ryzyko. Ilu z tych, co próbowali się wydostać, przeżyło? A ilu ozdabia okolice torów jako rozsmarowana mielonka? Śmierć jest bardzo blisko. Co z tego, że nikt nie jest na nią właśnie teraz przygotowany?

Ksiądz Euzebiusz modlił się żarliwie. Wróciła do niego zagubiona gdzieś dawno w rutynie mszy i katechez wiara.

Pociąg przejeżdżał właśnie przez jakieś duże miasto. Elwira Brusznicka – trzynastolatka o mysich włosach i skośnych oczach w kolorze dymu papierosowego trwała przyklejona do szyby. Ignorowała kłócących się rodziców i ryczących braci. Wciągnął ją widok za oknem: tłumy gapiów oblegających okolice torów. Ledwo była w stanie dostrzec ich twarze, ale wyobraziła sobie ich wyraz: chora ciekawość. *Tam, na zewnątrz, jest normalny świat. Ludzie chodzą do sklepu, do pracy, oglądają telewizję. Teraz przerwali wszystkie zajęcia, żeby przyjrzeć się katastrofie. Nam. Pewnie powiedzą o nas w Wiadomościach... ale to ich zajmie tylko na chwilę, potem wrócą do swej codzienności... A co będzie z nami? Rozbijemy się? A tak niewiele dzieli nas od tamtych, bezpiecznych – widzimy się, moglibyśmy do siebie krzyczeć. Ale jesteśmy jednak INNI...* Zabudowania przerzedzały się. Za oknem uciekały teraz sielsko wyglądające małe miasteczka

i wioski. A potem znowu tylko pola i lasy.

Do pijanych woodstockowiczów prawda dotarła bardzo szybko. Lekkie zamroczenie alkoholem pozwoliło im zaakceptować od razu to, przed czym trzeźwy umysł musi chwilę się bronić: znalazłeś się w samym środku katastrofy. Pulchna, czarnowłosa nastolatka w ciężkim makijażu wstała z podłogi. Przekroczyła dwóch śpiących ziomków. Wodziła wokół tragicznym wzrokiem. Szła korytarzem, dotykając po drodze ścian, zahaczając palcami o szyby okien... Mamrotała:

– Żegnam się ze światem. Wszystko, co widzę, czuję, słyszę, myślę – robię to po raz ostatni. Kocham, zawsze kochałam podróże i teraz przyjdzie mi umierać w pociągu. Muszę, muszę, muszę, muszę chłonąć całe to piękno życia, muszę zapamiętać tę ostatnią chwilę...

Wielu krzyczało do niej, żeby się zamknęła, ale ignorowała ich. Szła, powtarzając swoją mantrę. Po jej policzkach płynęły czarne łzy – krople pełne tuszu do rzęs i rozpaczy.

Ludzie kotłowali się, krzyczeli. Dinka, wczepiona kurczowo w Etama, szlochała tak gwałtownie, że zabrakło jej tchu. Obok stał ich podopieczny i wgapiał się w nich błagalnie. Etam wpadł w szal. Myślał: *Nie ma miłości, nie ma zasad, teraz nic się nie liczy! Za chwilę w ogóle nas nie będzie.* Nienawidził tak mocno jak jeszcze nigdy. Kogo? Boga, losu? Nie wiedział. *I ten pieprzony gnojek, ta jego słodka buźka...* Oczy mężczyzny zmętniały. Odepchnął swoją kobietę. Potem wziął ją za rękę. Zaprowadził do drzwi.

– Skacz! – nakazał. Zawahała się. – Kurwa, musisz!

Dinka posłuchała. Wychylił się i zdążył zobaczyć, jak podnosiła się na kolana. Aż zaklął z ulgi i radości. Potem wyrzucił szczyla. A potem zamknął się w toalecie i scyzorykiem podciął sobie żyły.

Mateusz i Ania dyskutowali, czy podjąć próbę wydostania się na zewnątrz. On poczuł nagły przypływ energii i odwagi – oto, po raz pierwszy w życiu, wykaże się jako dorosły mężczyzna, ochroni swoją kobietę, uratuje ich oboje. Niestety, ona jak zwykle stwarzała problemy – nie skoczy, boi się, nie i koniec kropka. Zawsze tak było. Trudno jest walczyć o ukochaną osobę wbrew niej. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego istota, którą uważał niemal za anioła, stwarza piekło sobie i jemu... Na razie był czuły, cierpliwy i wyrozumiały. I co to dało?

Anna dosłownie umierała ze strachu. Jedyne, o czym potrafiła myśleć w tej chwili, to było jedzenie... Dużo fastfoodów i słodczy... Wyłącznie objedzenie się mogło być sposobem na uspokojenie. Słuchała swego chłopaka i jednocześnie zmagала się z nadchodzącym atakiem. Tym razem nie może przegrać, tym razem się powstrzyma... Mateusz jej potrzebuje. Jak nisko upadasz, kiedy żarcie stawiasz ponad miłość i życie? Dla Ani jej choroba miała w sobie nieodpartą magię. Nikt normalny nigdy tego nie zrozumie. Bulimia musiała przebiegać według nieodmiennego cyklu: sześć dni diety, jeden dzień rozszalałego pochłaniania. Pierwsza część była czasem aktywności,

spotkań z przyjaciółmi i nauki, czerpania z życia maksimum wrażeń. Ale oprócz tego była przeznaczona na rozwiązywanie problemów, znoszenie konfrontacji. Napięcie stopniowo narastało. Pod koniec tygodnia iskrzyła jak naelektryzowany kot. Wszystko jej dolegało, nie mogła usiedzieć na miejscu. Włączała się do tego nerwica natręctw: na przykład po każdym papierosie musiała trzy razy wytrzeć nos (choć oczywiście nie dokuczał jej katar). Umowna „niedziela” rozpoczynała się od flirtowania z nałogiem, fałszywych zapewnień „nie ulegnę”... Jako zapalnik wystarczała czekoladka leżąca na stole... kanapka z szynką i żółtym serem... wystarczyło sięgnąć i... ruszała lawina. Pierwsze ogromne kęsy, gorączkowo łykane, aż zatykały gardło. I wywoływały uczucie dzikiej euforii. Potem była ociężałość i dalsze systematyczne napychanie żołądka czym popadnie. Następnie długie godziny leżenia, czytanie, oglądanie telewizji. Brzuch wydęty jak bęben. Krótki płacz nad własną słabością. Strach przed jutrem. Albowiem „the day after” przynosił obrzydliwe efekty. Twarz spuchnięta do tego stopnia, że oczy nikły w ciastowatym cieple. Palce jak serdelki. Zgaga i przelewanie się we wnętrznościach. Niemiły oddech. W taki dzień nie powinno się wychodzić z domu. Anna przeznaczała go na głodówkę i refleksję. O ile pozwalały na to okoliczności... bo kiedy trzeba było podejść do egzaminu w sesji, brała się w karby.

Ewa rozglądała się nerwowo na boki. *Dlaczego nikt nie skacze? Na co oni czekają? Aż pociąg nabierze jeszcze większej szybkości? Ale ja muszę się zdobyć na ten krok, Majusi nie przydarzy się nic złego, nie dam jej! Boże, zlituj się!* Kobieta podążała w stronę drzwi pchana odwiecznym instynktem każącym walczyć o swoje młode. Nie myślała wcale o sobie. Skoczyła trzymając córkę. Jednak siła pędu wyrwała jej małą, rozdzieliła je. Uderzyły o ziemię – każda osobno. Ewa z ulgą skonstatowała, że wylądowała na miękkiej, suchej trawie. Wkoło jak daleko sięgnąć okiem rozpościerała się łąka. *Anioł Stróż rozścielił nam poduszkę* – uśmiechnęła się. Sekundy mijały, a nie było słychać płaczu... Ewa rozejrzała się. Maleńka leżała tuż obok samotnego głazu – jedyne na całym polu. Na główce wykwitł krwawy wzór. Kobieta upadła na kolana. Powietrze przeszło jej wycie. Ni to ludzki, ni to zwierzęcy skowyt. Niósł się echem na wiele kilometrów.

Pociąg pędził.

Kim jest Marcin? Wiecznie „niedoszłym” autorem? Geniuszem pióra, który jeszcze nie rozwinął skrzydeł? Dzieckiem, które wyrośnie ze swych naiwnych marzeń o sławie? W tej chwili myśli o sobie jako o utraconym dla ludzkości skarbie, który nigdy nie zostanie odkryty. W wyobraźni już skazał się na śmierć. Wszystkie pomysły odejdą wraz z nim. Dziesiątki nienapisanych książek – dzieł mających moc przemiany ludzkich serc. Wybitnych. *To tak jakby zmija ukąsiła Van Gogha, zanim został malarzem.*

Rodzina Brusznickich zdołała się uwolnić. Napędzana elektrycznie, zbuntowana trumna na kółkach zniknęła już w dali, a oni podnosili się powoli na nogi. Dzieci przypadły do matki jak

kurczątko do kwoki. Gładziła ich główki.

– Już dobrze, już po wszystkim. Spokojnie, spokojnie. Łukaszku, puść mamę, to boli, Elwirko, nigdzie nie odchodź, nie ruszamy się, Lodzio... Lodzio? Loooodziooooo!

Ale najmłodszego nie było. Za to jej mąż stał z kompletnie zbaraniałą miną. Miał go wziąć pod pachę! Przecież sama nie była w stanie wyratować całej trójki. Tak ustalili! *Panie, zmiłuj się.* Rzuciła się na trwającego wciąż w stuporze Franka. Biła go pięściami z całej siły.

– Ty skurwielu, ty jebany skurwielu!

Elwira zasłoniła bratu uszy.

W wagonie restauracyjnym panował sajgon. Alkohol lał się strumieniami. Jedni pili, żeby dodać sobie odwagi do skoku, inni, żeby zagłuszyć strach. Jakiś staruszek ciskał jedzeniem o podłogę, potem je deptał i jeszcze dodatkowo na nie pluł.

– Dziadostwo pierońskie, zawsze to dziadostwo, za co my płacimy – charczał.

Maszynista prowadził w skupieniu. Przy tak dużej prędkości musiał cały czas uważać, żeby nie popełnić błędu. *To tylko laikom wydaje się, że pociąg >jedzie sam<. Chociaż... w tym przypadku w pewnym sensie maszyna to właśnie robi. Nigdy nie wierzyłem w cuda, kosmitów, w duchy. Mam teraz dużo czasu na myślenie... i frapujący temat... Oto otrzymałem dowód na nieobliczalność zjawisk i nie potrafię tego nijak rozgryźć. A prędkość wciąż rośnie...* Przed dziesięcioma minutami był u niego Marek – konduktor. Powiedział, że około połowa pasażerów wyskoczyła. Bardzo dobrze. Koledzy też się ewakuowali, trwał samotnie na posterunku. Nie starał się opanowywać aktów agresji, wandalizmu, pomagał tylko zdecydowanym, starał się, jak mógł, by dotarli bezpiecznie do drzwi... A dalej – krzyżyk na drogę. Szukał dzieci, odprowadzał je do rodziców, a te opuszczone zamknął w służbowym przedziale. Nie miał odwagi, by je wyrzucać – za duże ryzyko, za duża odpowiedzialność.

Mateusz był wściekły. Na Annę – to oczywiste. I na siebie. Jego dziewczyna była osobą chorą psychicznie, niezdolną do działania, więc musiał być dzielny i rozsądny za nich oboje. Z chęcią przyjmował rolę opiekuna. Jej bezradność wzruszała go. Tak bardzo ją kochał! Ale czy aby swoją wyrozumiałością nie utwierdzał jej w chorobie? Wydawała się być krucha i delikatna jak motyl. To obezwładniało... czy można żyć razem, wypracowywać kompromisy, wymagać, dzielić się obowiązkami, kiedy jedna z osób w związku jest traktowana jak bóstwo? Widział, że zbliża się atak Ani. Jeszcze z nim walczyła. Powinna się powstrzymać! Jakim prawem chce ich oboje skazać na śmierć? Jeżeli wybierze jedzenie i bezczynność zamiast próby ucieczki, postawi go w strasznej sytuacji: będzie musiał z nią zostać i straci szansę na uratowanie się. Przecież jej nie opuści. Ale czy miłość naprawdę może tego żądać?

Nastolatka z rozmazanym makijażem opętana manią żegnania się ze światem miała na imię Sara. Jeszcze wczoraj skakała na koncercie, płynęła na fali rąk niesiona przez rozbawiony tłum.

Żartowała i wygłupiała się. Prowadziła dorosłą i poważną rozmowę z byłym narkomanem w jego namiocie. Dotykała blizn na jego przegubach – pamiątek po nieudanej próbie samobójczej. Zakochała się w nim, wzięła od niego numer telefonu. Nie jechał tym pociągiem, planował wracać do siebie autostopem. Nawet jej zaproponował, żeby zabrała się z nim, ale było jej nie po drodze... Teraz wlekła się ociężałe przez korytarz, wciąż mamrocząc. Cały jej bunt, pretensje, uczucie niedopasowania przestały mieć jakiekolwiek znaczenie. Ważne było tylko, że istniała – jeszcze istniała. Zdała sobie sprawę, jak bardzo jest młoda, jak wiele możliwości otwierałaby przed nią przyszłość – gdyby ją miała. Zatęskniła przelotnie za swoją mamą, z którą wciąż darła koty. Stał przed oczami obraz kuchni, w której co rano piły razem kawę. Myśli przepływały przez jej głowę za szybko, chaotycznie. Nic z nich nie wynikało, nie układały się w żadne epitafium. Dotarła do lokomotywy. Weszła do środka.

– Proszę pana, mogę tu zostać? Wszyscy tam w wagonach są tacy straszni! Nie będę przeszkadzać.

Nawet nie odwrócił głowy.

– Dobrze.

Marcin dostał się do grupki zbłąkanych owieczek księdza Euzebiusza. Kapłan pocieszał ich, poił wodą uratowaną z wagonu restauracyjnego. Opowiadał o Bogu i nadziei. Uznał, że trzeba czekać – pociąg rozwinął już zbyt dużą prędkość, nie warto podejmować ryzyka. Pozostaje tylko modlitwa. Marcin, z typową dla siebie fanatyczną przesadą, zatracił się w szeptaniu pacierzy.

Pani Krysia trwała w otępieniu. *Chrzanić to wszystko*. Nawet w ekstremalnej sytuacji i w myślach nie potrafiła solidnie sobie zakłąć. *Nic nie zrobię. Wszystko mi jedno. W końcu jestem tylko pocieszną, tłusciutką nieudacznicą, więc niech nikt się nie spodziewa, że będę działać. Najwyżej sobie popłaczę*. Kiedy tak siedziała wpatrzona w przestrzeń, przydreptał do niej na swych tłustych, serdelkowatych nóżkach Łodzio Brusznicki. Zasmakany i biedny. Nawet go nie zauważyła, dopóki nie dotknął nieśmiało jej policzka. Kobieta oprzytomniała. *Co tu robisz dziecko?*

– Cześć, malutki. Jak masz na imię?

– Łodzio.

– A gdzie są twoi rodzice?

W ramach odpowiedzi wygiął usta w podkówkę i pociągnął nosem.

– Kochanie, z kim tutaj jesteś? Kto z tobą jedzie?

– Ma... mamusia skoczyła! Tatuś mnie nie zabrał. Ja chcę do mamusiiiiii!

– Jasny gwint! Psiakrew!

– Nie pseklinaj, nie wolno.

I wtedy z panią Krysią stało się coś, co nie przydarzyło się nikomu z pociągu: zmieniła się

na lepsze. W jednej chwili zniknęła jej nieporadność. Przestała być ciepłą kluchą. W jej duszy zagrały nieznane dotąd emocje: determinacja, odwaga, dzielność. Wzięła na ręce obcego chłopczyka i ruszyła w kierunku drzwi. Inni wyskakiwali z powodu paniki, strachu, szoku, rozpaczy, rozsądnej kalkulacji, instynktownej chęci przetrwania. Egoistycznie, naturalnie, normalnie, przewidywalnie. Ale Krystyna zrobiła to jak prawdziwa bohaterka – tylko po to, by komuś pomóc. I udało jej się. Po ułamku sekundy straszego lotu uderzyła o piach. Lodzio trwał wczepiony w jej miękkie, obfite ciało, nie puścił jej mimo upadku. *Uratowałam to dziecko* – pomyślała z dumą.

– Chodź, kochanie. Będziemy szli wzdłuż torów w tamtą stronę. I na pewno znajdziemy mamusię. Jesteś bardzo grzeczny i kochany. Chodź.

Mały wytarł nos rękawem. Z niebieskich oczu popłynęły łzy. Ale już po chwili pokazał szczerbate ząbki w drżącym uśmiechu.

– Nie powiem nikomu, że pseklinałaś. Lubię cię.

– Trzeba znaleźć twoją mamę.

Poszli.

Pociąg jechał coraz szybciej.

Maksymilian Joński wściekał się. Pił piwo i marszczył brwi. Z każdym łykiem narastała w nim furia. Zaciskał pięści. Bardziej jeszcze niż lęk przed śmiercią rozjuszał go fakt, że okazał się tchórzem. Wyskakiwały kobiety, dzieci, staruszkowie – on nie. Nie dopuszczał do świadomości myśli, że zabrakło mu odwagi, starał się zrationalizować swoje działania... a raczej ich brak. *Banda histeryków, szaleńców. A ja sobie spokojnie przeczekam. I jak się to wszystko skończy... nasza cudowna kolej nigdy mi się nie wypłaci. Zniszczę ich.* Ale w głębi duszy wiedział, że to nie takie proste... Pewną satysfakcję sprawiło mu napisanie dramatycznego smsa do żony. Na razie nie ma zasięgu, ale kiedyś przecież wiadomość do niej dotrze. *I wtedy się suka zmartwi... A jeżeli wręcz przeciwnie? Ciekawe, jak go powita... cóż, wiele od tego zależy... coś mi się zdaje, że niezależnie od tego, czy będzie za mało przejęta, czy po babsku rozklejona, zasłuży na karę...*

Maszynista i Sara nie rozmawiali, lecz byli zadowoleni ze swojego towarzystwa. W trudnych chwilach lepiej być z kimś. Kiedy tak podążali nie wiadomo dokąd, nagle pojawiła się NADZIEJA...

– Chryste! My chyba... ZWALNIAMY!

– Co pan mówi? Niemożliwe?

– Dziewczyno, spójrz na wskazówkę prędkościomierza!

– Tak! Taaaak!!! Zresztą, ja to chyba czujęęęę!!!

– Nie piszcz, bo mi bębenki w uszach popękają!

– Czy to może znaczyć, że się zatrzymamy? Proszę hamować!

– Nie da się. Ale zobacz, ciągle zwalniamy! Nie wiem, czy to się utrzyma. Leć, powiedz wszystkim! Niech tam sobie kombinują, co robić, nie wiadomo, co się lepiej opłaci: czekać czy skakać. Powiedz im: osiemdziesiąt kilometrów na godzinę! Leć!

– Rozkaz, panie kapitanie. Już biegnę! Ale wrócę.

Sara była tak podniecona, że nawet nie zauważyła śpiącego staruszka zwiniętego na siedzeniu. Szybkim krokiem przemierzała puste wagony: jeden, dwa, trzy. Już słyszała dobiegający z niedaleka gwar głosów, zaraz im powie! I wtedy poczuła, gwałtowne szarpnięcie – pociąg przyspieszał. Nadzieja UMARŁA.

Wierzycie w prawdziwą miłość? Bezinteresowną, skorą do poświęceń, zdolną przezwyciężyć wszelkie przeszkody? W takim razie zamknijcie oczy, odwróćcie głowę, nie czytajcie dalej. Bo oto za chwilę pięknie, rozpadnie się gorące uczucie dwojga stworzonych dla siebie młodych ludzi: Ani i Mateusza. Łącząca ich czułość, zachwyt drugą osobą, pragnienie jej dobra przestaną się liczyć. Bo ona wybrała destrukcję, a on nie potrafił tego zrozumieć ani tym bardziej wybaczyć. Po raz pierwszy był świadkiem jej napadu. I mimo woli kielkowało w nim obrzydzenie. Oraz pretensja: „Jak możesz nam to robić?!”. Teraz stali i mierzyli się wzrokiem, ich oddechy były przyśpieszone. Bambi zabronił jej jeść. Tłumaczyła, że w ten sposób zyska siłę i opanowanie, nie wierzył jej i słusznie, bo kłamała – jak każdy nałogowiec chwytła się wszelkich środków, odrzuciła skrupuły.

– Zaraz wyskoczymy, będę cały czas przy tobie, koszmar się skończy. – Trzymał ją za ramię, nie ufał, że słowa wystarczą. Wyrwała mu się i pobiegła. Po raz pierwszy własna dziewczyna przed nim uciekała jak przed oprawcą. Kiedy ją dogonił, już plądrowała wagon restauracyjny – było za późno. No więc ona ładowała do ust bufetowe kanapki, on trząsł się z bezsilnej złości. Ale wciąż był wrażliwy na jej ból: patrzył, jak szlocha i połyka ogromne kawały pieczywa, jak się dławi, jak cieknie jej z nosa i żałował jej. Mimo wewnętrznego oporu przygarnął ją do siebie.

– Zrobiłaś, co musiałaś. A teraz chodźmy.

– Nie dam rady, przepraszam.

Kiedy ją zostawiał – skuloną w kłębek i biedną – miał ogromne wyrzuty sumienia. Czy dlatego, że ją kochał, a miłość nie powinna odwracać się plecami? A może dlatego, że w ostatniej chwili go zawołała, ale nie odwrócił głowy...

Ksiądz skupił swoją uwagę na rozmodlonym chłopaku o rozgorączkowanej twarzy. Zrobiło mu się go żal.

– Hej ty! Tak, młody człowieku, do ciebie mówię. Przerwijmy na chwilę pacierze, Panu Bogu pewnie już się linia blokuje od nadmiaru połączeń!

Kapłan zaczął pocieszać Marcina. Zwyczajnie, po ludzku. To było jego najlepsze kazanie ever.

Sara wróciła do lokomotywy ze spuszczoną głową. Maszynista przywitał ją ponurym: „Sto pięć na godzinę”. Dalej jechali w milczeniu.

Anię bardzo bolał brzuch. Powlekła się w stronę, gdzie zniknął jej z oczu Pocahontas. Nie miała do niego pretensji. Nienawidziła siebie tak bardzo jak jeszcze nigdy. Stała w otwartych drzwiach, przez które przed chwilą wyskoczył jej chłopak. Ależ ten pociąg pędził! Nigdy nie zbierze dość odwagi...

Joński był już kompletnie pijany. Zataczał się. Jego wzrok spoczął na stojącej do niego tyłem smukłej blondynce. Przywodziła na myśl początek lata – miała w sobie taką niepowtarzalną świeżość: jak pierwszy kęs soczystego arbuza, jak powietrze po burzy. Trzymała w ręce niedojedzonego pączka. Pociągała i drażniła. Wpatrywał się beczelnie w jej pośladki, opięte ciasno dżinsami. Zbliżył się. Była zamyślona, nie usłyszała. *Zaraz ci pokażę, ty głupia dupo! Nie możesz się zdecydować, co? Oj, mała, nie wychylaj się, to niebezpieczne, he, he...* Z całych sił kopnął dziewczynę w plecy. Wypadła. Niestety dla niego, panu Maksymilianowi splątały się nogi, wywrócił się, zahaczył stopą o schodek. Parę sekund walczył rozpaczliwie, aby złapać równowagę, drapał paznokciami w blachę drzwi. Nie udało się. Jego ciało skręciło się dziwacznie, but pozostał uwięziony, chrupnęła kość. Następnie poleciał głową w dół i wyrznął nią o dolną krawędź pociągu. Z bólu nie mógł złapać tchu. Żył jeszcze chwilę, trzepocząc w pędzie jak dziwaczna i pokraczna chorągiewka. Po kilkudziesięciu metrach umarł, po kilkuset – odpadł.

Niewielu już ludzi pozostało. Zmęczony, smutny konduktor, dwie młode kobiety trzymające się za ręce, ksiądz rozmawiający poważnie z uspokojonym wreszcie Marcinem. Oprócz tego samotny staruszek, o którym wszyscy zapomnieli, przeklinający niosące świadomość sytuacji przebudzenie ze snu. No i maszynista z Sarą. Dominowało wśród nich przygnębienie i pogodzenie z losem. Nie mieli już energii na krzyki, przekleństwa i dramatyczne gesty. Już tylko jednostajny stukot kół, zapadająca noc i podróż donikąd. Zmierzch jak koniec świata. Mijały godziny. A upragnione „na zewnątrz” zmieniło się w rzekę nieprzeniknionej czerni – nierzeczywistą i złowrogą. Na niebie nie było gwiazd.

Rano pociąg stanął. Bez powodu, w sposób niewytłumaczalny: tak samo jak zaczął przyspieszać.

Epilog

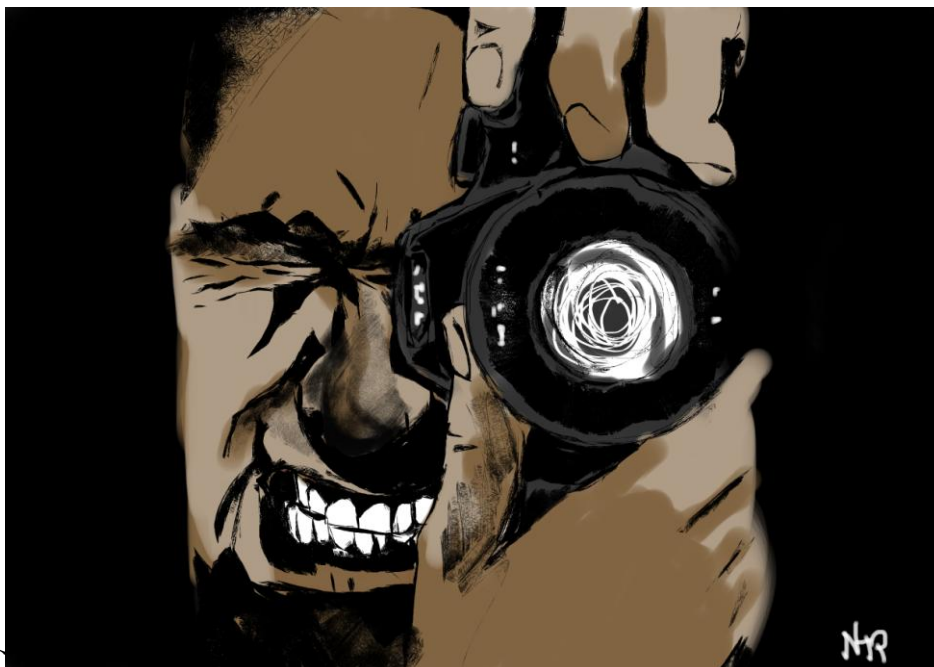
Anna kuśtykała wzdłuż torów, idąc w kierunku przeciwnym do jazdy pociągu. Ciało miała obolałe, a duszę skostniałą. Jeszcze nie do końca pojmowała, co wydarzyło się w ciągu ostatnich paru minut.

– Ania!

Znalazła się w silnym uścisku. Mateusz tulił ją, powtarzając nieskładnie wciąż te same słowa: „kocham, przepraszam, wybacz”... Czy tych dwoje będzie potrafiło zapomnieć o tym, że zawiedli siebie nawzajem?

Czas pokaże....

Ale na razie trwają spleceni w zachłannym pocałunku życia.



Dusze w pudełku

Sylvia Błach

Magda wskoczyła na ławkę. Obróciła się z gracją, a potem machnęła ręką, jakby przeganiała niespokojne myśli. Ruszała się powoli i z wyczuciem, niczym malarka pracująca nad obrazem swojego życia... Powietrze było płótnem, na którym drganiami atomów kreśliła kształty. Chwyciła za brzeg spódnicy i znowu okręciła się wokół własnej osi. Świat zawirował. Roześmiała się, z trudem łapiąc równowagę w zbyt wysokich szpilkach, i przysiadła na oparciu.

Marcin pomyślał, że nie miał jeszcze nigdy modelki tak dobrej i złej jednocześnie. Dobrej – bo świadomej swego ciała. Złej – bo kto, do cholery jasnej, stoi w trakcie zdjęć na ławce? Gdzie w tym logika, jakiś zamysł, dobry kadr?

– Zejdź, proszę. Usiądź normalnie, o, tak właśnie. I nie uśmiechaj się przez chwilę... Pięknie!

Rzadko się odzywał w trakcie sesji. Uwielbiał ten moment, gdy modelka o nim zapominała. Trochę znudzona, odpływała w całkowitej symbiozie ze swoim ciałem... Wtedy powstawały najlepsze ujęcia. Szczere i prawdziwe. Bez tego wyćwiczonego uśmiechu, bez napiętych pośladków

i nienaturalnie wyprostowanej sylwetki.

Czasem jednak musiał się odezwać, gdy dziewczyna zaczynała wydziwiać. Określić swoje oczekiwania i polectać ego komplementem, by wydobyć tę charakterystyczną iskrę w spojrzeniu. Iskrę, której nie da się wyćwiczyć. To musi przebić się przez tony cieni i tuszu: skuszona pochlebstwem dusza próżnej i atrakcyjnej kobiety. A Magda, jak przystało na samozwańczą fotomodelkę, próżna była. Co nietypowe w tym fachu – była też prawdziwie piękna. Długie jasne włosy spadały kaskadami na proste plecy, a brzoskwińową cerę znaczyły delikatne rumieńce świeżości i nieśmiałości. Najważniejsze jednak, że miała to coś w spojrzeniu. Potrzebowała tylko komplementów, by to uwolnić.

Przez jego głowę przemknęła myśl, że mógłby ją wziąć. Tu i teraz, na ławce, ostro i brutalnie. Wbrew jej woli. Odegnął ją szybko i skupił się na pracy.

– Wiesz, że najbardziej zagorzali Indianie zabraniają robić sobie zdjęcia? Wierzą, że aparat kradnie im dusze...

– Co? – Pytanie wyrwało Magdę ze świata marzeń, wyobrażenia o tym, że jest właśnie na plaży, ubrana w kostium podkreślający jej złotą opaleniznę, obskakiwana przez najslawniejszego fotografa... W trakcie sesji dla Vogue... Marcin zaskoczył ją podjętym tematem i brutalnie ściągnął na ziemię. A ona się odkryła. Szybko zrobił zdjęcie, zerknął na ekran. Uśmiech wypełził na jego usta.

– Nie, nic, nic. Tak mi się powiedziało.

– Byłeś tam kiedyś?

– Gdzie?

– No, to jest, w Indiach...

Spojrzał na nią z dezaprobatą, ale powstrzymał złośliwość cisnącą się na usta.

– Nie, ale dużo czytałem. Kolekcjoner dusz – czy to nie piękny synonim dla słowa fotograf? No ale wracajmy do pracy!

Jak za dotknięciem różdżki dziewczyna zarzuciła nogę na nogę, wybuchnęła perlistym śmiechem, tylko po to, by po chwili na jej twarzy zagościł ten charakterystyczny wyraz bezmyślności. Przygotowywała się do tej sesji – długo i intensywnie, przed lustrem ćwicząc mimikę i studiując zdjęcia modelek. Doszła do jednego wniosku: one wszystkie wyglądają, jakby nie myślały. Z tą miną nie miała najmniejszego problemu.

Nim krzyknął „mamy to!”, charakterystyczny zgrzyt migawki rozległ się jeszcze kilkanaście razy.

– Jak poszło? Wiesz, dopiero zaczynam... Miałam kilka sesji, ale to nie zawsze było to... A ty, zaproponowałeś, sam mnie znalazłeś, jej! Pierwszy raz nie musiałam zagadywać. Dlatego starałam się, długo ćwiczyłam...

– Pięknie się ruszasz. Było dobrze.

– No tak, tak, byłam tancerką. Kiedyś. Ale miałam kontuzję i tyle z kariery. Mam jednak nadzieję, że zdjęcia wyszły. Dasz zajrzeć? Czy nie lubisz, gdy ktoś patrzy? Bo zrozumiałem... – Marcin patrzył zaskoczony na dziewczynę, która wpadła w słowotok. Przez głowę mu przemknęło, że ma szczęście do rozgadanych kobiet o urodzie anioła. A on nader wszystko cenił sobie ciszę. Dlatego ciągle był sam, żyjąc od romansu do romansu, jak zwykł nazywać swoje dziwaczne relacje z większością fotomodelek. Wiedział, że ta będzie kolejnym kadrem w jego pudełku. Z trudem powstrzymywał narastające pragnienie skosztowania jej ust.

– Żaden problem. – Uśmiechnął się, podając aparat. Świdrował Monikę spojrzeniem, aż ta poczuła się nieswojo, jakby nagle wpadła na lodowaty prąd w podgrzanym słońcem jeziorze.

Na twarzy Moniki najpierw odmalowało się zaskoczenie. Potem, z każdym gwałtownym ruchem kciuka, przeradzało się w coraz większe zaniepokojenie. Z narastającą paniką przewijała zdjęcia. Czuła się dziwnie – wściekła i zawiedziona jednocześnie. W bałaganie myśli pełnych gorzkich słów wyróżniała się jedna: zachowuj się profesjonalnie!

Wiedział, o co chodzi, ale się nie odzywał. Uprzedzał, że jest specyficzny, że tworzy sztukę. Mówił jej, że kocha odkrywać duszę. Śmiała się wtedy głupkowato, myśląc, że to banały, które mówi każdy artysta.

Była zawiedziona, to dla niego jasne. Żałował tylko, że nie rozumiała najważniejszego: tu nie chodziło o to, że brzydko wyszła. Chodziło o wygląd duszy. Tylko najlepszy fotograf umie wydobyć tę szczerość.

– Ale... Grubo tu wyglądam. I mam małe oczka... I te włosy jakieś takie... – Głos jej drżał, jakby miała się rozpłakać.

– To się wyfotoszopuje – stwierdził na odczepnego.

A potem podali sobie ręce, on obiecał, że postara się wysłać zdjęcia jak najszybciej, a ona, uśmiechając się sztucznie, podziękowała za współpracę i wyraziła nadzieję na kolejną, w duchu przeklinając, że zmarnowała kilka godzin swojego niezwykle cennego czasu...

Otworzyła oczy. Mrugała przez chwilę niepewna, czy nadal śni, czy całkowita ciemność jest przejawem rzeczywistości. Spróbowała sobie cokolwiek przypomnieć, odruchowo zaciskając powieki. Kształty wypełniły pustkę.

Wieczór. Mieszkanie. Wino i kolejna samotna noc. Jeszcze jedna butelka. Jakaś komedia w telewizji. Łóżko, miękkość pościeli... Koszmary. Coraz straszliwsze uczucie zapadania. Zanikania. Nagły ból. Ciemnia? Przecież nie mam w domu ciemni... Gdzie ja jestem? Ból dezintegracji. Szok.

Ciemność. Drętwienie, zapach chemii. Błysk.

I nic więcej. Próbowwała zebrać myśli, jednak na próżno – wspomnienia urywały się w momencie nagłego zalania czerwonym światłem. Strach wypełnił jej serce, gdy żaden z mięśni nie zareagował na polecenie wydane przez mózg.

Paraliż?

Spróbowała się podnieść, bez rezultatu. Chciała krzyczeć, jednak ciało nie reagowało. Szok eksplodował w jej głowie, gdy odkryła, że nie może mrugać. Wydawało jej się, że otworzyła oczy, a one po prostu były ciągle otwarte. Tylko mózg przeszedł ze stanu snu do jawy.

A może nadal śnię?

Pomyślała o zegarach. Kiedyś gdzieś w sieci czytała o świadomym śnieniu. Kazano tam spojrzeć na zegar, by się wybudzić. Odzyskać poczucie czasu. Monika miała nadzieję, że właśnie to jej się przydarzyło i że zaraz przerażona zerwie się z łóżka. Tylko nie mogła ruszyć ręką, by spojrzeć na zegarek! Nigdzie nie słyszała tykania, traciła nadzieję, sen wydawał się zbyt realny.

Rozpaczliwie zaczęła się szamotać wewnątrz swego ciała, modlić, by martwa powłoka odzyskała czucie...

Znów pomyślała o tym, że może jest sparaliżowana. Niesłusznie uznana za martwą i zamknięta w trumnie.

Niemy wrzask wypełnił jej głowę. Krzyczała wewnątrz siebie z rozpaczą i bólem, nie mogąc uzewnętrznzić żadnej z emocji. I wtedy to usłyszała...

Muzyka. Piosenka, którą uwielbiał jej były. Nieświadomie zaczęła w myślach przewijać wersy...

*I've been looking so long at these pictures of you
That i almost believe that they're real*

Melodia wypełniała myśli, napawała ją dziwną mieszanką spokoju i paniki. Wspomnienia szczęśliwych chwil walczyły z próbą utrzymania się na powierzchni świadomości. Czuła się jak na haju, miała wrażenie, że zaczyna odpływać, znów zanurzać się w ciemność...

Narkotyki? – przemknęło jej przez głowę. Krzyknęła, tak bardzo niemym wrzaskiem. Usłyszała kroki. Krzyki wypełniły jej krtań, nie chcąc jednak wyjść na zewnątrz.

To musi być trumna. Tu ktoś jest. Muszę dać znać, że żyję. Żyję!

Próbowwała uspokoić oddech, choć nie była pewna, czy w ogóle oddycha. Kroki narastały. Głos wokalisty zmieszał się z dziwnym chrypieniem. Po chwili dopiero rozpoznała w nim słowa, ciche nucenie przypominające to, które wydobywa się z ust pijanego człowieka, gdy ten wie, że nie zna tekstu, ale tak podoba mu się melodia, że koniecznie próbuje śpiewać. Wrzasnęła rozpaczliwie

ciszą. Nucenie narastało.

Błysk!

Chciała zamrunąć, jednak niereagujące ciało odmówiło po raz kolejny. Czerwone światło brutalnie wdarło się do jej oczu. Gotowa była przysiąc, że poczuła, jak zwężają się jej źrenice. Po chwili zaczęła rozpoznawać kształty.

Nadzieja wypełniła jej serce, gdy w mrocznych konturach dostrzegła ludzkie rysy. Zebrała się w sobie z całych sił, by drgnąć, w jakikolwiek sposób pokazać, że choć wydaje się martwa, to żyje. Skupiła się na muzyce. Wywoływała w niej tyle emocji, pięknych wspomnień. Spróbowała ruszyć ustami, wydobyć z siebie kolejne wersy, jakikolwiek dźwięk.

*I've been living so long with my pictures of you
That i almost believe that the pictures are
All i can feel*

Twarz się zbliżyła. Rozpoznała w niej Marcina, tego dziwnego fotografa. Macki strachu chwyciły ją za serce. Nagle zrozumiała, że nie jest tu przez przypadek. I że to nie jest normalne, że pochylająca się nad nią twarz wydaje się tak duża; że te żółte, a teraz także wielkie zęby szczerzą się w uśmiechu...

Wstrzymała oddech, a może tylko pomyślała, że to robi. Chciała zareagować, jakkolwiek zbuntować się przeciwko niezrozumiałej sytuacji. Lecz nawet łza nie spłynęła po jej twarzy. Umysł pracował, ciało zdawało się pozostawać martwe.

I wtedy twarz się oddaliła. Zobaczyła nad sobą nienaturalnie dużą dłoń. Abstrakcyjne wspomnienie „Guliwera”, ulubionej bajki z dzieciństwa, zaatakowało ją. Pomyślała, że stała się Liliputem i była gotowa wybuchnąć śmiechem szaleńca, gdyby tylko ciało zechciało współpracować.

– Cześć, kochanie, poznaj swoją konkurentkę. – Słowa wypełniły ciszę, a Monika podświadomie poczuła, że to nie ona była ich adresatką.

Drganie wstrząsnęło jej ciałem, gdy dłoń się zbliżyła. Poczuła dotyk na ramieniu, a po chwili jakby brutalnie została szturchnięta. I wtedy zobaczyła.

Groza ścisnęła serce, gdy dłoń przesunęła nad nią fotografię niezbyt ładnej dziewczyny. Straszne jednak nie było samo zdjęcie, a fakt, że dziewczyna na nim wydawała się być tych samych rozmiarów co Monika.

To się nie dzieje naprawdę, to tylko jakieś uszkodzenie mózgu, zaburzenie proporcji...

– To Kasia, to Monika, poznajcie się!

Marcin wybuchnął śmiechem potrząsając fotografią. Szok mącił Monice zmysły. Była

gotowa przysiąc, że w oczach nieruchomej postaci coś widzi...

Ona żyje.

I wtedy rozległ się trzask. Przez chwilę szukała źródła dźwięku, aż ujrzała drugą olbrzymią dłoń, dzierzącą zapalniczkę.

Krzyknęła, gdy płomienie zaczęły lizać portret Kasi, a niemy wrzask przerodził się w prawdziwy atak histerii, gdy fotografia ożyła. Monika jak zahipnotyzowana patrzyła na szeroko rozwarte, popękane usta i tłuste ciało wciskające się w kąt kadru, rozpaczliwie drapiące połamanymi paznokciami, próbujące uciec przed płomieniami. Nie zauważyła, kiedy znów zaczęła rzucać się bezsilnie w swojej powłoce, modlić do Boga o ukrócenie cierpień tej obcej, a w jakiś sposób tak już jej bliskiej, dziewczyny.

Szyderczy uśmiech Marcina i ból na twarzy lizanej płomieniami kobiety utwierdziły ją w przekonaniu, że nie śpi.

Magdzie przypomniały się słowa, które fotograf wypowiedział wczoraj od niechcienia. Nim zdjęcie przemieniło się w kupkę popiołu, zrozumiała.

Kolekcjoner dusz.

Chciała zemdleć, gdy wielka dłoń zbliżyła się do jej ciała. Myślała, że zwymiotuje, gdy poczuła dotyk na podbrzuszu, a potem olbrzymie usta złożyły pocałunek na jej małych wargach. Była gotowa zwariować, gdy mężczyzna, trzymając ją niczym trofeum, podszedł do lustra i kazał jej patrzeć na swoje zdjęcie. Na zdjęcie, którym się stała. Na siebie w dwóch wymiarach. Naprawdę pragnęła zostać opleciona ramionami szaleństwa i nic z tego nie rozumieć.

Jednak świadomość, że została uwięziona na wieki na tym beznadziejnym kadrze była zbyt intensywna, by nie traktować jej poważnie. Ból, który mężczyzna jej zadał, składając ją na pół – zbyt prawdziwy. Po raz pierwszy w życiu pomyślała, że dusza jednak istnieje. I wcale jej się to nie spodobało, gdy została boleśnie wciśnięta do kieszeni na piersi.

Muzyka znów zaczęła lecieć, a zapach chemikaliów wypełnił jej papierowe nozdrza, gdy Marcin pochylił się nad kolejną partią zdjęć do wywołania.

If only I'd thought of the right words

I wouldn't be breaking apart

All my pictures of you

Wykorzystano fragmenty piosenki „Pictures of you” zespołu The Cure



Natura śmierci

Kosma Woźniarski

Ignacy Dziewulski nie był uczonym, inżynierem czy filozofem. Nie był nawet magistrem, bowiem pochopnie rozpoczęte studia nad materią i siłami nią rozporządzającymi przerwał nagle, znajdując w sobie zupełny brak zainteresowania dla skomplikowanych formuł i równań. Jego umysł – żywy, ale nieściśły – chętnie zająłby się nauką ogólną, przekrojowym ukazaniem i analizą świata od geometrii po geologię, od biologii po filozofię. Takie jednak studia nie istniały, wobec czego Dziewulski porzucił środowisko akademickie na rzecz antykwariatu, gdzie zawsze znajdował coś na temat akurat go frapujący. Zaprzyjaźniony antykwariusz przechowywał dla niego różne smakowite kąski, dzięki którym mógł poszerzać menu swojej wiedzy o powierzchowne informacje z zakresu mechaniki, ogrodnictwa, etc. etc.

Dziewulskiemu nie można było odmówić bystrości i przenikliwości. Niecierpliwy charakter nadrabiał spostrzegawczością, jakby w krótszym czasie obserwacji – wynikającym z niestałości zainteresowania – chciał przenicować temat swym umysłem i wygarnąć z niego wszystko, co się da, zanim skieruje wzrok na coś innego. Nie wiadomo, dlaczego tak wszechstronny umysł zainteresował się parapsychologią. Może to nuda, w co wierzę najmocniej, może chęć zderzenia

poznanych nauk z wymiarem, którego zmierzyć nie mogły. Dziewulski sięgnął po dzieła okultystyczne, ku ucieście antykwariusza, posiadającego spory zbiorek z tej dziedziny. Przewertował je z narastającą niechęcią, bowiem wszystko tam wyłożono bez podstaw, bez oparcia w teorii ogólnonaukowej.

– Skąd wiadomo, że duch ten nazywa się Janusz, że w ogóle jest jakiś duch, skoro za dowód mamy tylko zeznanie świadka, wystraszonego mamrotaniem tak zwanego medium? – zapytywał antykwariusza o artykuł dotyczący seansu spirytystycznego.

– Może pan sam sprawdzi? – zagadnął antykwariusz z uśmieszkiem przebiegłego satyra. – Znam miejsce, gdzie się takie seanse odbywają.

– Szkoda mi czasu na czcze dziwowiska – burknął Dziewulski.

– O, wiele dobrego słyszałem o seansach Madame Rose. Sam, rzecz jasna, nie bywam, ale mówią, że jak szukać kontaktu z zaświatami, to tylko za jej pośrednictwem.

Dziewulski trawił przez chwilę tę propozycję, a potem machnął ręką niedbale.

– Dobrze, daj pan adres. Zobaczymy, cóż to medium chowa po rękawach.

W niedzielny wieczór Dziewulski ubrał się schludnie, uczesał, wykwipował w to, co – jak mniemał – przyda się na seansie: niewielkie lusterko oraz latarkę. Gdy zegar wybił szóstą, udał się przez park Poniatowskiego do willi Madame Rose.

Jesień już na dobre rozgościła się w mieście, malując wszystko swoimi ulubionymi barwami czerwieni, żółci i brązu; jakby krajobrazowi, z którego bezlitośnie wysysała ciepło, chciała przydać jego namiastkę w wizualiach. Park zaściełały suche liście, zamiatane niewystarczająco często. Latarnie rzucały świetlistą poźłotę, w niej ludzie przypominali cienie, a cienie budziły nie mile skojarzenia. Dziewulski przeszedł obok stawu, skąd dobiegało gadanie kaczek, i skierował się ku otwartej bramie pysznej, secesyjnej willi, oświetlonej zielonymi latarniami. Właśnie odjeżdżała sprzed niej odkryta bryczka, a w wypielęgnowany ogród wkraczała para staruszków lichej kondycji, ale najwyraźniej zasobnego portfela. Pani wystąpiła w czarnej, mieniącej się karmazynem sukni i kapeluszu z zasłoną koronek niczym chmarą ciem na twarzy, natomiast pan przywdział czarny surdut, pod który wszystko inne dobrane było kluczem wykwintnej elegancji, łącznie z cylindrem i butami. Żalobna para seniorów wolno sunęła wykładaną kamieniami ścieżką niczym zagubione widma. Dziewulski szedł w oddaleniu za nimi, nasłuchując szczątków szeptanej rozmowy, które go dobiegały:

– Obiecała, że z nim porozmawiamy...

– ...nie jestem pewna...

– Nie możemy takiej szansy...

Para wkroczyła powoli na schody, obwiedzione żelazną poręczą z motywem lilii. Staruszek pociągnął łańcuch dzwonka, obudził gong gdzieś w domu. Drzwi wejściowe otwarto natychmiast. Światło rozlało się po półmrocznym ogrodzie – w holu, co Dziewulski zobaczył za moment, płonęły kryształowe kopulastego kandelabra, śląc wokół osobliwe, migotliwe refleksy.

Wpuszczono go bez nagabywania. Portier odebrał płaszcz oraz kapelusz i wskazał spiralne schody na piętro. Tam napotkał rozwarte gościnnie podwójne drzwi kolistego salonu, utrzymanego w intymnym półcieniu. Trzy osoby już siedziały wokół stolika nakrytego czarnym kirem, wpatrując się w napięciu w stojące za nim zwierciadło. Dziewulski odnotował, że wszystkie okna są zasłonięte, a jedyne źródło światła to srebrny lichtarz pośrodku stolika. Palenisko kominka zamaskowano parawanem. Wysoki, patriarchalny zegar odmierzał czas właściwie.

Dziewulski usiadł na jednym z czterech wolnych krzeseł o dekoracyjnych oparciach. Dwa kolejne zajęła para staruszków, których jeszcze w holu wyprzedził. Ostatnie – wyższe, zasłonięte czarną, połyskliwą materią, stojące dokładnie naprzeciw zwierciadła – pozostawało na razie wolne. Dziewulski przyjrzał się zgromadzonemu towarzystwu: jedna znudzona pannica o podcieniowanych powiekach, podpierająca głowę na dłoni tak, jakby paliła niewidzialnego papierosa w fifce. Jeden dżentelmen, robiący ukradkiem notatki w malutkim kajecie, jedna siwowłosa matrona o wyniosłym spojrzeniu i takiejż fryzurze, pnącej się nad jej pomarszczoną głową na modłę francuską. Staruszkowie trzymali się za ręce, on poklepywał jej dłoń pocieszającym gestem. Nikt nie rozmawiał. Wszyscy czekali.

Wraz z wybiciem siódmej do salonu niczym duch, bezgłośnie, acz majestatycznie, weszła młoda kobieta w obszernej sukni z czarnymi cekinami, jakby podpartej wymyślną krynoliną. Oblicze kobiety przypominało trupią maskę za sprawą osobliwego makijażu, czoło oplatała ozdoba z koronki i agatowych wisiorów. Zbliżyła się do stołu, zajęła miejsce przy pustym krześle, nie usiadła jednak.

– Witam. Jestem Madame Rose – przemówiła mglistym tonem. – Niechaj rozpocznie się wieczór zadumy i refleksji. Niechaj żywi spojrzą tęsknie w oblicza zmarłych, a dusze, tułające się w wiecznej pokucie, niechaj zazną przebaczenia...

Drzwi salonu zamknęły się bezszelestnie, odcinając pobłycki piękny kandelabra.

– Podajcie sobie dłonie. Stwórzcie krąg, przez który przepłynie energia życiowa i ośmieli tych, co czekają za zasłoną śmierci...

Dziewulski podał prawą dłoń staruszkowi, który ucisnął go mocno, a lewą znudzonej pannicy. Madame Rose nie stała się częścią kręgu. Górowała nad nim, oglądając ich kolejno przenikliwym spojrzeniem. Dziewulski odwzajemnił je bez skrupułów z hardym sceptycyzmem

w oku. Kobieta uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Dobrze.

Wyszła zza stołu i przysunęła się do zwierciadła. Dziewulski nie usłyszał jej kroków na parkiecie. *Miękkie podeszwy*, pomyślał.

– Oto słynne Zwierciadło Bernengerów, starożytny relikw, używany w zamierzonych czasach do rytuałów związanych z pierwotnymi wierzeniami. Jest to groźny artefakt, jeśli trafi w ręce ogarniętego arogancją dyletanta...

Dziewulski puścił mimo uszu przemowę pełną niedopowiedzeń i fantastycznych aluzji. Zaczął poszukiwać wzrokiem ukrytych źródeł światła i cieni, konturów czy aktorów w czarnych kostiumach, w zwierciadle mających ukazać się jako lewitujące głowy. Pozostali – łatwo było zgadnąć – w skupieniu obserwowali kryształową taflę, całkowicie porzucając racjonalizm, dając wciągnąć się w grę Madame Rose.

Ona tymczasem poprosiła parę staruszków o wypowiedzenie imienia osoby, którą chcieliby przywołać z zaświatów.

– To nasz syn, Sławomir Bożyński. Zabito go w bitwie z bolszewikami.

– Powtórzcie jego imię. Czuję, że usłyszał zaproszenie... Nie puszczajcie swych dłoni, to zakazane!

– Sławomir Bożyński! – rzekł z mocą starzec.

– Powtarzajcie, on się zbliża, jest tuż...

– Sławomir Bożyński!

Madame Rose sięgnęła za zwierciadło. Dziewulski oczekiwał, że pociągnie z jakiś sznurek, uruchomi projekcję, ale ona tylko podniosła z niewidocznego stolika kryształową karafkę z przejrzystą cieczą. Uniosła ją nad taflę zwierciadła i przechyliła, a wątki strumień przezroczystego płynu zaskakująco szeroko rozlał się po powierzchni zwierciadła.

– Obserwujcie – odezwała się smutno Madame Rose. – Państwa syn jest wśród nas.

– Sławku...! – zapłakała staruszka, wyciągając dłonie w kierunku lustra. – Sławeczku!

Dziewulski skupił wzrok w zwierciadlanym odbiciu, niespotykane głębokim. Coś majaczyło tam, w potoku przypominającej wodę cieczy. Czyżby twarz? Rozejrzał się. *To nie może być oblicze nikogo z obecnych, twarz jest duża, przeczy perspektywie i kątowi odbicia...*

Niewyraźny, drgający awatar wypływał z czarnych odmętów lustrzanej ułudy. To był człowiek, może nawet mężczyzna, trudno rozpoznać, ale staruszkowie nie mieli wątpliwości. Ogarnęła ich ekstatyczna rozpacz. Dziewulski czuł, jak pokryte brązowymi plamami, pomarszczone palce wzmagają nacisk na jego dłonie.

– Sławeczku, przebac nam, żeśmy cię z ojcem tak potraktowali!

– Synu, sam proszę o przebaczenie, to mój charakter, wiesz, nie usprawiedliwiam się, żałuję tych słów, tego piekła, na którym cię w taki sposób wyprawił. Gdybym wiedział, że uciekniesz, że

się zaciągniesz, że to ostatnie, co ode mnie usłyszysz... – Starzec wyrzucał z siebie boleść drżącym, wilgotnym głosem. – Powiedz, że mi przebaczasz, daj jakiś znak...

To okrutne, pomyślał Dziewulski. Bezlitosne oszustwo! To może być każdy!

Odsunął krzesło. Wyswobodził lewą dłoń. Wstał, sięgając do kieszeni.

– Dość tych sztuczek! – zawołał, zapalając latarkę, która omiotła wszystkich mocnym, białozółtym światłem. – Proszę wyjść zza tego lustra!

– Nie wolno przerywać...! – krzyknęła Madame Rose.

Znudzenie znikło z twarzy pannicy, a matrona zaklęła jak pijany chłop. Starzec zacisnął dłoń, więząc Dziewulskiego, który próbował wyrwać się, oswobodzić, początkowo grzecznie wobec seniora, potem już z irytacją. Zagotował się, spocił, jego wilgotne palce wyślizgnęły się z uścisku. Oblicze w zwierciadle zatoneło na powrót w ciemności.

– To aktor! Rzecz w tym, czy projekcja świetlna, czy żywa osoba, która zakradła się od tyłu – dowodził Dziewulski, podchodząc do Madame Rose z wycelowanym w nią palcem i latarką w drugiej dłoni. – Jak pani nie wstyd! Oszukiwać starszych, nieszczęśliwych ludzi!

Madame Rose milczała z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Ty łajdaku! Niech cię szlag! – zachrypiał starzec, chwytając się za serce tą samą ręką, która przed chwilą trzymała Dziewulskiego. Z kącika jego ust pociekła ślina. – Bądź przeklęty!

– Lekarza! Dzwoncie po lekarza! – krzyknęła pannica i wybiegła z salonu. Pryśła czarowna, tajemnicza atmosfera, gdy do salonu wniknęło zwykłe, elektryczne światło.

Dziewulski pospiesznie schował latarkę, przyskoczył do osuwającego się z krzesła starca, podtrzymał go.

– Spokojnie, pomogę panu, znam się na tym...

– Bądź przeklęty! – wysyczał mu prosto w twarz starzec.

Zamknął oczy. Jego oddech ucichł, pierś opadła. Mimo różnych metod przywracania życia, które Dziewulski wzorowo zastosował, już się nie obudził.

Przygoda Dziewulskiego ze spirytyzmem zakończyła się nader ponuro. Porzucił szybko tę dziedzinę, tak jak człowiek, który zdał sobie sprawę, że przypadkiem nabrał w usta wrzątku i wypłuka go natychmiast. Nie przestraszyła go możliwość obcowania z nieznanym – o nie. Tu miał pewność, że to wszystko oszustwo, blaga. Przeląkł się nad wyraz emocjonalnych reakcji ludzi, hysterii zawodu. Zresztą wieść o jego zachowaniu rozeszła się w światku spirytystów, wróżów i im podobnej cyganerii; Dziewulskiego nie wpuszczano na pokazy, wymawiając się brakiem miejsc, koniecznością rezerwacji, a czasem przepędzając go nader brutalnie. Rzucił to więc w diabły. Dociekliwość i rozległą wiedzę zaprzął do pracy dziennikarskiej w łódzkiej gazecie codziennej,

gdzie doceniono rzutkiego młodego człowieka o szerokich zainteresowaniach.

Następnej jesieni, gdy zimny wiatr hulał po mieście, otrzymał Dziewulski enigmatyczne zaproszenie na seans „Natura śmierci”, mający się odbyć w pociągu do Krakowa. Wydrukowane srebrnymi literami na czarnym, włóknistym papierze; zawierało także bilet z nieodległą datą. Wykorzystał swoje dziennikarskie znajomości, by dowiedzieć się czegoś o tym seansie, jednak bez skutku. Nikt o niczym takim nie słyszał, nie kojarzono stylu zaproszenia, nie znano drukarni, która je wykonała. To zafrapowało Dziewulskiego. Jego dawne zainteresowania powróciły echem z przeszłości – wraz z nimi niemiłe wspomnienia. Jednak wrodzona ciekawość upilnowała, by podjął decyzję o wzięciu udziału w seansie.

Wyznaczonego dnia, który przypadł na koniec ponurego października, udał się na dworzec z lekkim bagażem, obejmującym chudą walizkę z bielizną i koszulą na zmianę, brzytwą, gazetą, prowiantem i przyborami do pisania. Wieczór był zimny, dżdżysty. Dziewulski nasunął głębiej kapelusz na głowę, podciągnął kołnierz płaszcza. W oczekiwaniu na pociąg spacerował po pustym peronie, przekładając walizkę z jednej ręki do drugiej, chuchając od czasu do czasu w dłoń. Krople mżącego deszczu lśniły nad torami, wijącymi się niczym złote węże.

Punktualnie o siódmej pojawił się stary skład. Ziejąca parą lokomotywa rozświetliła półmrok, któremu żółte, dworcowe latarnie słabowicie uległy. Gdy zatrzymała się, otwarto drzwi wagonów. Dziewulski odnalazł ten z numerem trzy, wspiał się po schodkach i udał do wyznaczonego przedziału. Siedział w nim już jeden mężczyzna, zanurzony w lekturze gazety, którą trzymał rozpostartą szeroko przed swoją twarzą. Dziewulski zajął miejsce przy oknie, skontrolował zaproszenie i bilet, tkwiące w wewnętrznej kieszonce płaszcza. Walizkę wsunął pod siedzenie. Nie lubił, by jego bagaż podróżował na widoku, kusząc złodziei. Za chwilę lokomotywa zwlokła wagony z peronu; Dziewulski nasunął kapelusz na oczy, otulił się ramionami (wciąż siedziało w nim złośliwe, jesienne zimno) i zamknął oczy. Liczył na szybkie nadejście konduktora, po którym będzie mógł się zdrzemnąć.

Ocknął się jakiś czas później. Pociąg sunął przez nieokreślony mglisty pejzaż z jednostajnym, przytłumionym łoskotem. Dziewulski ledwie otworzył oczy. Senność trzymała się

go jak choroba, bowiem wrażliwy był na niskie ciśnienie. Rozejrzał się. Musieli już dawno wyjechać z miasta, a jednak nikt nie pytał go o bilet. Po szybie płynęły armie kropel deszczu w zniekształcających krajobraz smugach. *Deszcz i mgła?* – zapytał sam siebie, wątpiąc, że te zjawiska mogą występować jednocześnie.

Jedyny towarzysz podróży wciąż czytał gazetę. Dziewulski zdziwił się nieco. Mężczyzna znajdował się w podobnej, może nawet tej samej pozycji. Dziewulskiemu już dawno zdrętwiałyby ręce, gdyby trzymał je tak szeroko rozłożone.

– Pan też na seans? – zagadnął beztrąsko.

Nieznajomy nie zwrócił na niego uwagi.

Pociąg jechał z niezmienną prędkością. Dawno już nie zatrzymał się na żadnej stacji. Konduktor najwyraźniej zasnął, pewnie zaszył się w którymś z przedziałów. Dziewulski nie miał zamiaru ułatwiać mu pracy. Zaczął śledzić zaczytanego w gazecie współpasażera. Coś go dręczyło, niepokoiło, coś, czego nie można potwierdzić krótkimi spojrzeniami, rzucanymi co chwilę niby przypadkiem. W nieznajomym był jakiś osobliwy pierwiastek, jakaś niedająca spokoju zadra intelektualna.

– Przepraszam! – powiedział oficjalnym tonem, chcąc potwierdzić swoje podejrzenia. – Czy mógłby pan użyczyć mi stronę gazety? Zapomniałem książki, a jadę dość daleko...

Mężczyzna nic nie powiedział. Ani drgnął. Dziewulski wpatrywał się w niego z uwagą. Nieznajomy przełożył stronę gazety. Uczynił to gestem tak mechanicznym, jakby był automatem, stworzonym do wertowania gazet. Jednak jego oczy w cieniu oczodołów nie poruszały się. Już zupełnie otwarcie obserwował go Dziewulski, nie czując skrępowania wobec dziwnego, milczącego osobnika.

– Słyszysz mnie pan? – zapytał donośnie. Żadnej reakcji.

Trochę walczył ze sobą Dziewulski, rozdarty między obojętnością a ciekawością. Czuł się zignorowany, mógłby więc znów się zdrzemnąć albo wyciągnąć z walizki własną gazetę i potraktować tamtego na jego modłę. Jednocześnie kusiło go, by jakoś zakłócić niewzruszone skupienie nieznajomego, coraz bardziej przypominającego kukłę z jakimś prostym mechanizmem zegarowym, napędzającym tylko jedno ramię. *Może cudzoziemiec?* – pomyślał. To jednak nie usprawiedliwiałoby gburowatego usposobienia. Dociekliwość Dziewulskiego kazała mu zbadać sprawę.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał z udawaną troską i pochyliwszy się ku nieznajomemu, położył mu dłoń na prawym przedramieniu.

W pierwszej sekundzie nic się nie stało. Dziewulski już zdążył skonstruować w myślach

następne posunięcie, ale nagle... Nagle nieznajomy człowiek rozlał się po siedzeniu i podłodze w tłustą, brązowo-czerwoną breję. Jak woskowa figurka wrzucona do rozpalonego pieca, ciało spłynęło z kości. Te od razu rozsypały się jak wypuszczona z dłoni wiązka patyków. Garnitur męczyzny, zmięty i poskręcany, opadł na siedzenie niczym wyschnięta wężowa skóra.

Dziewulski odskoczył z głębokim westchnieniem strachu. Na jego oczach resztki nieznajomego podlegały ostatecznemu niszczeniu, jakby pożerane przez niewidzialne robactwo. Najpierw kałuża miękkich tkanek, pachnąca jak krew, i wilgotna skóra. W tym czasie kości sporowaciały, spróchniały, straciły kształt, przypominając teraz białawą pleśń.

Została tylko gazeta, mokra od pozostałości ciała mężczyzny, który już niemal znikł. Mdlący odór zgnilizny przenikał zwykłą woń tapicerowanych siedzeń. Dziewulski chwycił walizkę i wypadł z przedziału; w drzwiach jeszcze poślizgnął się na parującej kałuży resztek. Był niemal pewien, że śni, że to koszmar dławi jego umysł makabrycznymi obrazami. Ale zaraz potem uderzył w zamknięte okno naprzeciw rozsuwanych drzwi przedziału i poczuł ból potylicy oraz ramienia, ból zbyt rzeczywisty, by mógł być wyśniony.

– Majaki – szepnął Dziewulski, zaprzęgając umysł do analizy sytuacji. – Przywidzenia, halucynacje... Może to jakaś sztuczka teatralna? Inscenizacja? Żart? Wszystko to podejrzane, to zaproszenie, ten seans...

Z walizką objającą się o nogi Dziewulski ruszył korytarzem w kierunku lokomotywy, by szukać pomocy. Każdy kolejny przedział, do którego zaglądał, był pusty. Firanki porozsuwane, światła pogaszone. Deszcz zalewał szyby tak równomiernie, jakby tworzyła się na nich krystaliczna powłoka – to jedyny zauważalny ruch.

– Jestem tu sam – powiedział do siebie, by szybciej się z tą myślą oswoić. – Sam w całym wagonie, może nawet pociągu...

Dotarł do przejścia między wagonami. Otworzył drzwi, niepewnie przeszedł po metalowej kładce, trzęsącej się i hałasującej, wpadł przez kolejne drzwi na identyczny korytarz. Wzdłuż niego ciągnął się znów rząd pustych przedziałów. W następnym tak samo, i dalej... nie było nikogo, żadnego pasażera, nawet konduktora, mechanika. Dziewulski był jedyną żywą duszą w pociągu. Co gorsza, zdającym się składać z samych wagonów. Wsiadł do trzeciego, a przeszedł już sześć czy siedem i nadal nie dotarł do lokomotywy.

– Nie śnię, to nie omamy... – konkludował w bezsensownej wędrówce. – Czyżbym zwariował? Wiem, jak się nazywam. Ignacy Dziewulski. Jadę na zaproszenie... czyje? Nie wiem. Nie trzeba było wsiadać do tego pociągu, co mnie podkusiło! Co seans, to kłopoty... Niech to cholera!

W ósmym wagonie zatrzymał się wreszcie, odetchnął. Czuł straszną niepewność, dezorientację, przerażenie, gdy myślał o milczącym nieznajomym, który na jego oczach przestał istnieć. Jego powierzchowność nie była zupełnie obca, pewne cechy mogłyby go charakteryzować

jako członka rodziny Dziewulskich. A nawet... nie, to niemożliwe!

Pociąg wydawał się nie mieć końca, nie zatrzymywał się, nie zwalniał ani nie przyspieszał. Koszmar przenikał do rzeczywistości, osaczając rozgorączkowanego Dziewulskiego. Ten jednak, choć osamotniony i wystraszony, nie zamierzał się poddawać.

– Wiem! – krzyknął do siebie.

Upuścił walizkę, złapał za klamkę okna i ściągnął ją na dół. Spodziewał się uderzenia wiatru, hałasu, chłodu... ale nic takiego nie zaszło. Pociąg sunął przez mglistą przestrzeń, a dźwięki, które temu towarzyszyły, wydawały się odcięte od praw fizyki, akustycznie przekłamane. Ulewny deszcz był zimny, ale nie powodował wrażenia wilgoci. Dziewulski wyjrzał przez okno ku przodowi. Nie zobaczył lokomotywy, tylko posępny sznur wagonów z oświetlonymi korytarzami, ciągnącymi się chyba w nieskończoność.

Zamknął okno i opadł na podłogę obok swej walizki.

– To musi być sen – mruknął w desperacji. – Cóż innego...

Kątem oka zauważył ruch z lewej strony. Spod drzwi ostatniego przedziału coś sączyło się wolno, jak mgła, ale czarna. Opar obdarzony intuicją kształtu, bowiem rosnąc powoli nad podłogą, upodabniał się do ludzkiej sylwetki. Dziewulski wycofał się na czworakach. Węszył za jakimś zapachem, bo może to trujący gaz, może ciężki dym... poczuł zwietrzałą woń starych perfum i potu.

Opar ukształtował się w człowieczy bałwan, nie zachowując jednak stałej formy w złowieszczej drwinie z praw natury. Niepewnie wysunął czarną stopę, potem drugą. Zbliżał się do Dziewulskiego, ten zaś cofał się rakiem, wlokąc walizkę z głośnym chrobotem. Zjawa otworzyła paszczę – czarniejszą jeszcze jamę, z której wylał się kłęb mglistej substancji – i przemówiła głosem o fałszywym, rozdrobnionym brzmieniu:

– Czas już! Nadchodzi.

– Co? – zapytał Dziewulski jęklwym głosem.

Zjawa zbliżała się. Jego umysł rwał się do analizy, do rozpoznania rodzaju czarnego gazu czy oparu, lecz więził go strach. Strach znacznie głębszy niż nauka, niż cywilizacja – pierwotny, intuicyjny, obezwładniający, osłabiający kończyny i mącący myśli.

– On nadchodzi.

– Nie rozumiem...

Spod najbliższych drzwi rozlała się czarna kałuża i wydłużyła w kolejną sylwetkę, zwróconą ku Dziewulskiemu. Zaraz potem wyrosła jeszcze jedna i następne – tłum mamroczących, czarnych postaci, sunących korytarzem coraz bliżej, bliżej. Dziewulski wstał, podniósł walizkę i rzucił się do ucieczki w przeciwną stronę. Co chwilę jego buty zanurzały się w czarnych plamach, sączących się

z przedziałów; za każdym razem stopę paraliżowało chłodne odrętwienie. Cienie wlokły się jego śladem.

Skoczył do następnego wagonu. Ucieczka wydawała mu się bezsensowna – zjawy były wszędzie, a pociąg nie miał końca. Nic mu jednak więcej nie zostało, bo...

Staął nagle. Coś zastąpiło mu drogę. Jeszcze jedno widmo, to jednak zjawiło się nagle, miast powoli wysunąć się z przedziału. Było też wyraźniej ukształtowane w formę toczonego robactwem truchła. Widmo otworzyło paszczę i zajazgotało w groteskowym rechocie. Jego oczy zdawały się wypływać z czaszki w nieprzerwanym strumieniu.

– Mam cię wreszcie! Łajdaku! – Głos jak echo wydobył się z czernistej gardzieli. Dziewulski nie był pewien, czy słyszał jedną osobę (*osobę?* – skarcił się zaraz), czy cały upiorny chór. – Już jesteś mój!

Dziewulski zadrżał, jakby wypełnił go lód. Zamachnął się i cisnął walizką w demona. Mglista, niedokończona sylwetka rozprysła się na dziesiątki wirujących języków, co natychmiast wykorzystał, przedzierając się przez nie w rozpaczliwej ucieczce. Szarpnął drzwi łącznika i wszedł między wagony. Zerknął za siebie – widmo ruszyło w pościg, a pozostałe doganiały je, szepcząc i mamrocząc nieludzkimi głosami, aż ciarki szły po plecach. Dziewulski nie zastanawiał się, bo i umysł w takiej sytuacji na niewiele się zdawał. Zostawił walizkę i pomknął naprzód kolejnym wagonem, a potem jeszcze następnym, podświadomie pewien, że przecież porusza się szybciej.

Wagony wyglądały tak samo – wąskie, oświetlone korytarze i rzędy czarnych szyb przedziałów. Dziewulskiego dławiło rozpaczliwe poczucie bezsensu, gdy biegł nie wiadomo jak długo i daleko. Wreszcie stanął, oparł się o okno i wziął kilka oddechów. Nawet jego płuca drżały w trwodze. Słyszał już chór ścigających go widm oraz to, które chciało chyba igrać z nim w jakimś śmiertelnym zamyśle. Ucieczka mogła trwać w nieskończoność. *Skoczę! Nic innego nie zostało. Wyskoczę z tego diabelskiego pociągu!* – myślał desperacko. Nawet jeżeli miał spotkać śmierć, a przecież ostatecznie do każdego przyjdzie i każdy jej się pokłoni – to przynajmniej sam wybierze czas. Zaraz jednak trochę się opamiętał. Słyszac szepczące głosy, narastające z prawej strony, ale jeszcze niewidoczne, uczynił to, co dopiero teraz przyszło mu do głowy: cicho rozsunął drzwi najbliższego przedziału i ukrył się w zimnej ciemności.

Od razu jego buty roztrąciły niewidoczne drobne przedmioty. Dziewulski przycupnął między siedzeniami, przodem do drzwi i czekał. W przedziale widział tylko zamglone okno i oświetlony korytarz. To, co się wokół znajdowało, nie było nawet kształtem, choćby zarysem. Podniósł jedną z tych małych rzeczy do oczu. Choć niemal dotknęła jego nosa, nie widział ani jej, ani swojej dłoni. Był to lekko chropowaty sześcian, chyba z drewna. Jak klocek, jeden z tych,

którymi bawił się w dzieciństwie – malowano je w kolorowe litery i cyfry. Wziął coś jeszcze – miękką kulkę, nierówną i dziurawą. Poczuł jakby znów trzymał w dłoni swoją szmacianą piłkę. Jego palce błędziły po podłodze w poszukiwaniu kolejnych przedmiotów. Znalazł skórzany pasek z klamrą i medalionem. Przypomnił sobie, że jego rodzice mieli kiedyś psa, Rydza, który zdechł, gdy na Dziewulskiego wołano jeszcze Ignaś. Był też tam lekki blaszany pistolecik z mechanizmem na gumkę recepturkę, wydający głośny trzask po naciśnięciu spustu i coś, co wywołało oszałamiającą mieszkankę emocji – od smutku, przez żal, po strach. Stary wypchany miś ze szmatek, jego miś, z guzikowymi oczami i naderwaną łapką. Może na świecie było więcej takich misiów, może mógłby przypadkiem trafić na jakiegoś innego, ale pamięć ciała go nie zawiodła. Przytulił zabawkę i poczuł się tak, jakby znów był chłopcem.

Na korytarzu panowała grobowa cisza. Dziewulski zdecydował, że ruszy dalej – a jeśli z obecnego położenia nie będzie innego wyjścia, to zrealizuje wcześniejszy zamiar. Albo wróci do tego przedziału, zaśnie i kto wie, co się wtedy stanie? Cały zamysł jego dręczycieli – ludzi czy demonów, kimkolwiek byli kreatorzy tej sytuacji – spali na panewce. Zabrał misia i rozsunął wolno drzwi. Korytarz był pusty. Mglista pustka okna odbijała zmęczone, blade oblicze Dziewulskiego. Spojrzał w lewo, w prawo. Nic. Cisza, jeśli nie liczyć głuchego stukotu kół.

Poszedł dalej w prawo, czyli tam, gdzie – jak mniemał – musiała znajdować się lokomotywa. *Coś w końcu musi ciągnąć ten pociąg, czyż nie?* – sugerował sam sobie, a jakiś złośliwy głos odpowiedział: *To jest wielka pętla wagonów, jeździ w kółko jak karuzela, nigdy się nie zatrzyma.* Ciekawość jednak nakazała mu sprawdzać przy okazji, co znajduje się w następnych przedziałach, toteż idąc w urojonym kierunku na lokomotywę zaglądał do tego lub owego, odnajdując kolejne osobliwości. W jednym wymacał stary piec kaflowy z fajerkami, pasujący do wspomnienia z dzieciństwa na wsi. *Jak go tu przyciągnęli?* – dumał. *Może to tylko scenografia? Tylko kto byłby tak przebiegły? Nikomu o tych rzeczach nie mówiłem!* Dalej odnalazł konia na biegunach, który rozhuśtał się pod jego dotykiem jak dawniej. Z kolejnego przedziału uciekł z lękiem i obrzydzeniem – wydawało mu się, że w mroku dotknął ziemi wraz z leżącą w niej stertą suchych liści i gałęzi. Po chwili zrozumiał, że to mieszanina zeskorupiałych, delikatnych tkanek oraz kości. Grób.

Cóż to za koszmarne miejsce? – zapytywał sam siebie, idąc ostrożnie z kapeluszem na głowie i misiem pod pachą. *Sen, czy jawa? Wszystko można namacać, wszystkiego dotknąć, ból jest*

wyraźny, *ale wszystko inne... Jak ja się wydostanę z tej kabały?*

– Nigdy się pan nie wydostaniesz! – zasyczał mu przy uchu znajomy upiorny głos.

Dziewulski krzyknął z zaskoczenia, odwrócił się prędko. Stało przed nim mgliste, czarne widmo, z paszczą ziejącą wodospadem obłoków. Oczodoły były puste, a jednak zdawały się patrzeć nienawistnie.

– Kim jesteś?

– Nie pamiętasz! – wydyszał gniewnie upiór. Za nim materializował się powoli jego cienisty dwór. – Przeklęty łajdaku! Za całe zło, któreś mi uczynił, za żalobę mojej żony, duszy przeczystej, jam cię tu sprowadził! I będziesz tu tkwić, jak długo Szatan trzymać będzie w mocy moją duszę! Wiedz jednak, że choć jestem zgubiony, że choć ból jest moim oddechem, moją egzystencją całą, rad jestem! Rad, że cię tu ściągnął na potępienie!

Coś w nieludzkim głosie, w doborze słów przywiodło wspomnienie seansu spirytystycznego u Madame Rose. Przypomniawszy sobie Dziewulski starca, którego zawód przezeń wywołany zabił. I teraz dopiero zdał sobie sprawę, że to rocznica tamtego wieczora: dzień ten sam. A godzina? Któż wie! Nic tu nie mogło świadczyć o czasie, tylko ciemność dawała przekonanie, że jest noc. Dziewulski przełknął ślinę, cofając się w powolnej rejteradzie, której widma zdawały się nie zauważać. Tym razem nie podjęły pościgu.

– Gdzie jestem?

Upiór zachichotał, aż Dziewulskiemu zaschło w gardle.

– Jesteś, mój panie, w swoim ostatnim pociągu. I pierwszym, i wiecznym, to jest bowiem twój los, gdy się otrząśniesz z ułudy życia – gonitwa nieskończona. Człek niewinny dotarłby wreszcie do końca podróży w Niebiesiech, a grzesznik – w czeluść Piekieł. Tyś jest przeklęty i nie dojedziesz nigdzie! Nie wyrwiesz się stąd, nie uciekniesz, jak to teraz czynić próbujesz! Nie ma dokąd uciec, a ja cię zawsze znajdę i zawsze gnębił będę, póki wieki nie wypełnią mojego długu u Szatana!

Gdyby Dziewulski był człkiem religijnym, najpewniej zakląłby się na Boga, błagał o łaskę, wezwałby Anioła Stróża w akcie rozpaczliwym a ostatecznym. Być może nawet uzyskałby posłuch, być może wydarto by go z koszmarniej matni, niosąc ku wolności i zbawieniu. Być może. Tu jednak, w obliczu beznadziejnej klęski, jego bystry umysł załamał się wreszcie doszczętnie. On żył faktami, danymi, nauką, a tu nic się nie zgadzało, nic się nie dało pojąć, policzyć. Intelkt buntował się wobec tego, co zaobserwował, analiza dawała wyniki sprzeczne, absurdalne, bezwartościowe.

Dziewulski osłabł, potoczył mętным spojrzeniem zagonionego w pułapkę zwierza. Uciekał tak długo i nie uciekł, krył się i nie uchował. Zatęsknił za wszystkimi marnościami życia, które

przetrwonił na połykaniu wiedzy, która w momencie decydującym na nic mu się zdała. Przeklął to wszystko, małą otuchę znajdując w dotyku misia, swego misia z dzieciństwa. Znalazł go tu, gdzie sumowało się jego życie – zapewne szukając dłużej, znalazłby więcej artefaktów, tych istotnych i tych zapomnianych...

Jednak on już nie miał sił na poszukiwanie, na ucieczki, na analizy, dociekania. Serce w nim ocieężało, mózg stępiał, nogi zmiękły. *To koniec* – pomyślał. *To koniec tej całej wieczności*. Ujął mocniej przytulankę, tak jak wtedy, gdy w dziecięcym łóżku zasypiał z nią, wtuloną w policzek i runął na okno, taranując je ramieniem. Krucha szyba roztrzaskała się od razu i coś – jakaś siła nie do pojęcia – wysłała go z pociągu, porwała w obłądny, nieskończony niebyt. Dziwulski przyjął go z obojętnością i z taką samą obojętnością został przyjęty. A potem wszystko stało się jeszcze dziwniejsze, zbyt dziwne, by pojąć to mógł ten, kto nie uznaje wiary.

Kilkadziesiąt lat później, w zdewastowanym, pordzewiałym wagonie zabytkowego składu, ufundowanego przed laty przez rodzinę Bernengerów, znaleziono spróchniały szkielet. Wagon dawno temu zepchnięto do hali, gdzie oczekiwał renowacji. Przyszły jednak złe czasy i odnowy zaniechano, podobnie jak zwykłej konserwacji. Nawet nie przypomniano sobie o nim, o nie – natrafiono nań przypadkiem, gdy świat zmienił się na nieco lepsze. Przy pierwszej inspekcji dostrzeżono resztki kości, pełny szkielet, a także strzępy ubrań i zbutwiałą walizkę pod siedzeniem. Zdziwienie wywołał ten samotny pasażer w nieczynnym pociągu. Dlaczego tam wsiadł? – pytano bez sensu, bo nikt nie mógł znać odpowiedzi. Śledztwo dowiodło jedynie, że znalazł się człęk, co kiedyś zaginął. Dziennikarz, bystry, obeznany ze światem. Więc dlaczego tak skończył? Czy był pijany? Szalony? A może morderstwo? Sprawę zostawiono nierozwiązaną, aż stała się legendą.

Czasem jeszcze – nawet dziś, w tych okrutnie przyziemnych, doczesnych czasach – starsi pracownicy kolei stawiają nieufnie pasjansy, zapytując: „upity?”, „zabity?”, „zbłąkany?”. Karty jednak nigdy nie układają się jak należy, nie dają jasnej odpowiedzi. Sens losu samotnego pasażera, jak zaczęto go nazywać, błądzi nadal poza granicami logiki, tak jak nieodgadniona jest (i zapewne długo jeszcze będzie) natura śmierci.

rys. Roman Panasiuk



Parasolka

Sandra Gatt Osińska

Pusta skorupa zwana niegdyś ciałem stała pośrodku ulicy, patrząc beznamiętnie przed siebie. Nie towarzyszyła jej żadna myśl, trwała jedynie w bezkresnej ulewie. Deszcz spływał po pozbawionej emocji twarzy, a włosy kleiły się do bladych policzków. Pierś unosiła się powoli i opadała ciężko z każdym oddechem. Pięść zaciskała się sama, jakby łapiąc cenne powietrze.

Nie zwracała na siebie uwagi, po prostu stała wśród tłumu. Nikt nie przejmował się tym, że mokła, mając na sobie jedynie letnią sukienkę. Jej skóra była przeraźliwie cienka i delikatna, a oczy opuchnięte od płaczu. Co takiego mogła utracić? Czy ktoś bardzo ją skrzywdził? Kim była?

Siedziałem w ciepłej kawiarni tuż przy oknie i patrzyłem na tę postać. Wokół unosił się aromat kawy, lecz straciłem na nią ochotę. Intrygował mnie spokój owej dziewczyny,

która stała po drugiej stronie ulicy. Zawsze tam była. Wyglądała, jakby czekała na kogoś, lecz ta osoba nigdy się nie pojawiała. Było mi jej żal. Nie znałem nawet jej imienia, ale czułem, że kryje się za nim jakaś niesamowita historia. W myślach nazwałem ją Cosette.

Widziałem, jak samochody przejeżdżają obojętnie z nadmierną prędkością, ochlapując przechodniów. Szara sukienka zrobiła się brudna, a ozdobione czarnymi kokardkami lakierki na obcasie pokryła warstwa błota. W kawiarni panował spory ruch, kto mógł, chował się tu przed deszczem. Większość klientów była zaabsorbowana sobą. Rozmowy biznesowe, randki czy spotkania z przyjaciółmi – każdy był z kimś. Tylko ja siedziałem sam przy oknie i wpatrywałem się w nieznajomą, moknącą na deszczu dziewczynę.

Co się stało? Czemu płaczesz? Czy ktoś cię zranił? – w duchu zadawałem sobie takie pytania. Pragnąłem porozmawiać z Cosette, poznać jej sekrety. Pomiędzy posklejаныmi wodą kosmykami włosów widziałem jej usta, blade niczym u trupa. Wyobrażałem sobie ich ruch, kiedy wypowiadałaby swoje tajemnice wprost do mego ucha.

Nie potrafiłem dłużej siedzieć beczynnie. Skinąłem na kelnerkę i powiedziałem, że zaraz wracam. Poprosiłem, by nie sprzątała mojej kawy, mimo iż całkowicie straciłem na nią ochotę. Chwyciłem czarną parasolkę stojącą obok mojego stolika i wyszedłem z kawiarni. Stałem na przejściu dla pieszych. Cosette nawet się nie poruszyła.

Długo czekałem, aż jakikolwiek samochód łaskawie się zatrzyma. Niepokoili mnie, że każdy z nich przekraczał dozwoloną prędkość, szczególnie w taką pogodę. Przechodząc przez ogromną kałużę, słyszałem jedynie dudnienie deszczu o dach pobliskiego budynku oraz gruchanie gołębi schowanych pod nim. Spojrzałem w górę, lecz wśród czarnych chmur nie dostrzegłem nawet przeblýsku słońca.

Stałem naprzeciwko Cosette, byłem o dwie głowy wyższy od niej. Jej oczy poruszyły się pod gęstymi rzęsami i spojrzały na mnie. Poczułem dreszcz przebiegający po plecach, dopiero teraz zrozumiałem, co właściwie zrobiłem. Niebieskie zimno biło od tęczówek dziewczyny. Zmartwiła mnie ich matowość, jakby w tej dziewczynie zanikły wszystkie chęci do życia. Czyżby płomień jej egzystencji przygasał?

– Proszę – podałem jej parasol.

Zbyła mnie milczeniem, lecz mimo to byłem zadowolony, że odważyłem się do niej podejść. Rozłożyłem parasolkę nad jej głową. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Zgubiłam to – szepnęła cicho.

Spojrzałem na z zaciekawieniem na Cosette. Jej głos był delikatny niczym wiosenny wiatr.

Nagle jej oczy powiększyły się i opadła na kolana. Rękoma zaczęła błądzić po pobliskich kałużach. Brud spływał po skórze dziewczyny, a paznokcie momentalnie zrobiły się czarne, lecz nadal rozpaczliwie czegoś szukała. Jej usta wciąż szeptały coś o zgubie, było od niej przerażenie.

– Zaczekaj. – Ukląknę przy niej i ująłem ją za ramię, aby się uspokoiła. – Pomogę ci. Nie potrafisz mi pomóc – szepnęła, patrząc obłądnym wzrokiem.

Poczułem dreszcz przebiegający po plecach.

Nie musiałem długo namawiać dziewczyny na wejście do kawiarni. Była przemoczona i zziębnięta, bałem się, że zachoruje. Stolik, który wcześniej zajmowałem, czekał na mnie. Uśmiechnąłem się do kelnerki i skinąłem w podziękowaniu głową.

– Jak się nazywasz? – spytałem, siadając naprzeciwko mojej towarzyszki.

Skuliła się jedynie pod kocem, który pożyczyła jej obsługa kawiarni. Palcami objęła mocniej kubek z gorącą herbatą, aż kostki na jej dłoniach zrobiły się białe. Czego tak się obawiała?

– To nieistotne – szepnęła od niechcenia.

Uśmiechnąłem się do niej ciepło, lecz ciągle unikała mnie wzrokiem.

– Czego tam szukałaś? – zadałem kolejne pytanie.

Wzruszyła jedynie ramionami i pociągnęła łyk herbaty. Zapadła niezręczna cisza. Miałem tyle wątpliwości, które chciałem rozwiązać, lecz od Cosette promieniowała zimna niechęć do rozmowy. Zastanawiałem się nad jej osobą – pochodzeniem, zamieszkaniem, rodziną, a nawet zainteresowaniami. Intrygowała mnie do granic możliwości, powodując mętlik w głowie. Najbardziej jednak ciekawiło mnie, co takiego mogła zgubić na środku zatłoczonej ulicy.

– Powiedz mi coś o sobie – zacząłem niepewnie.

Pokręciła przecząco głową. Spuściła oczy na swój kubek, obracała go w palcach. Nie miała obrączki. W ogóle nie posiadała żadnej biżuterii. Czyżby była biedna?

Spojrzała na mnie ukradkiem, lecz szybko odwróciła wzrok. Jednym haustem wypila herbatę i westchnęła. Miałem wrażenie, że chce się uśmiechnąć.

– Muszę już iść – stwierdziła cichutko z dozą niepewności.

Poczułem, jak przyspiesza rytm mojego serca. Dziewczyna sięgnęła do swojej małej torebki i wyjęła z niej portmonetkę. Położyłem rękę na dłoni Cosette.

– Zapłacę. – Uśmiechnąłem się do niej.

Spojrzała na mnie. Jej spierzchnięte wargi znów wydały mi się nienaturalnie blade. Miałem wrażenie, że dziewczyna była chora lub nie odżywiała się odpowiednio. Przypominała zwierzę wzięte ze schroniska, obawiające się każdego gestu w jego kierunku, gdyż mógłby on je skrzywdzić.

Zsunęła z ramion koc i szybkim krokiem wyszła z kawiarni, nawet się nie zegnając. Zostawiłem pieniądze na rachunku i pobiegłem za dziewczyną.

Zdażyłem schwytać ją za rękę i odwrócić do siebie. Jej oczy rozszerzyły się.

– Nie pożegnałaś się ze mną.

Nie odpowiedziała, jedynie spuściła wzrok. Spojrzałem na jej nadgarstek i dopiero wtedy dojrzałem ślady cięcia. Czyżby kiedyś próbowała się zabić?

– Chciałem tylko wiedzieć, czy jeszcze kiedykolwiek się spotkamy – kontynuowałem.

Podniosła swoje błękitne oczy. Miałem wrażenie, że widzę w nich blask. Lecz dopiero po chwili zrozumiałem, że są to tylko łzy. Pragnąłem przytulić tę dziewczynę, powiedzieć, że będzie dobrze, choć to wszystko było niestosowne. Nawet jej nie znałem.

– Weź chociaż to. – Podałem jej swoją parasolkę. – Nie ma sensu narażać swojego zdrowia, prawda?

Wtedy nastąpiło coś niespodziewanego. Kąciki ust Cosette uniosły się lekko, a wargi wyszeptały ciche „dziękuję”. Pierwszy raz widziałem uśmiech na jej twarzy. Był niczym promień słońca w ten ponury, deszczowy dzień.

Nagle Cosette wyrwała dłoń z mojego uścisku i pobiegła przed siebie, wprost na ulicę.

Jedyne, co pamiętam, to ostry pisk hamowania i odgłos silnego uderzenia. Ciało bezwładnie przeleciało kilka metrów niczym kukła w teatrze. Nie krzychałem, zabrakło mi tchu. Nawet nie do końca rozumiałem, co właśnie nastąpiło.

Podszedłem do ciała i ukląknąłem przy nim. Krew powoli broczyła spod głowy, tworząc kolejną, rozległą kałużę. Ich romans nie był długi, gdyż zmieszane ciecze szybko spływały w brudne otwory kanalizacyjne. Nie potrafiłem uronić nawet łzy. Cosette patrzyła beznamiętnie przed siebie, zupełnie jak godzinę temu. Znów przypominała martwą, ludzką skorupę. Lecz tym razem na jej twarzy widniał delikatny, dziewczęcy uśmiech.

Czyżby to siebie wtedy zgubiła?

– Przepraszam?

Cichy głos wyrwał mnie z zamyślenia. Odwróciłem się szybko i ujrzałem kelnerkę. Nadal siedziałem przy stoliku w kawiarni, patrząc na deszczowy krajobraz za oknem. Przedemną leżał otwarty notes i pusta filiżanka po kawie.

– Mogę już zabrać? – dokończyła niepewnie kelnerka.

Podąłem jej filiżankę. Nie rozumiałem, co się wokół mnie dzieje. Poprosiłem przy okazji o rachunek, chciałem jak najszybciej opuścić ten lokal. Kiedy płaciłem, usłyszałem pisk opon i silne uderzenie na zewnątrz, gdzieś blisko kawiarni. Spojrzałem za okno, lecz widziałem jedynie grupkę gapiów. Dałem kelnerce napiwek i, chwyciwszy swój parasol, wybiegłem z lokalu.

Wokół pasów zgromadził się tłum. Widziałem czarny samochód zatrzymany niedbale na środku ulicy kawałek dalej od przejścia. Przebrnąłem przez tłum ludzi zapatrzonych na ludzką tragedię. Z samochodu wyszedł kierowca i usiadł na chodniku nieopodal wielkiej kałuży. Rękoma objął swoją głowę, kiwał się do przodu, do tyłu.

– To pewnie znowu ona – usłyszałem za sobą.

Odwróciłem się gwałtownie, głos należał do starszego mężczyzny stojącego tuż obok mnie.

– Ona? – spytałem, nie zrozumiawszy.

– Udręczona dusza, ukazująca się raz na jakiś czas w tym miejscu. Bardzo często ludzie widzą ją, przechadzającą się po tej ulicy, powoduje większość tutejszych wypadków. Co prawda dawno jej tu nie było, już myśleliśmy, że odeszła...

– Dusza? – wykrztusiłem z siebie, nie chciałem mówić tego głośno.

– Nie słyszał pan? – Mężczyzna uniósł brew.

Pokręciłem przecząco głową.

– Kilka lat temu samochód potrafił młodą dziewczynę. Wprost rzuciła się pod koła. Miała ciężką depresję, dopiero co wyszła ze szpitala. Skąd to nagle zainteresowanie? Czyżby pan ją widział?

Przełknąłem ciężko ślinę.

– Wyglądała na taką samotną... – szepnąłem, spuszczać wzrok.

– Tak, i umierając tak właśnie się czuła. Uśmiechnęła się? To znaczy, że twoje życie czekają zmiany. To bardzo silny duch. To, że jest realna, świadczy o jej potędze. W końcu duch zrodził się z jej nieodwzajemnionej miłości, a nie ma silniejszej mocy niż ona.

Deszcz powoli przestawał padać, przez chmury przebijało się słońce. Słyszałem wóz policyjny i karetkę na sygnale. Tłum wokół kierowcy zacieśniał się, do moich uszu dobiegał stamtąd jedynie głośny szloch.

– Dlaczego nadal jest wśród nas? – zapytałem mężczyznę.

– To przestroga. Objawia się tylko samotnym ludziom, próbując dać im nadzieję na lepsze jutro, by nie skończyli jak ona.

– Skąd ma pan taką wiedzę o niej? Zna pan chociaż jej imię?

Staruszek uśmiechnął się, obnażając żółte od tytoniu zęby.

– To nieistotne – szepnął znajomy głos.



tania
ksiazka.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA



• CZAS SIĘ PRZESTRASZYĆ
I POCZUĆ PRZYPŁYW ADRENALINY! •



BESTSELLERY

SKORZYSTAJ Z **5%** KODU ZNIŻKOWEGO NA ZAKUPY W **TANIAKSIAZKA.PL!**
KOD OBEJMUJE WSZYSTKIE PRODUKTY Z KATEGORII "HORROR I GROZA".

KOD RABATOWY: GROZA2014

Kod jest ważny do 31.12.2014

NIE PŁAĆ ZA DOSTAWĘ > ZAMÓW NA **WWW.TANIAKSIAZKA.PL**
I ODBIERZ ZA DARMO W **WARSZAWIE** LUB **BIAŁYMSTOKU!**

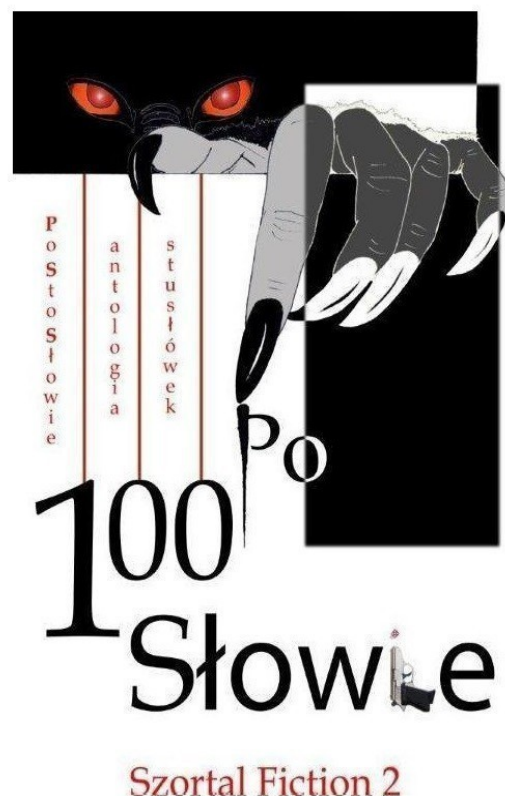
www.TaniaKsiazka.pl

fb.com/taniaksiazka

**80 autorów!
460 tekstów!**

**To tylko liczby, ale
dla nas
najważniejsze były
słowa.
A dokładniej
mówiąc, 100 słów.**

**Antologia do
kupienia w księgarni
internetowej:**



solarisnet.pl

**Tutaj miało być wyjaśnienie,
dlaczego antologia
"Postosłowie" jest dla Was
niezbędnym zakupem, ale nie
zmieścilibyśmy tego w stu
słowach, więc po prostu nie
napiszemy nic.**



Piekło, które zamarzło

Edward Horsztyński

– Abonent czasowo niedostępny. Proszę zadzwonić później. – Za każdym razem głos telefonicznej kobiety był tak samo wkurzający.

Adrianowi nie podobało się to, że abonent jest czasowo niedostępny. To „czasowo” trwało już zbyt długo. Nie podobało mu się też, że z tym abonentem zobaczy się dopiero za dwa miesiące. Nie podobał mu się jej przyjaciel, który z pewnością będzie dotrzymywać jej towarzystwa. Nie podobało mu się zimno. Nie podobało mu się to, że w Norwegii nie można kupić alkoholu po godzinie 20.00, ani to, że alkohol był tu tak drogi.

Śnieg uderzał w okno, jakby chciał zbić szybę i spuścić Adrianowi wpierdol. Motelowy pokój zdążył nasiąknąć papierosowym dymem. Oczywiście nie można było palić w pokoju, lecz on miał zamiar go opuścić, nim pokojówka czy inna cholera to zauważy.

Papierosy go uspakajały. Odpalając kolejnego Lucky Strike'a, skakał po kanałach. Palenie i telewizja pozwalały mu nie wyobrażać sobie przyjacielskich łap na jego dziewczynie. Adrian nie był zazdrośnym facetem. Miał po prostu bujną wyobraźnię. Może w innym miejscu lub czasie mógłby ją wykorzystać, by zrobić coś twórczego. W tej chwili przeklinał ją. *Och, Kamil, jesteś dobrym przyjacielem. Mogłbym pomóc ci z czymś jeszcze, Klaudio? Nie. Ufam jej – pomyślał. – I ona nie zrobiłaby mi tego. W końcu to dla nas pojechałem do tej pracy.*

– Gdy byłeś w pobliżu, nie śmiał wchodzić ci w drogę – powiedział głos w jego głowie. – A teraz, kiedy jesteś daleko...

– Przyjaźnią się od dawna. Gdyby coś zamierzał, to już wcześniej zacząłby działać. – Tym razem Adrian powiedział to na głos.

Poczuł brzydki, spalony zapach. Papieros wypalił się aż do filtra. Pilot zaś trafił na kanał, na którym leciał Tom&Jerry. Miał nadzieję, że kreskówka poprawi mu humor, lecz zamiast tego poczuł żal i irytację. Żal Toma i irytację, że nie może złapać tej cholernej myszy.

Powieki zaczęły mu ciążyć. Wolał zasnąć przed telewizorem, niż męczyć się w łóżku ze swoimi myślami. Gdy zacznie się talk-show zwany „Ja kontra ja”, nawet wykończony człowiek będzie miał problem z zaśnięciem. Zmęczone oczy w końcu się zamknęły i Adrian zasnął w fotelu.

Wiatr był jękiem tysiąca potępieńców, zagłuszając nawet telewizor. Zawodzenie wichury zlewało się ze snami, które zesłał Adrianowi Morfeusz. A śniło mu się pole bitwy. Wśród trupów leżeli ludzie, którym wróg nie dał szybkiej śmierci. Leżeli pokaleczeni włóczniami, toporami, mieczami i strzałami. Ci, którzy mieli więcej siły i odwagi, sami siebie dobijali i kończyli swą mękę. Reszta żałośnie zawodziła, a kruki niecierpliwie czekały, aż przestaną się ruszać. Następnie sceneria się zmieniła i ujrzał wisielca, który huśtał się na gałęzi pod wpływem wiatru. Od zawsze fascynowali go wisielce. Bezwładne ciało, wiatr rozwiewający długie, czarne włosy, jednocześnie lekko kołyszący zwłokami. Adrian był normalnym facetem, ale w dzieciństwie miał swoje schizy. Jedną z nich było wieszanie zabawek za szyję. Kiedyś cały pokój udekorował zabawkowymi wisielcami.

– Jesteś popierdolony – powiedziała wtedy matka.

– Jestem popierdolony – powiedział Adrian po przebudzeniu.

Czuł się wymięty. Czuł się tak, jakby ktoś go przeżuł i wypluł. Ciało miał obolałe po spaniu w fotelu. Fizycznie czuł się okropnie, a psychicznie... Sam nie wiedział, gdyż dzień się dopiero zaczął. Automatycznie sięgnął po paczkę papierosów.

– Kurwa – przeklął pierwszy raz tego dnia, gdy okazało się, że paczka jest pusta.

Telewizor był wyłączony, choć Adrian nie pamiętał, żeby go zgasił. W pokoju zaś panował półmrok, gdyż śnieg zasypał większą część okien.

Z trudem podniósł się z fotela. Kiedy to zrobił, kości głośno strzeliły. Poczuł się jak szkielet

z jakiegoś starego horroru. Do swojego coveru kapeli z cmentarza dodał solówkę, strzelając palcami u nóg i rąk oraz karkiem. Klaudia zawsze tego nienawidziła, a on kochał ją tym denerwować. *Przestań! To obrzydliwe! Brzmi jak łamane kości.* Przechodziły ją dreszcze i dostawała gęsiej skóry.

Okno praktycznie przymarzło, więc musiał mocno je popchnąć, by zrzucić śnieg z parapetu i wpuścić trochę światła i świeżego powietrza do pokoju. Od mroźnego powiewu zapiekły go oczy, a na całym ciele poczuł milion szpilek wbijających się w skórę.

– Kurwa-a-a. – Zamknął gwałtownie okno. – A mówią, że to na Podlasiu jest zimno.

W łazience przemył twarz. Przez chwilę oglądał ją w lustrze. A była to przystojna twarz dwudziestotrzyletniego faceta. W końcu Klaudia musiała coś w nim widzieć. Niemniej jednak, nigdy nie czuł się dla niej wystarczająco przystojny.

Zwykle przed lustrem ćwiczył rozmowy z ludźmi, z którymi miał się spotkać tego dnia, lub powtarzał sobie „dasz radę, Adi, dziś będzie dobry dzień, to ty prowadzisz, jesteś zwycięzcą” czy coś w tym stylu. Dziś jednak nie miał nic sobie do powiedzenia.

Kolejny już dzień się nie golił, a kilkuniedniowy zarost, który Klaudia tak uwielbiała, powoli zamieniał się w brodę. Zawsze zapuszczał brodę podczas dłuższych rozłąk z Klaudią. Razem nazywali to „brodą rozpacz i tęsknoty”.

Spakował swój bagaż, a dużo tego nie było. Trochę ubrań i rzeczy do higieny osobistej. Ojciec zawsze mu wmawiał, że jest niechlujnym bałaganiarzem i wszędzie robi syf, lecz Adrian zostawił pokój w nienagannym stanie, nie licząc zapachu tytoniu.

Młody Norweg w motelowej recepcji miał długie blond włosy i kozią bródkę zaplecioną w dwa warkoczyki. Gdyby zamienił koszulkę jakiegoś metalowego zespołu na kolczugę, wyglądałby jak prawdziwy wiking.

Gdy tylko Adrian wyszedł z korytarza, chłopak powiedział do niego coś, co było za długie na „Dzień dobry, wymeldowuje się pan?” i za krótkie na „Dawaj złoto, słowiański psie, albo ja i moi kamraci wypatroszymy cię jak rybę”.

– Przepraszam, nie mówię po norwesku – rzekł do niego po angielsku.

– Oho, kolejny emigrant przybyły tu za miodem i chlebem. Mówiłem, że raczej pan nigdzie nie pojedzie. Pański samochód jest pod śniegiem.

– Więc dostaniesz niemały napiwek, jeśli pomożesz mi go odkopać – odparł Adrian i położył klucz do pokoju na ladzie.

– Za żadne pradawne skarby moich przodków nie wyjdę na zewnątrz. Musi pan poczekać. – Chłopak przesunął klucz w stronę klienta. – Może to wygląda, jakbym próbował pana naciągnąć na kolejną noc w tym cudownym przybytku, ale sytuacja naprawdę jest tragiczna.

– Dziwne, zawsze myślałem, że wy w taką pogodę dopiero zakładacie koszulki.

– Zimy u nas są raz mroźne, a raz mroźniejsze, ale nie przypominam sobie, bym w moim krótkim życiu doświadczył takiej epoki lodowcowej. W porannych wiadomościach mówili, że tak jest wszędzie. W niektórych regionach zasypało całe domy aż po dach. Więcej nic nie wiem, bo potem wyłączyło prąd. Ale nie wygląda wcale, jakby się miało poprawić.

Młody potomek wikingów nie zrozumiał, co powiedział jego klient, lecz domyślał się, że były to same przekleństwa.

– Jak daleko jest do najbliższego miasta? – spytał Adrian po wiązance przekleństw.

– Cztery kilometry do Leiry. Ale nie dojdiesz. Gdy spluniesz, ślina zamara za nim jeszcze spadnie. Jeśli nie ma pan jedzenia, musi pan zadowolić się przekąskami z automatu.

– Skończ z tym panem, młody. Jestem niewiele starszy od ciebie. Mów mi Adi.

– Okej, koleś. Ja jestem Erik.

– A automaty z fajkami są, Eriku?

– Niestety nie.

– Jest tu ktoś oprócz nas?

– Nie, jesteś jedynym klientem. Jeśli chodzi o personel, to prowadzę ten motelik z rodzicami, którzy teraz grzeją się pod pieprzonym słońcem pieprzonego Egiptu. Mam nadzieję, że nie jesteś facetem, który lubi sprawiać kłopoty? – Erik spojrzał na Adriana podejrzliwie niebieskimi oczami. – Starzy pierwszy raz zostawili mnie samego z biznesem. Mam wykazać się odpowiedzialnością i wszystko ma być cacy, kiedy wrócą. Też masz takich okropnych starych, którzy od małego trzymają cię pod kloszem i ciągle powtarzają, że jesteś nieodpowiedzialny?

– Mam gorszych – odparł Adrian.

– Kurwa. Jak mam być odpowiedzialny, skoro nigdy wcześniej nie dostałem szansy, by wykazać się odpowiedzialnością. No, aż do teraz. Nawet zrezygnowałem z organizowania konkretnego melanżu na cały parszywy motel. Jeśli coś spieprzę, nie dostanę drugiej szansy. Muszę pokazać starym wapniakom, że jestem dorosłym, odpowiedzialnym facetem. Też tak miałeś? Że rodzice ciągle ci mówili, jaki to jesteś nieodpowiedzialny, jednocześnie nie pozwalając ci wykazać odpowiedzialnością? To właśnie przez takich nadopiekuńczych rodziców dzieci wyrastają na pierdoły.

– Co czytasz? – spytał Adi, mimo że widział złoty napis „Nordic myths” na czarnej okładce. Chciał tylko zmienić temat.

– Mitologia nordycka. Jestem zafascynowany nordyckimi kolesiami z góry... lub z dołu, których czcili moi przodkowie.

– A co z „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”?

– Wychowałem się w protestanckiej rodzinie, lecz bardziej obawiam się piorunów i młota Thora, który zabił setki lodowych olbrzymów, w zemście za wiarę w obcego boga, niż miłosiernego

i kochającego wszystkich hipisa.

– A Sodomą i Gomorę coś ci mówi?

– A co jest większym wyzwaniem dla boga? Miasto pełne starców, kobiet i dzieci czy pieprzone lodowe olbrzymy?

– Fakt – odpowiedział krótko Adrian. – Wracam więc do siebie.

– Jeżeli do zmierzchu nie wróci prąd, przyniosę ci świece – krzyknął za nim Erik. – Jeśli byś jeszcze czegoś potrzebował, będę tutaj lub w mieszkaniu na samej górze.

Zapach tytoniu w pokoju sprawił, że zatęsknił za papierosem. Adi rzucił torbę na podłogę, nie mając ochoty się znowu rozpakowywać, a następnie padł na łóżko.

– Chryste, gdybym miał jakieś inne hobby i zainteresowania niż Klaudia, to bym się tak cholernie nie nudził. Mogłem pożyczyć od niej jakąś książkę – powiedział to na głos, tylko po to, żeby usłyszeć coś innego niż wycie wiatru i twarde, zmarznięty śnieg uderzający o szybę. Podeszedł do okna, mając nadzieję, że zobaczy coś więcej niż wszechogarniającą biel. Wszechogarniająca biel. Klaudii na pewno spodobałoby się takie poetyckie określenie. Adi nie miał najmniejszego pojęcia, co taka czytana artystka widziała w takim nudziarzu jak on.

– Czym niby możesz zabłysnąć w towarzystwie? Technika smażenia frytek w McDonaldzie? Jakie środki czyszczące najlepiej myją podłogę? A może wiedzą o naprawianiu samochodów? – Głos w głowie odezwał się znowu.

– Zamknij się. Znam się na filmach. Starych, nowych, filmach Quentina Tarantino i Gya Ritchiego, Akiry Kurosawy i Johna Woo, tych z Clintem Eastwoodem i z Alem Pacino. Znam się na filmach.

I przez filmy właśnie Adrian i Klaudia się poznali. A dokładnie na forum filmowym. Ale swojemu dziecku i tak Adrian opowie, że ujrzał ją na koncercie i zakochał się w niej od pierwszego spojrzenia, lecz był zbyt nieśmiały, by zagadać. Wybawieniem dla niego był wokalista rzucający kwiaty na publiczność. Adrian złapał jeden, a potem złapał ją i spytał, czy chce być damą jego serca. Tak właśnie opowie swojemu dziecku. Dziecku, które już zaczęło powoli się kształtować w łonie jego ukochanej.

– Tylko oglądasz te filmy. – Głos nie dawał za wygraną. – Ale nie potrafiłbyś napisać nawet króciutkiego scenariusza, nie mówiąc już o reżyserii. Aktor też z ciebie żaden. Przy Klaudii i Kamilu to ty jesteś jak Adam Sandler przy Bogusławie Lindzie. Spójrz na Kamila. Długie włosy, wzrok marzyciela, pisze wiersze, gra na gitarze. Właśnie takich chłopaków woli Klaudia. Ty przy nim jesteś niedorozwiniętym beztalenciem.

– Zamknij się! – Tym razem już krzyknął. – Nie jestem beztalenciem. I w liceum nakręciłem z kumplami kilka krótkometrażowych filmów.

– Nakręciłeś? Dostawałeś zawsze nic nieznaczące role. Czasem nawet nic nie mówiłeś.

Potrzebowali tylko statysty. Oni poszli na filmówkę, zdobyli nawet jakieś nagrody już, a ty co? Po powrocie z McDonalda czy warsztatu samochodowego jedynie oglądałeś sobie „Gwiezdne Wojny”, w których nie mógłbyś zagrać nawet droida, którego Luke Skywalker prawie kupił. Nie umiałbyś z taką gracją i wdziękiem zostać prawie kupionym, a potem rozlecieć się na kawałki.

Zrobiło się jeszcze dziwniej, gdy w pokoju rozległa się muzyka z „Archiwum X”. To był telefon, który przerwał rozmowę między Adrianem a Adrianem.

Zaraz, zaraz. Zaraz. Telefon. Klaudia.

Jak pojebany rzucił się na łóżko, skąd dobiegała muzyka, która za gówniarza trzymała go w większym napięciu niż sam serial. *Klaudiaklaudiaklaudiaklaudia*. Jego umysł strzelał Klaudiami jak z karabinu maszynowego. Pod impetem lądowania na łóżko telefon zeskoczył z materaca na podłogę. *Kurwakurwakurwakurwa*. Tak abstrahując od Klaudii.

Na szczęście upadek ani nie wyłączył telefonu, ani go nie uszkodził. Na nieszczęście to nie była Klaudia, tylko jego przyszły szef.

Kurwaaaaa. Tym razem to nie brzmiało jak karabin, tylko przypominało dźwięk zestrzelonego myśliwca, zbliżającego się do lotniska, jakim była twarda ziemia. Wybuch rozszedł się echem w głowie Adriana.

Co mam mu powiedzieć? – myślał gorączkowo. Że nie zdążę dziś przyjechać? A co jeśli nie zdążę przyjechać także jutro? Bóg jeden wie, na jak długo tu utknąłem. A może nawet On tego nie wie.

Słaba bateria. Telefon się wyłączył.

Adi nawet nie miał sił, by się zezłościć. Opadł zrezygnowany na łóżko. Potrzebował tej pracy. Za jakieś osiem miesięcy na świat przyjdzie mały Adrian lub Adrianna. Ta praca była manną z nieba. Bardzo dobrą manną. Ale jeżeli taka pogoda jest wszędzie, to może szef zrozumie, że Adrian zaginął w akcji... Może nawet sam gdzieś utknął i dzwoni, żeby powiedzieć, że sam nie da rady. Na pewno.

Adrian przyjął dwie kreski na teście ciążowym i propozycję pracy jako dar od Boga. Teraz był skory klęknąć przed jakimkolwiek bogiem, nawet nordyckim. Byle się wszystko ułożyło. Albo za papierosa. Papieros zawsze dobry. Choćby nie wiadomo jak było źle, papieros zawsze ratował sytuację. Koił nerwy i pozwalał na chwilę zapomnieć o problemie. Piekło zaś zawsze wyobrażał sobie jako miejsce, gdzie jest diablo źle i nie ma fajek. Choć sam fakt, że nie ma fajek sprawia, że jest diablo źle.

Głos nieświadomie dał Adrianowi pomysł na zabicie czasu i zaimponowanie Klaudii w jednym. Adrian napisze wiersz. Z recepcji pożyczył długopis i kartkę papieru. Właściwie to wiele kartek, gdyż podejrzewał, że niejedną zakreśli, zamaże, zgniecie i porwie nim skończy. Ten wiersz musi być doskonały.

Tytuł. Adrian nigdy nic nie napisał, ale wiedział, że najpierw trzeba wymyślić tytuł. Miał szczerą nadzieję, że początek jest najtrudniejszy, a potem już pójdzie łatwo. Po dwudziestu minutach, zrezygnowany, wpisał po prostu „Bez tytułu”. Może w trakcie przyjdzie mu do głowy jakiś dobry tytuł.

W pokoju zrobiło się chłodniej. Znowu pomyślał o dymku, który mógłby rozgrzać mu płuca. W brzuchu poczuł uczucie, które zwiastowało głód nikotynowy. *Skup się*. Uderzył się otwartą dłonią w policzek. *Myśl o Klaudii, skup się na niej*. Zaciśnął dłoń na długopisie. Głęboka tęsknota wypełniła każdą komórkę jego ciała. I... nie stało się nic. Długopis nie zaczął swojego tańca po kartce, przypływ weny nie nadszedł. Wlepił pusty wzrok w pustą kartkę.

Podszedł do okna, gdzie była jeszcze większa biała pustka. Dotknął czołem szyby i obserwował taniec białej śmierci. Poczuł samotność graniczącą z rozpaczą. Miał nieodparte wrażenie, że jest Robinsonem Crusoe, albo chociaż Tomem Hanksem z „Cast Away”. Hotel zaś był wyspą na oceanie wszechobecnej bieli. Czyżby Erik miał być jego Piętaszkiem, czy tam panem Wilsonem?

– Żona Toma Hanksa nie czekała, aż wróci z wyspy. W tym czasie znalazła se nowego gacha – odezwał się głos po dłuższej przerwie.

Adrian stuknął pięścią w szybę, do której zdążyło już przymarznąć jego czoło. Przez kontakt z lodowatą taflą przerażające zimno rozeszło się po jego ciele, wypełniając także duszę. Zmroziło mu krew w żyłach, zatrzymało akcję serca i wstrzymało oddech.

Przypomniała mu się bajka z dzieciństwa. Królowa Śniegu i Kaj, któremu odłamek zwierciadła wpadł do serca, odmieniając go. Wtedy oddał się Królowej Śniegu. W podobny sposób na moment zafascynował go śnieżny huragan na zewnątrz. Usłyszał zew. Jakby coś go tam wzywało. W przenośni i dosłownie. Mógłby przysiąc, że wiatr szeptał jego imię.

Powoli nadchodził zmierzch. Adrian wyszedł z pokoju na mroczny korytarz. Powoli stawiał kroki, a skrzypiąca podłoga dodawała upiornego klimatu. Oczyma wyobraźni zobaczył na korytarzu duchy bliźniaczych dziewczynek. Motelik przy hotelu ze „Łśnienia” był zwykłą stodołą, jednak klimat na zewnątrz i wewnątrz był łudząco podobny.

W recepcji nikogo nie było, ale Adrian postanowił zaczekać. Oparł się o ladę i poczuł na ręce coś mokrego. Palcami rozmazał czerwoną substancję, składającą się z erytrocytów, leukocytów i trombocytów. Tym razem to nie była jego wyobraźnia. Jeśli strach dodaje skrzydeł, to Adrian był teraz ptakiem lub aniołem.

Jego wzrok rozpaczliwie szukał jakiegoś narzędzia do obrony lub ataku. Zastanawiając się między telefonem, krzesłem a notatnikiem... wybrał długopis.

– Wbiję draniowi w oko, jakby co – łudził się naiwnie, lecz jak to mawiali starożytni górale, lepszy długopis w ręce niż otwieracz do piwa bez piwa.

Adrian prześledził wzrokiem ślad kilku kropel krwi na podłodze. Prowadziły w stronę łazienki dla personelu. Smuga krwi na ścianie przy drzwiach i na klamce głośno mówiła „nie wchodź tam!”. Adrian, wielokrotnie śmiejący się z głupoty bohaterów horrorów, teraz sam laził tam, gdzie nie powinien. Ale może lepiej było stanąć od razu oko w oko z niebezpieczeństwem, niż drzeć ze strachu w ciemnym pokoju, czekając, aż Jack Nicholson wyważy drzwi siekierą. Gwałtownie otworzył drzwi, uzbrojony w śmiertelny długopis.

Erik stał do niego plecami. W lustrze Adrian zobaczył, jak przykładła mokrą chusteczkę do nosa.

– Masz zamiar poprosić mnie o autograf? – zażartował Norweg, choć po jego minie widać było, że nie jest w humorze.

– Chryste, myślałem, że zaszlachtował cię Jack Nicholson... – mruknął Adi.

– Co?

– Zobaczyłem krew i... – Adrianowi zrobiło się głupio.

– Dobra, dobra. Nic mi nie jest. Czego ci trzeba?

– Ta książka, którą czytałeś, jest po angielsku, co nie? Zechciałbyś...

– Ta, mogę ci ją pożyczyć. Coś jeszcze?

– Robi się już ciemno...

– Zaraz dam ci świece. – Erik zmył krew ze zlewu i wyrzucił mokrą chusteczkę do kosza.

– Na pewno wszystko okej, młody?

– Mhm, w porządku.

Adrian rozświetlił cały pokój świecami i zabrał się za lekturę. Tylko po to, żeby zabić czas i nie dopuścić głosu do głosu. Niezbyt lubił książki, zdecydowanie wolał filmy. Gdy Klaudia mówiła, że jest tyle fantastycznych książek do przeczytania, odpowiadał, że najlepsze książki i tak mają swoje ekranizacje, które można obejrzeć.

Książki książkami, ale mity zawsze wydawały mu się głupie, w najlepszym przypadku śmieszne. Teraz, wcinając kolejnego snickersa z automatu, pochłaniał zdanie za zdaniem, wyraz za wyrazem. Mity greckie i rzymskie, które poznał w szkole, a nawet biblijne opowieści w porównaniu do tego, co teraz czytał... po prostu ssały pałę.

Świece były już o połowę krótsze, gdy doszedł do mitu o Ragnaroku. Zmierzch bogów, ostateczna bitwa i śmierć całej ludzkości, oprócz jednej kobiety i mężczyzny, którzy dadzą początek nowemu światu. Co ciekawe, Ragnarok ma poprzedzać Fimbulvinter. Wielka Zima. Zima, która ma trwać bez przerwy przez trzy lata. Ludziom skończy się żywność i będą zjadać się nawzajem. Będzie to czas wojny i przemocy, który wykończy ludzką rasę. Czyżby nadszedł już ten czas?

Adrian podskoczył na dźwięk telefonu. To, że telefon był rozładowany, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Bo to Klaudia dzwoniła.

– Cześć, kochanie – odebrał. – Nawet nie wiesz, jak dobrze cię usłyszeć – powiedział, mimo że jeszcze jej nie usłyszał. – Nie uwierzysz, co...

– Dzięki skarbie, że mnie zapłodniłeś. Teraz pieprząc się z Kamilem, nie muszę się zabezpieczać.

Gdyby to była kreskówka, Adrianowa szczeka opadłaby aż do ziemi.

– Wracasz do łóżka, suczko? – powiedział męski głos w tle.

Telefon roztrzaskał się o ścianę. A był to mocny telefon. Gniew Adriana miał jednak większą moc.

– To nie dzieje się naprawdę. To nie dzieje się naprawdę. To nie dzieje się naprawdę. Nawet mi nie pozwala mówić do siebie „suczko”.

Erik marzył teraz o pokoju rozświetlonym świecami, ciężkim zapachu kadzidła, Burzum na głośnikach i morfinie płynącej w jego żyłach. Z tych wszystkich rzeczy akurat miał tylko świece.

Czuł ból w nogach i wiedział, że to dopiero początek. Wiele razy ostrzegał sam siebie, żeby nie ćpać w ciągach, ale opiatowe ciepło było zbyt kuszące w mroźne, samotne wieczory.

Miał głęboką nadzieję, że klient ani nikt inny nie będzie go teraz potrzebował. Erik leżał na łóżku rozjebany jak radziecki czołg. Ból zaczynający się we wszystkich mięśniach sprawiał, że nawet gdyby wezwali go nordyccy bogowie, którym oddawał cześć, nie miałby siły, żeby się podnieść. Z czasem do bólu dołączyło uczucie tak przerażającego zimna, że przykrywał się czterema kocami i dalej dzwonił zębami, tak mocno, że bał się, że popękają. Po chwili zaś poczuł tropikalne gorąco. Miał wtedy ochotę wybiec i wskoczyć w jakąś śnieżną zaspę. Potem znowu nadchodziło lodowate zimno, nieznosne gorąco i tak w kółko. Tak bardzo doprowadzało go to do szału, że obawiał się o swoje zmysły.

Piętro niżej Adriana również męczył głód. Tyle że o wiele słabszy, bo nikotynowy. Adrian czuł ból w brzuchu i dosłowny głód. Lecz choćby nie wiadomo ile zjadł, dalej byłby głodny.

Potrzebował papierosa. Nigdy nie potrzebował go tak jak teraz. Na totalnej kurwie miotał się po pokoju, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Czasem kopnął jakiś mebel, a czasem warczał, co przypominało przeklinającego wilkołaka.

Usiadł w końcu w fotelu i odsapnął. A telewizor się włączył.

– Świetnie, jest znowu prąd. – Słowa jego brzmiały ponuro, bez entuzjazmu. – Może będzie

leciało coś ciekawego. Kurwa, lepiej żeby coś leciało.

Na ekranie pojawiła się klasa pełna dzieciaków, w wieku może dwunastu lat.

– Kurwa – powiedział znowu, a w tej kurwie było więcej kurwizmu niż zwykle. – Pewnie jakaś denna komedia o dzieciakach dla dzieciaków, a główne role grają pewnie bliźniaczki Olsen. – Nacisnął przycisk pilota, by zmienić kanał. Jako prawdziwe dziecko kinematografii, Adrian szczerze nienawidził takiego niedzielnego, rodzinnego gówna.

Ku jego zaskoczeniu, kanał się nie zmienił. Ku jego większemu zaskoczeniu, jeden z dzieciaków wyglądał jak on, pod koniec podstawówki.

– To nie kino rodzinne... To horror.

Mały Adrian stojący pod tablicą drżał ze strachu przed matematyką. Łzy powoli napływały mu do oczu. Pani Klecka zawsze kojarzyła mu się z jakimś goblinem. Niska kobieta ze zmarszczkami i oczami bazyliuszka. Na łysiejącej głowie miała krótkie blond włosy, ułożone lakierem. Miała również kilku ulubionych uczniów, których wręcz uwielbiała... poniżać przy całej klasie.

Małemu Adrianowi ciężko było skupić się na rozwiązywaniu zadania, przez ponaglanie i jej ociekające jadłem słowa. Adrian do dzisiaj pamiętał ton jej głosu. Wręcz syczała. Jakby nikogo nie nienawidziła bardziej niż odbiorcy tychże słów.

Klasa się śmiała. Każdy z nich mógłby być teraz na jego miejscu. Ci, co wcześniej byli, również się śmiali. To takie zabawne, kiedy coś złego dzieje się komuś innemu. Nagle śmiech wybuchł z podwójną mocą. Mały Adrian chciał wybiec z klasy. Pomyślał jednak, że nie będzie się bardziej kompromitować i robić scen. Usiądzie w ławce i postara się jakoś to przetrzymać. Nie rozplacze się. Gdy zrobił krok do przodu, poczuł, jak mokra nogawka przylgnęła do jego nogi.

Wybiegł, nie zamykając za sobą drzwi.

– Wyłącz się, wyłącz się. – Dużemu Adrianowi również napłynęły łzy do oczu. To było jedno z jego najbardziej traumatycznych przeżyć. Pilot od niedużego, motelowego telewizora robił „klik, klik”, lecz sam telewizor był głuchy na wszelkie kliki.

Mały Adrian, wylewając rzeki łez w szkolnej łazience, stracił poczucie czasu. Chwilę po tym, jak zadzwonił dzwonek, grupka uczniów wbiegła do łazienki. Chłopak o pulchnych policzkach, ścięty na grzybka, szarpnięciem otworzył drzwi.

– Siusiumajtek, siusiumajtek. Adrian się zsiął! – Jak na komendę, reszta się roześmiała.

Dla kogoś, kto nie jest dzieckiem, takie obelgi wydają się wręcz komiczne, jednak Adrian słyszał ich śmiech jeszcze przez wiele lat. Radziecki zenit w jego umyśle zrobił zdjęcie każdej bezczelnie roześmianej dziecięcej mordy. Przy każdym wstydlwym wydarzeniu widział znowu te twarze.

W jednej chwili Mały Adrian przemienił rozpacz w gniew i nienawiść. Przeszedł na ciemną

stronę mocy. Rzucił się na herszta grupy w furii. Jak Luke Skywalker na Dartha Vadera w „Powrocie Jedi”. Mały Adrian uderzył go w brzuch, a potem popchnął na ścianę. W życiu by nie pomyślał, że ma taką siłę. Twarz chłopca zapoznała się z lewym i prawym sierpowym Małego Adriana. Następnie Mały Adrian chwycił go za włosy i skierował jego głowę w stronę kibla. Nie chciał wcale zanurzyć jej w czymś niespuszczonym moczu. Tłukł nią o muszlę klozetową, dopóki nauczycielka, która wpadła nie wiadomo kiedy, nie odciągnęła go. Mało brakowało, a uderzyłby również ją.

Szkolna pani psycholog, przypominająca opóźnioną w rozwoju osobę prowadzącą program dla dzieci w sobotni poranek, wyzywała go od psychopatów. Infantylna PSYCHOŁOŻKA krew widziała jedynie podczas okresu, gdyż dla niej nawet Wojownicze Żółwie Ninja były zbyt brutalne i przesiąknięte niezdrową przemocą. Gdy któryś z uczniów uderzył drugiego, mówiła jedynie „Marcinku, tak nie wolno”, święcie przekonana, że po tych słowach chłopiec do końca życia nie skrzywdzi nawet komara.

Sceneria zmieniła się. Teraz był to pokój i mężczyzna siedzący w fotelu. Adrian dobrze znał ten pokój oraz pamiętał treść wszystkich dyplomów i certyfikatów wiszących na ścianie. Jego ojciec tak bardzo lubił się nimi przechwalać.

Mężczyzna w fotelu był jego ojcem, a twarz jego była barwy popiołu. Ogółem wyglądał, jakby się dusił. Adrian nazywał tę minę „miną przed burzą”.

– To, że przyniosłeś mi wstyd, zdając maturę tak słabo, to jedno! – wybuchł w końcu, a jego słowa rozeszły się jak grzmoty. – Ale jak mogłeś nie dostać się na studia?! Jak możesz być tak tępym?! Dlaczego mój syn musi być takim nieudacznikiem... Nie, nie jesteś moim synem.

Matka stała w drzwiach, nic nie mówiąc. Za to jej milczenie nienawidził jej bardziej niż ojca.

Nigdy nie stanęła w jego obronie, jak i nigdy nie pomagała ojcu na niego wrzeszczeć. Adrian naprawdę wolałby usłyszeć jej krzyk, choć raz w życiu, zamiast tego ciężkiego milczenia.

Świece już się wypalały, gdy Adrian oglądał niezbyt przyjemne fragmenty swojego życia. Wcześniej widział przeszłość... Lecz teraz zobaczył coś, co się jeszcze nie wydarzyło.

– Adi, poroniłam.

Każdy człowiek ma granice swojej wytrzymałości. Linie, za którą jest tylko ciemność i szaleństwo. Gdy człowiek zbliżał się do niej, zapalała się czerwona lampka. Adrian przekroczył już tę linię, a czerwona lampka eksplodowała.

Ekran niedużego motelowego telewizora pękł pod Adrianowym kopniakiem, a następnie z impetem uderzył w ścianę.

– NIEEEEEEEEEEE! – wrzasnął Adrian. Nie brzmiał jak człowiek, lecz jak zranione zwierzę. Zaszył się w łóżku, pod kołdrą, w mroku i łzach, modląc się, by sen nadszedł prędko.

Piętro wyżej, w podobnej pozycji leżał inny człowiek. Usłyszał wrzask, lecz był święcie przekonany, że to jego organizm woła o morfinę.

– Nie mam!– odkrzyknął. – Nie maaam! – Wyskoczył z łóżka niczym wilk z krzaków i zaczął demolować pokój, krzycząc. Stłukł pięścią lustro i padł na kolana. Poranioną dłonią rozmazał sobie krew na twarzy. W blasku świec wyglądał jak demon, który przed chwilą wypił morze krwi.

Obudziwszy się, Adrian był pewien, że wczorajsza noc była tylko snem. Wychyliwszy głowę spod kołdry, najpierw zwrócił uwagę na zimno. Potem na rozwalony telewizor. Wrócił pod kołdrę. W pozycji płodowej, wyobrażał sobie, że wrócił do ciepłego i przytulnego łona matki. Chwilę później przypomniał sobie, że przecież matki nienawidzi.

Chłód wdarł się również i pod kołdrę, więc z wielkim trudem się wygrzebał. Założył grube, wojskowe skarpety. Wyglądały dość wieśniacko, a zgniłozielony kolor im nie pomagał. Były za to ciepłe. Oprócz jasnych bojówek założył również dwie koszulki, bluzę, a na nią czarny sweter i oczywiście kurtkę.

Dzisiaj okno było zasypane prawie w całości, tak że mógł się tylko zastanawiać, jak wygląda pogoda na zewnątrz. Okna ani myślał otwierać tym razem. W ciemnym pokoju i tak było wystarczająco zimno.

Idąc do recepcji, wepchnął wczorajszy koszmar w najgłębsze czeluście swojego umysłu, zamknął go w skrzyni i wrzucił do studni zapomnienia.

W recepcji obecny był jeszcze większy chłód. Norweg zaś był nieobecny. Przez szklane motelowe drzwi Adi zobaczył, że śnieg już nie pada. Biała pustynia jednak została, a szare chmury wisiały nad nią. Adrian rzucił tylko okiem i poszedł do Erikowego mieszkania na samej górze.

– Erik? Jesteś tam? – Zapukał. – Ogrzewanie chyba wysiadło! – Drzwi się nie otworzyły, a i nikt nie odpowiadał. Adrian wrócił do swojego pokoju, zastanawiając się, co teraz zrobić.

Umazany krwią Erik, drgający na podłodze, nie wyglądał już jak demon. Wyglądał żałośnie.

Nim jeszcze Adrian doszedł do pokoju, już wiedział że nie zamierza tu siedzieć i zamarzać. Już wołał zamarzać, idąc do miasta. A skoro przestało sypać śniegiem, to może uda mu się dojść. Ubrał się jak najcieplej, uważając, żeby zbyt wiele ubrań nie ograniczało jego ruchów.

– Nie jest tak źle – powiedział do siebie, gdy wyszedł na zewnątrz.

Po pięciu minutach mróz przeszedł przez każde włókno jego ubrań i Adrian żałował wypowiedzianych wcześniej słów. Maszerował tak piętnaście minut, pół godziny, godzinę, aż zaczął również żałować, że wyszedł z motelu, który teraz wydawał się tropikalnym i przytulnym miejscem.

Wiatr, jak na złość, wiał mu w twarz, której praktycznie już nie czuł. Przeklinał mróz i przeklinał siebie za to, że wołał ryzykować niż czekać na pomoc, albo chociaż aż się włączy ogrzewanie.

Stracił poczucie czasu. Być może przedzierał się przez zasy już wiele godzin i zbliżał się zmierzch. A może po prostu promienie słoneczne nie przebijały się przez szare chmury. A może nadszedł koniec świata i słońce gaśnie, zostawiając ziemię skutą lodem.

Może nawet Adrian minął już miasteczko, ukryte pod śniegiem?

Nie, w końcu się ukazało. Wyglądało na martwe, opuszczone. Wyglądało jak piekło, które zamarzło, a wiatr niósł jęki potępieńców.

Z odrobiną nadziei w sercu, Adi ruszył zwawszym krokiem. Od razu się potknął i runął wprost w śnieg. Miał już za sobą etap zimna i etap bólu. Teraz był tak odmrożony, że nie czuł już nic. Być może duszę też miał odmrożoną, gdyż kompletnie nie wzruszył go widok tego, o co się potknął.

Spod śniegu wystawało zamarznięte ciało. Na twarzy mężczyzny nie było żadnego grymasu. Żadnych oznak, że do ostatniego tchu nie pozwalał zabrać Zimie swojego życia. Że chwycił się tego życia, łapiąc je łąpczywie odmrożonymi palcami.

Nie. Twarz miał spokojną. Spał głębokim snem, śniąc o... o czym tylko sobie chce.

Ulicami miasta przechadzał się jedynie wiatr. W żadnym budynku nie paliło się światło. Miasto było puste. Opuszczone. Wymarłe. A Adrian stał na jego pustych ulicach, sam, w samej paszczy Wielkiej Zimy.

Wiedział, że jeśli nikt mu nie pomoże, zginie. Do motelu na pewno już nie wróci, zwłaszcza że naprawdę robiło się ciemno. A może to nie zmierzch, tylko wilk z nordyckich mitów pożera właśnie słońce?

Jak już o wilkach mowa, Adrian znieruchomiał, widząc watahę, biegnącą przez skrzyżowanie. Przypomniało to scenę z „Dwunastu małp”. Bruce Willis wychodzący na

powierzchnię, a tam miasto zasypane śniegiem i zwierzęta chodzące po jego ulicach. W filmie to wirus zabił wszystkich ludzi. Tutaj to wyglądało, jakby matka natura chciała się ich pozbyć. Za pomocą mrozu, lodu i śniegu.

Wilki pobiegły w swoją stronę, a Adrian poszedł w swoją. I nie zdziwiło go to, że sklep był zamknięty. Szczerze mówiąc, miał na to wyjebane. Znalazł solidną bryłę lodu i odłupał ją za pomocą kopniaków. Wziął ją w skostniałe dłonie i rzucił w duże okno. Na szkłe pojawiła się pajęczyna pęknięć. Za czwartym razem szyba uległa i wpuściła Adriana wraz ze śniegiem i wiatrem.

Temperatura w środku nie różniła się od temperatury na zewnątrz. Adrian całkowicie zapomniawszy, że przyszedł tu w poszukiwaniu ciepłego kąta, ruszył jak najszybciej w stronę kasy.

Dziesiątki paczek papierosów, dziesiątek różnych marek, rozsypały się po ziemi. Tradycyjnie wziął Lucky Strike'i czerwone i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę.

Lecz jej tam nie było.

Adi zaczął wywracać wszystko przy kasie, szukając zapalek lub zapalniczki. Narobiwszy bałaganu, nie znalazłszy ani tego, ani tego, usiadł oparty o półkę, wśród rozrzuconych paczek.

– Jak w piekle...

Przez to, że oficer Haroldson zawsze ulegał swojej kochance, kiedy „chodź Olaf, jeszcze raz, i tak to pewnie nic ważnego”, gdy dotarł na miejsce, straż pożarna już skończyła swoją robotę.

– Cześć. Jak sprawy? – zapytał znajomego strażaka.

– Ogień, prawdopodobnie spowodowany przez niedopałek papierosa. Jeden pokój, jedno ciało. Nie wszystko spłonęło, więc wiemy, że człowiek-pochodnia to jakiś Polak o niemożliwym do wymówienia nazwisku.

– Cholerni emigranci. Jakby nie mógł się spalić w swoim kraju i oszczędzić nam roboty.

– To nie wszystko. Znasz Johansenów?

– No tak, tak. To ich motel.

– W mieszkaniu na samej górze znaleźliśmy ich chłopaka. Nie żyje. Wygląda na to, że coś przedawkował.



rys. Roman Panasiuk

Słodkich snów

Jagoda Okuniewicz

Najbardziej spodobało mi się określenie „sen jasny”, więc tak też będę nazywać to, co zaczęło ostatnimi czasy przytrafiać się mi po przymknięciu powiek. Moje koleżanki wołały mówić o tym po prostu „sen świadomy”, one jednak nie przeszły i nie przechodzą tego co ja. Bogu dzięki, że nie mają z tym do czynienia.

Wiele metod zostało opisanych w Internecie. Sieć jest prawdziwą skarbnicą wiedzy. Czasem bezużytecznej, czasem wprowadzającej w błąd, ale w tym przypadku nie zostałam oszukana – metoda, którą wybrałam, zadziałała. Jeśli o tym słyszałeś lub czytałeś, pewnie wiesz, że strasznie to monotonne – rysuje się coś na nadgarstku lub dłoni, w moim przypadku był to sierp księżyca. Gdy się na niego spojrzy, należy upewnić się, że to nie sen. Na ten przykład... spróbować wzbić się w powietrze. Ja dodatkowo spoglądałam na wyświetlacz

telefonu. Trzeba było sprawdzić, która jest godzina, spojrzeć gdzie indziej, a potem wrócić wzrokiem do białych cyferek. Gdyby nagle się zmieniły; gdyby okazało się, że jest 43:95, na przykład, powinno nastąpić to cudowne oświecenie. To sen, miałam wtedy pomyśleć. To sen! Mogę latać! Mogę zrobić wszystko, co jest niemożliwe na jawie!

Oto metody, jakich używałam. W praktyce wszystko stało się inaczej.

Moje koleżanki zrobiły to co ja, choć w inny i, jak się okazało, nieskuteczny sposób. Jedna pół nocy siedziała z otwartymi oczami i czekała, aż zaśnie zachowując świadomość, druga nastawiała budzik, by w środku nocy spróbować czegoś podobnego, co ta pierwsza. Trzecia stosowała metodę kar i nagród. Żadnej się nie udało. Żadnej, tylko mnie. Teraz już nie pamiętam, po co mi to było.

Pierwsze próby nie przynosiły pożądanых skutków. Zapamiętywałam sny i je zapisywałam, to wszystko. Był to oczywiście sukces, wcześniej snów zwykle nie pamiętałam i było to przykre. A kiedy zaczęłam je zapisywać, trochę się wystraszyłam. Siadałam przed snem z tym moim „dziennikiem snów” i czytałam to, co napisałam ostatniego poranka. Czytałam o tym, jak to siedziałam na plaży nad najbliższym jeziorem. Byłam zupełnie sama, a kiedy już kogoś zobaczyłam, ten ktoś stał na pomoście. Za jego plecami zachodziło słońce – pomarańczowa piłka rozlewająca się ponad linią horyzontu niczym żółtko jajka. Przez to okropne światło widać było jedynie zarys postaci – był więc to mężczyzna bez twarzy. Tylko czarna sylwetka nieznajomego, na którego widok postanowiłam wstać, przejść po twardym, gorącym piasku i zamoczyć stopy w letniej, ciemnej wodzie. Kiedy o tym czytałam, wiedziałam, że świadomie nigdy bym tego nie zrobiła. Ten kolor – kolor nieba z mojego snu – to kolor irytującego, mdłego bólu. Ale we śnie weszłam do wody, głębszej niż na jawie, a więc w miarę, jak zbliżałam się do pomostu, zanurzałam się w niej po czubek głowy i wypływałam, w jakiś sposób wciąż czując grunt pod bosymi stopami. Kiedy byłam pod wodą widziałam, że ma ona kolor krwi. I to chyba właśnie przez krew. Bo na dnie leżały ciała. Widziałam twarze. Otwarte oczy znajomych ze szkoły, dalszej i bliższej rodziny. Rozchylone, białe usta, tak mocno kontrastujące z kolorem wody. I dłonie, wyciągnięte w stronę powierzchni, ale nieruchome. A ja brnęłam dalej, do nieznajomego, jakby nie poruszył mnie los ludzi, na których mi przecież zależało i nadal zależy. Dotarłszy do pomostu zobaczyłam, jak nieznajomy o czarnej twarzy wyciąga rękę, by pomóc mi wejść na górę. Wyciągnęłam moją dłoń. Dłoń ubrudzoną czerwienią. A on wykrzywił wargi z obrzydzeniem – wiem to, choć nie mogłam zobaczyć jego twarzy. I cofnął rękę, a ja znowu pogрузyłam się w wodzie. I nie czułam już gruntu.

Ten z moich snów był najstraszniejszy. Były też inne – o ludziach, którzy w restauracji przysiadali się do mojego stolika, brali mój widelec i zaczęli kłuć mnie nim, wbijając jego srebrne zęby głęboko pod skórę; sny o krwi wypływającej z ziemi, gdy szłam do szkoły. Najgorsze koszmary, niemal tak samo przerażające jak te sny, nad którymi zaczynałam przejmować powoli kontrolę, by później bardzo gwałtownie ją stracić.

Zdarzyło mi się po dokładnie dziesięciu dniach, że we śnie, w którym przechodziłam obok zdechłego kruka na ulicy (kruk był martwy, ale śledził mnie spojrzeniem białych oczu), wyciągnęłam z kieszeni džinsów telefon i zobaczyłam, jak cyfry szybko się zmieniają. To sen, pomyślałam. A wtedy kruk wstał, dziwacznie wykręcił głowę z obrzydliwym chrupnięciem, po czym machnął długimi, czarnymi skrzydłami i odleciał. Sukces, nie wydaje ci się? Mnie się wydawało.

Następnego dnia opowiedziałam o tym koleżankom. Nie były pod wielkim wrażeniem, pewnie tak jak ty w tym momencie. Pomyślałam wtedy, że po prostu zazdroszczą, bo im się nie udało. No i ta złość na nie dodała mi trochę siły i motywacji, by zrobić więcej i lepiej. I jeśli o to chodzi, złość ma kolor czerwieni. A więc w moim następnym śnie niebo było czerwone. Raz jeszcze słońce chyliło się ku zachodowi. Od niego całe niebo się paliło i tylko las w oddali był czarny. To była przyjemna, chłodna barwa. Poza nią wszystko było takie gorące...

Stałam jakiś czas, zastanawiając się, skąd taka sceneria. Nie brałam pod uwagę tego, że to przez mój nastrój z minionego dnia. Pot skraplał się na moim czole i plecach, bosymi stopami czułam parzący asfalt. Nie wiem do dziś, gdzie wtedy byłam. Wiem tylko, że nie byłam sama.

Moja matka popełniła samobójstwo, kiedy byłam jeszcze mała. To вина depresji poporodowej, a więc w jakimś stopniu moja вина. Tak czy inaczej, lekko jej odbiło i nikt z tym nic nie zrobił. Finalnie porozrywała sobie żyły na strychu naszego starego domu. I w tym moim jasnym śnie zobaczyłam, jak stoi przede mną w kremowej sukience w błękitne kwiatki. Skórę miała alabastrowo białą, blade usta, oczy przekrwione ze zmęczenia, pod nimi mogłam dostrzec także cienie. Jakby przez te wszystkie lata nie miała okazji odpocząć, jakby tylko czekała w moich snach – tych, których nie mogłam zapamiętać po przebudzeniu. Stała wtedy przede mną, z rozdartą skórą na przedramionach. Nawet do głowy mi nie przyszło, by wyobrazić sobie, jak znika. Byłam zbyt przerażona kroplami krwi, która spadały wolno na rozgrzany asfalt. Zupełnie zaabsorbował mnie syk, który wydawały, gdy dotykały powierzchni ziemi. W tym dźwięku było więcej złości, niż miałam w sobie dnia

poprzedzającego pierwszą z wielu okropnych nocy. Było w nim jej dokładnie tyle, ile było w mojej matce, kiedy okazało się, że nie kocha swojego dziecka.

Po tym, jak udało mi się oderwać spojrzenie od krwi tworzącej na ziemi małą kałużę, zobaczyłam, że kąciaki jasnych ust mojej matki unoszą się w przerażającym, demonicznym uśmiechu. Wtedy się obudziłam.

Nie mogłam wtedy wiedzieć, że przez to, jaka byłam rozbita, w moich snach musiał zapanować kompletny chaos. Ptaki latały do góry brzuchami, wywracając dookoła białymi, martwymi oczami; w oknach budynków migały jasne twarze ludzi, którzy nieustannie śledzili mnie swoimi ciekawskimi spojrzeniami; ziemia drżała przy każdym moim kroku, a wiatr szumiał w rytm piosenki, o której akurat myślałam. Ja sama przechadzałam się pustymi ulicami miasta w połowie przypominającego to, w którym mieszkałam naprawdę, w połowie utkanego z moich wspomnień, wyobrażeń i obrazów zapamiętanych z filmów. Niekiedy ulice zmieniały miejsca na moich oczach, choć ja tylko pomyślałam wtedy o tym, gdzie chciałabym się udać. Wszystko, co nawiedziło moje myśli, choćby na chwilę, zaraz stawało się prawdą w moim wyśnionym, przerażającym świecie. Moją matkę spotykałam regularnie, zawsze na tej samej ulicy, ponad którą niebo płonęło żywym ogniem. Gdy jednak jej nie było, to ja miałam na sobie tę kremową sukienkę w niebieskie kwiatki, a krew spływała po moich przedramionach. Jednak w moim przypadku żadna z kropeł nie odrywała się od skóry. Zostawała na palcach i pod paznokciami. Wiem, że to niemożliwe, ale gdy budziłam się z tego typu snów, krew nadal plamiła moje dłonie.

Miałam odwagę wmawiać sobie, że w nocy, przejęta wyjątkowo realistycznymi koszmarami, zaczynałam się drapać. Wydawało mi się, że wystarczy tylko mocniej się skupić i bardziej nad sobą panować, by robić to, czego bym chciała, i nie przejmować się nieżyjącą matką. Po jakichś dwóch tygodniach tych koszmarów, będących tylko częściowo pod moją kontrolą, sprawy się pogorszyły. Nie spałam całą noc i cały dzień. A potem przesiedziałam kolejną noc, nerwowo stukając długopisem o zeszyt. Starałam się uczyć. Usiłowałam czytać. Wyglądałam przez okno na granatowe niebo ozdobione srebrnymi punktami. Gwiazdy nie pozostawiały mnie samotną, jednak lęk przed zagłębieniem się w świecie pełnym krwi, z którego wyjść mogłam przeważnie tylko zobaczywszy uśmiech kobiety, która mnie urodziła, był zbyt intensywny, bym mogła cieszyć się ich wsparciem.

Zasnęłam trzeciego dnia na lekcji matematyki. Siedziałam w ostatniej ławce, zasłonięta szerokimi plecami kolegi, a więc dobrze ukryta przed uważnymi oczami nauczyciela. Długo walczyłam ze zmęczeniem, jednak moje powieki były zatrważająco ciężkie, a pod nimi znajdowała się niezliczona ilość piasku. Byłam silna, ale pozostałam tylko

człowiekiem. Zasnęłam. Broda zsunęła się z dłoni i uderzyła o blat, ale nawet to mnie nie powstrzymało, tak więc znowu znalazłam się w miejscu, które budziło we mnie paniczny strach. Sama na rozgrzanej ulicy, postanowiłam być silna. Skupiłam się, policzyłam do siedmiu i podskoczyłam wysoko z ramionami wyciągniętymi na boki. I powiedzmy, że rzeczywiście, wzbiłam się w powietrze. Gorące powietrze. Powietrze, które śmierdziało zgnilizną. Mimo to nieważkość była cudowna. Nigdy nie miałam okazji lecieć samolotem, nie tylko dlatego, że zbytnio mnie to przerażało, jednak we śnie nie było żadnego ryzyka. Tak mi się oczywiście wydawało, kiedy poczułam się wolna. Moje stopy nie dotykały ziemi – każdy powinien mieć okazję tego doświadczyć. Natomiast tego, co stało się potem, nie powinien przeżyć nikt. Smród zgnilizny stał się znacznie intensywniejszy. Nie miałam szansy zauważyć jednego z martwych ptaków z białymi oczami, który sunął w moją stronę, nie poruszając nawet skrzydłami. Poczułam tylko, jak wbija się dziobem w mój brzuch. A potem uderzył we mnie kolejny i we troje opadliśmy na asfalt tak gorący, że moja skóra natychmiast stała się czerwona.

Zaraz po tym podniosłam się do pozycji siedzącej na moim łóżku, w sypialni pograżonej w półmroku – słońce nie zdążyło wtedy jeszcze wstać. Zerwałam z siebie kołdrę. Byłam zlana potem, więc materiał mojej koszulki lepił się do skóry. Oderwałam ją od niej mocnym szarpnięciem, tak mocnym, że rozerwałam ją lekko w szwach po bokach. Chciałam zobaczyć miejsce, w którym powinnam znaleźć dziurę po ostrym, zimnym dziobie kruka. Niczego nie zobaczyłam. A jednak ból był nieznosny i towarzyszył mi jeszcze przez kilka godzin.

Przez te kilka godzin na moim parapecie siedział kruk i patrzył na mnie, kiedy starałam się uspokoić. Nie miał białych oczu.

Nie wiem, co stało się z czasem między lekcją matematyki a nocą. Gdy zasypiałam na kolejnych zajęciach szkolnych, budziłam się z powrotem w klasie. Raz wstałam gwałtownie, przez co krzesło poleciało do tyłu i z hukiem uderzyło o podłogę. Byłam święcie przekonana, że jedna z lamp nad nami wybuchła, a szkło posypało się na nasze głowy. Dostałam uwagę.

– Lena, uspokój się – syknęła na mnie wtedy jedna z koleżanek, które podobnie jak ja chciały praktykować jasny sen, Martyna. Nie wiedziałam, jak miałabym się uspokoić, więc podniosłam krzesło, usiadłam na nim i schowałam twarz w dłoniach. Jak za każdym razem po takim przebudzeniu w klasie, gdy trudno było mi odróżnić sen od jawy. Za każdym razem, aż do dziś.

Siedzę i patrzę przed siebie, na tablicę zapisaną cyframi. Czarny mazak na białej tablicy rozmywa się przed moimi oczami, bo jestem okropnie zmęczona. Noce są takie

długie. Strach odbiera mi możliwość swobodnego oddychania, więc w nieskończoność leżę, walcząc z powietrzem, w którym brakuje tlenu, lub łkam w poduszkę, bo ten strach wywołuje fizyczny ból. Teraz też go czuję. Gorący i lepki, przekrada się po moim kręgosłupie i daje słowo, zostawia na nim ślady. Muszę zaciskać zęby, by nie krzyczeć. Muszę zamknąć powieki, by nie patrzeć na martwe ptaki za oknem. Te kruki z białymi oczami. Te same, które mają połamane skrzydła, powykręcane głowy, te z brzuchami skierowanymi do nieba. Drzewa wyciągały swoje drewniane ramiona, by pochwycić je w nieruchomym locie, by móc pożreć je swoimi zębami ukrytymi pośród korzeni. Jestem pewna, że je widziałam. Widziałam je, a przecież nie śpię.

– Lena... – mruczy Martyna. Szturcha mnie w ramię, a moim ciałem wstrząsa dreszcz. Niechętnie otwieram powieki i spoglądam na nią. Na opalonej twarzy ma wymalowane niezadowolenie i irytację. Ja jestem tylko przerażona.

– Wyjrzyj przez okno – proszę ją słabym głosem. Martyna w odpowiedzi mruży powieki i odwraca się twarzą do jednej z szyb, a więc plecami do mnie. Po nich też przekrada się coś, co jest wcieleniem tego bólu i strachu, jaki czuję. Widzę wybrzuszenie pod materiałem jej szarej bluzy. Widzę, jak pełźnie pod nią w kierunku jej głowy.

– No i co? – pyta znowu Martyna, patrząc na mnie.

To coś wyskakuje spod bluzy i chowa się między jej ciemnymi włosami. Nie widzę co to, tylko przez chwilę mogłam zauważyć, że jest czarne.

– Nic – odpieram. Teraz mój głos drży. Odwracam się twarzą do tablicy. Czuję, jak robi mi się gorąco, bo na moich plecach nadal siedzi to, co Martyna ma we włosach. Nie rusza się już. Robi się zimne i wiem czemu – jest martwe.

– Jesteś blada... Dobrze się czujesz?

Nie odpowiadam. Znowu zamykam oczy. To na pewno sen, myślę. Tylko sen. Postanawiam uszczypnąć się w skórę na nadgarstku. Robię to, choć moja dłoń, podobnie jak głos, drży ze strachu. Czuję lekki ból i ulgę. To coś znika z moich pleców. Nie potrafię powstrzymać lekkiego uśmiechu. Wolno podnoszę powieki – nadal ciężkie, ale nie aż tak, bym musiała zasnąć. Spoglądam na Martynę, a kiedy ona patrzy na mnie, z jej włosów wygląda białooki kruk.

Podnoszę się z krótkim, niezbyt głośnym okrzykiem zaskoczenia. Siedzę przy tej samej ławce, ale obok mnie nie ma Martyny. Oczywiście, przecież ona ze mną na tej lekcji nie siedzi. Z ulgą, cudowną, chłodną ulgą rozglądam się po klasie. Widzę tyły głów moich znajomych skupionych na lekcji. Tak bardzo cieszę się, że ich widzę. Jeszcze nigdy się tak nie cieszyłam.

Wszystko, co dobre, kończy się prędko. Mój wzrok zatrzymuje się pod ścianą po prawej stronie. Stoi tam moja matka w swojej kremowej sukience i z rozdartymi nadgarstkami. Unosi dłonie – widzę jej długie, zagięte paznokcie. Składa ręce, przykłada je do policzka i przechyla głowę, jakby namawiała mnie, bym zasnęła.

Zaczynam krzyczeć. Moja matka wykrzywia twarz w grymasie złości. Nie wiem, kiedy wstałam, ale stoję, więc wystarczy jej tylko wyciągnąć ramię, by mnie dosięgnąć. Czuję jej paznokcie na mojej skórze. Słyszałeś kiedyś, jak paznokcie się łamią? Okropny dźwięk, prawda?

Wtedy raz jeszcze podnoszę głowę, którą wcześniej opierałam o blat ławki. Mam szeroko otwarte usta, a z oczu cieką mi łzy. Nauczyciel patrzy na mnie wystraszony. Reszta klasy także.

Czuję, jak krew odpływa mi do nóg. Już nie śpię. Wiem, że nie śpię. Jestem zmęczona i wszystko mnie boli, ale nie śpię.

– Co się stało, Leno? – pyta nauczyciel. Coś miga z boku, za oknem. Wiem, że to tylko ptak. Żywy ptak. A jednak moje serce zaczyna walić jak młotem. Wstaję i wybiegam z klasy, by pędem udać się do damskiej toalety. Cała jestem mokra. We śnie mogłabym wzlecieć w powietrze i prędko znaleźć się w domu. Lub wyśnić sobie prysznic tuż obok. Ale nie śnię. Staram się wyobrazić sobie to, co teraz bardzo by mi pomogło, to jednak na nic. Wpadam do toalety, kładę dłonie na zlewie i zamykam powieki.

– Spokojnie – mówię do siebie. – To tylko sen.

Wiem, że to nie tylko sen. Żaden z tych koszmarów nie był normalny. Zwariowałam. Musiałam zwariować.

Chłód zlewu na chwilę przynosi ulgę. Mam ochotę sięgnąć do kurka i odkręcić zimną wodę, ale gdybym teraz przestała się opierać, na pewno bym upadła. Skupiam się na chłodzie pod palcami, aż przeszkadza mi gorąco spływające po moim przedramieniu.

Ono też ma kolor czerwony. Tym razem nie tylko w mojej wyobraźni. Na mojej skórze zostały krwawe ślady po paznokciach mojej matki. Chociaż nie śpię. Nie śpię. Nie mogę wzlecieć w powietrze, nie mogę zniknąć, nie mogę sprawić, by rany zasklepiły się i krew wyschła. Teraz spływa po zlewie, nie zatrzymuje się na moich palcach. Bo nie śpię. Nie śpię. Nie śpię.

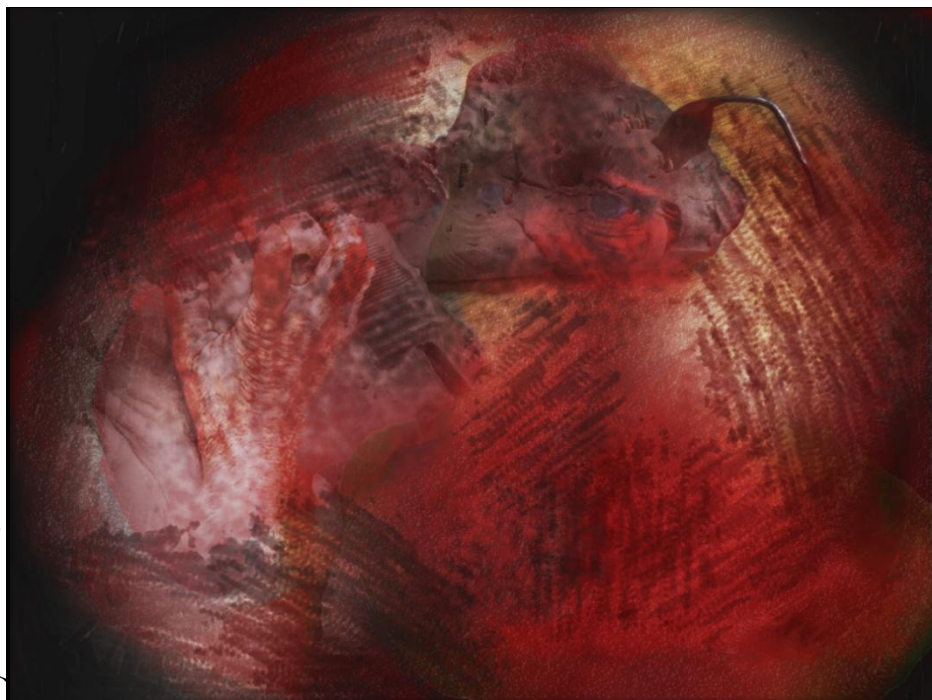
Podnoszę spojrzenie na odbicie mojej twarzy. Błada ze strachu i mokra przypomina tą, którą widziałam każdego ranka w łazience, gdy się szykowałam. Tylko jedna rzecz się we mnie nie zgadza. Moje oczy są białe. Białe jak oczy martwych kruków. Moje oczy są martwe.

Moja matka stoi za mną, ale tego się pewnie domyśliłeś. Stoi w swojej cholernej sukience i z tą okropną krwią na dłoniach. Patrzy na mnie z niewypowiedzianym oskarżeniem w spojrzeniu, bo to ja ją zabiłam. Przyszła do mnie, chociaż wcale nie śpię.

Podnosi rękę. Paznokcie ma połamane, niektóre tak wysoko, że i palce jej krwawią. Układa dłonie w tym samym geście i z tym samym uśmiechem, tyle tylko, że tym razem się nie budzę, skoro wcale nie śnię. Moja matka jest tu naprawdę i wiem, czego mi życzy.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tego samego życzyć tobie. Słodkich snów.

rys. Marcin Czarnecki



Smakosz

Przemysław Kyrzcz

Dworzec kolejowy obfitował w najróżniejsze dania. Można było trafić na syfilis, wszelkiego rodzaju ropnie i wykwity na skórze, aż na AIDS kończąc. Jarek nigdy nie odważył się na tak radykalną potrawę. Za każdym razem z pieczołowitością wybierał swoje dania. Menele i bezdomni łatwo mu ulegali. Zawsze dobrze ubrany, czysty i pachnący. Starannie ułożona fryzura i delikatna, zadbana twarz nastolatka łatwo zaskarbiały sobie ufność.

Za kilka złotych na wino czy też na działkę kompotu bezdomni byli w stanie zrobić wiele. Jarek umiejętnie to wykorzystywał. Wybierał swoje ofiary spośród tych najcichszych, najmniej rzucających się w oczy. Przechadzał się wieczorami po dworcu i obserwował. Przy

głównym wejściu spotykali się głównie narkomani, zaś na peronach zazwyczaj alkoholicy i bezdomni. Swoją wybór zawsze poprzedzał długimi, czasami nawet kilkudniowymi obserwacjami. Kiedy był już pewny, podchodził bliżej, gdy jego cel spał na dworcowej ławce, i delectował się zapachem. Już od samych aromatów ciekła mu ślinka. Ostry swąd potu i niemytego wiele dni ciała. Nigdy ich nie mył przed podaniem. Lubił ich naturalny smak, dlatego zawsze starannie wybierał cel.

Przeszedł obok ławki, na której spał bezdomny mężczyzna. Menel ubrany był w stare, poprzecierane jeansy i koszulę flanelową, którą zdobiły plamy, najpewniej po wymiocinach. Pod ławką leżały dwie puste butelki po tanim winie. Jarek wciągnął głęboko powietrze.

Pot, mocz i coś jeszcze...

Może tym razem powinienem pójść krok dalej – pomyślał. Ona też na pewno by się ucieszyła.

Rozpoznał zapach gnijącego ludzkiego mięsa. Doszedł do końca peronu i zatrzymał się, wpatrując się w mrok i migające w oddali semafony. *Ciekawe, jak smakuje* – zastanawiał się. Obrócił się i podszedł do śpiącego na ławce mężczyzny. Klepnął go w policzek. Bezdomny otworzył oczy i ze zdziwieniem spojrzał na stojącą nad nim zakapturzoną postać.

– Co do chuja...? – wymamrotał.

– Chcesz zarobić parę złotych na wino? – zapytał Jarek. – Jeśli tak, to zamknij się i chodź ze mną.

– Nigdzie się nie wybieram, chłoptasiu. Chyba że dwudziestka zmieni się w pięćdziesiątkę.

– Niech będzie pięćdziesiąt złotych. Zaszalejesz w nocnym. – Uśmiechnął się Jarek.

– OK, małaś, chyba mnie przekonałeś. – Menel podniósł się z ławki i stanął przed młodzieńcem. – Chodźmy – powiedział.

Mężczyźni doszli do końca peronu. Jarek pierwszy zeskoczył z platformy, a bezdomny za nim. Przeszli ścieżką prowadzącą przez torowisko do dziury w siatce, która odgradzała osiedle od terenu dworca. Jarek przeprowadził mężczyznę między blokami aż pod swoją klatkę. Weszli do środka, wsiedli do windy i wjechali na siódme piętro. Kiedy winda się zatrzymała, Jarek wyszedł na korytarz, otworzył drzwi mieszkania i zaprosił swojego kompana do środka.

– Rozgość się, przyjacielu – powiedział.

Menel rozejrzał się po przedpokoju.

– Fajne masz mieszkanko, synek. Dobra, to przejdźmy do tematu. Po coś mnie tu przywlekl? Chcesz, żebym ci obciągnął? Wyglądasz mi na jednego z tych studencików, co to chcą spróbować wszystkiego.

– Nie, nie po to cię tu przyprowadziłem.

– To czego chcesz? – zapytał bezdomny. – Oj nie, w dupę się nie dam wyruchać. Co to, to nie. Aż tak zdesperowany nie jestem. Chyba że podniesiesz stawkę do stówki. – Mężczyzna spojrzał na Jarka. – To jak będzie? Stówka i jedziemy? – Menel uśmiechnął się, odsłaniając pozostałości po czymś, co zapewne było kiedyś zębami. Jego nieświeży oddech zdawał się wypełniać cały przedpokój.

– Nie będzie żadnej stówki. Nie po to cię tu sprowadziłem. Napijesz się czegoś?

– Napiłbym się kawy, skoro już pytasz. – Bezdomny wpatrywał się ze zdziwieniem w Jarka. – Wiesz, dziwny jesteś. Przyprowadziłeś mnie tu, nie chcesz powiedzieć po co, nie chcesz, żebym ci obciągnął. Czego ty właściwie chcesz, małolat?

– Rozgość się w salonie – wtrącił Jarek. – A ja zaraz podam kawę i wszystko ci wytłumaczę. No i oczywiście dostaniesz swoje pięćdziesiąt złotych. Jarek wskazał palcem pokój na końcu, po prawej. – Tam jest salon, idź sobie usiąść.

Mężczyzna wszedł do pokoju i rozejrzał się dookoła. Jego wzrok przykuły zawieszone na ścianie obrazy, przedstawiające najróżniejsze dania. Przeszedł do meblościanki z wiśniowego drewna, która zajmowała całą przeciwległą ścianę. Przyglądał się poustawianym na półkach figurkom i zastanawiał, czy mają jakąś wartość i gdzie mógłby je sprzedać. Na środku meblościanki, we wnęce, stał ogromny telewizor plazmowy. Mężczyzna zastanawiał się, ile win za niego mógłby kupić. *Nie trzeźwiałbym przez rok* – pomyślał. Omiótł wzrokiem regały wypełnione podręcznikami kulinarnymi i usiadł wygodnie w skórzanym fotelu. Z kuchni dobiegł go odgłos piszczącego czajnika. *Woda na kawę gotowa* – pomyślał.

Po chwili do pokoju wszedł Jarek i wniósł na tacy dwie filiżanki. Położył tacę na stoliku, pomiędzy fotelami. Obok filiżanek ustawił maleńki dzbanuszek z mlekiem i cukiernicę.

– Nie wiem, czy pan słodzi, więc podaję wszystko osobno.

– Nie bądź taki elegancki, małolat. To tylko kawa. – Mężczyzna wziął filiżankę i objął ją dłońmi. – Gadaj, czego ode mnie chcesz. – Pociągnął łyk kawy i spojrzał przekrwionymi oczami na chłopaka.

– Wszystkiego się pan dowie w swoim czasie. Nie ma powodu do obaw. Tak jak obiecałem, zarobi pan swoje pięćdziesiąt złotych. – Jarek wpatrywał się z uśmiechem w bezdomnego. Delektował się aromatem świeżo zaparzonej kawy, mieszającym się z ostrą wonią potu i gnijącego ciała.

– Chciałbym, aby powiedział mi pan, skąd bierze się ten specyficzny zapach, który pan roztacza.

– O co ci chodzi, synek? – zapytał zdziwiony mężczyzna. – Śmierdę, bo nie myłem się ze dwa tygodnie.

– A ten zapach zgnilizny? – dopytywał Jarek.

– To od tej cholernej cukrzycy, stopy mi gniją. Sączy się z nich jakieś takie żółte coś, ropa chyba.

Jarek popatrzył na bezdomnego i uśmiechnął się.

– Po kiego diabła chcesz to wszystko wiedzieć, małolat? – Mężczyzna poczuł zawroty głowy i mdłości. – Co się, kurwa, ze mną dzieje? – wybełkotał. – Dosypałeś mi czegoś do kawy, ty zasańcu...

Menel chciał się poderwać z fotela, ale środek nasenny już działał i mężczyzna zwałił się bezwładnie do tyłu. Zamknął oczy. Po kilku minutach zasnął, mamrocząc coś od czasu do czasu.

Jarek siedział w ciszy i delektował się widokiem swojego następnego posiłku. Miał nadzieję, że jej też się spodoba. Wiedział, że oczekuje od niego czegoś specjalnego.

Środek nasenny zadziałał szybciej niż zwykle. Po chwili Jarek wstał i podszedł do swojej ofiary. Zaczął rozbierać mężczyznę. Zapach zgnilizny był jeszcze silniejszy, gdy bezdomny leżał już nagi na dywanie. Obie jego stopy miały kolor lekko zielonkawy, a spod paznokci sączyła się ropa. Na podeszwach stóp Jarek zauważył też kilka strupów. *Nadadzą się wspaniale* – pomyślał.

Poszedł do kuchni, otworzył szufladę i wyciągnął tasak do mięsa. Wrócił do pokoju, w którym na podłodze leżało ciało. Ukłękął obok i zacisnął dłonie wokół szyi mężczyzny. Kiedy jego ofiara, po kilku wierzgnięciach, przestała oddychać, odrąbał mężczyźnie obie stopy. Położył je na tacce, na której wcześniej podał kawę. *Ciałem zajmę się później* – pomyślał. Zabrał tacę i wrócił do kuchni. Położył ją na blacie i delektował się widokiem ropiejącego, gnijącego, śmierdzącego mięsa. Pochylił się nad odciętymi kończynami i wciągnął głęboko powietrze. *Wspaniale* – pomyślał.

Owinął tacę przezroczystym folią kuchenną i włożył do lodówki. *To mięso i tak już się nie zepsuje* – pomyślał i uśmiechnął się. Wrócił do salonu i zajął się ciałem bezdomnego. Rozciągnął na podłodze folię malarską, którą trzymał na takie okazje. Przetoczył zwłoki tak, żeby znajdowały się na środku folii.

Ćwiartowanie rozpoczął od nóg. Odciał obie na wysokości genitaliów. Następnie odciał ręce i głowę. Korpus przeciął na pół, na wysokości mostka. Każdy kawałek ciała wkładał do worka na śmieci. Kiedy rozczłonkował i spakował zwłoki, zmęczony usiadł w fotelu. Popatrzył na stos czarnych worów. *Co za marnotrawstwo* – pomyślał. Wstał, zwinął folię rozciągniętą na podłodze i wrzucił ją do jednego z worków. Przeniósł wszystkie pięć toreb do przedpokoju i poszedł wziąć prysznic.

Leżąc wieczorem w łóżku planował następny dzień. *Rano muszę pozbyć się zwłok. Rozrzucę je na torach. Pędzący pociąg załatwi resztę. Nikt nie będzie się przejmował menelem rozsmarowanym po torowisku. Zresztą to sprawdzona metoda.* Robił to już wcześniej.

Wstał o trzeciej, wypił kawę i wyszedł z mieszkania, zabierając ze sobą dwa worki. Po drodze do torowiska nie spotkał nikogo. *Dobrze.* Przeszedł przez dziurę w siatce i ukrył worki w krzakach. Wrócił do mieszkania po pozostałe trzy. Znow udało mu się pokonać trasę niezauważonym przez nikogo.

Odszedł od stacji na około kilometr. SOK-iści nie zapuszczali się tak daleko, więc nikt nie powinien znaleźć szczątków, nim nadjedzie pierwszy poranny ekspres. Rozdarł worki, i wyrzucił poćwiartowane zwłoki na torowisko. Stał i patrzył chwilę na głowę bezdomnego. *Ciekawe, jak miał na imię* – pomyślał. *Nawet nie miałem szansy go o to zapytać. Cóż, będę musiał z tym jakoś żyć.* Roześmiał się i odszedł w wilgotny, cichy poranek.

Wrócił do mieszkania i zabrał się za przygotowania. Kiedy nalewał wody do garnka, usłyszał syrenę porannego ekspresu do Katowic. Uśmiechnął się.

Włożył obie odrąbane stopy do garnka i gotował je, aż mięso przybrało biało-szarawy kolor. Co chwilę sprawdzał widelcem, czy jest już odpowiednio miękkie. Ropa wypływająca z ran zabarwiła wodę w garnku na lekko żółtawy kolor. Kiedy potrawa spokojnie bulgotała na wolnym ogniu, Jarek wziął łyżkę i spróbował tego specyficznego rosółu. Długo trzymał wywar w ustach, delektując się niespotykanym smakiem. Gotował kończyny do momentu, aż paznokcie odeszły od ciała. Wyłowił je widelcem i odłożył na talerzyk. *Wspaniale nadadzą się na deser* – pomyślał. *Albo na przystawkę.*

Kiedy potrawa była już gotowa, wyciągnął rozgotowane stopy z garnka. Położył je na talerz i oddzielił widelcem mięso od kości. Podjadał przy tym, za co sam siebie skarcił. Kiedy wszystko było już gotowe, zaparzył sobie drugą kawę i przeszedł do gabinetu. Zasiadł przed komputerem i wstukał adres swojego ulubionego forum internetowego. Zalogował się i od razu zauważył, że ma dwie prywatne wiadomości od użytkownika Ania69. Uśmiechnął się i otworzył pierwszą z nich. „Kiedy się spotkamy? Tęsknię”. A druga: „Może tym razem zrobimy coś specjalnego?”. Uśmiechając się do monitora, zmienił status na „dostępny”. Po kilku sekundach pojawiło się zaproszenie na prywatny czat. Kliknął ikonkę chmurki bez namysłu.

Ania69: Witaj! Dawno cię nie było. Co się działo?

Jaro: Siemanko! Wszystko w porządku. Byłem zajęty przygotowaniem czegoś specjalnego. Dalej masz ochotę na to, o czym rozmawialiśmy ostatnio?

Ania69: Pewnie! Kiedy?

Jaro: Dziś wieczorem. U mnie.

Ania69: Będę na pewno!

Jaro: OK. Czekam więc. Bye.

Ania69: Dozo.

Jarek wyłączył czat i zmienił status na offline. Przejrzał szybko forum. Nic ciekawego, kilka zdjęć z wypadków i jedna egzekucja jakiegoś dziennikarza. Nuda. Siedział wpatrzony bezmyślnie w monitor i myślał o Ani.

Poznał ją na forum jakieś trzy miesiące temu. Zaczęli ze sobą pisać. Po dwóch tygodniach spotkali się na mieście i poszli razem na pizzę. Rozmowom o horrorach, stronach internetowych typu ogish.com i tym, co tam widzieli, nie było końca. Wrócili razem do mieszkania Jarka.

Seks z nią był czymś niezwykłym. Krzyczała, wbijała paznokcie w jego plecy i gryzła do krwi. Lubił to. Po miesiącu znajomości zapytała go, czy nie chciałby poeksperymentować z lateksem i pejciami. Zgodził się.

Rany na plecach, pośladkach i udach długo się goiły. Pozostały blizny.

Blizny chorej miłości.

Po lateksowym okresie przyszedł czas na rozgrzany воск i przypalanie. Ania lubiła też nacinać skórę żyłkami. Wtedy to pierwszy raz Jarek spróbował jej krwi. Smakowała mu,

a ona uśmiechała się i jęczała z rozkoszy, patrząc, jak ssie krew z rozcięcia na jej przedramieniu.

Pewnego dnia zapytała, czy będzie się z nią kochał podczas jej okresu. Nie protestował. Krew była wszędzie, a oni po wszystkim zasnęli, wysmarowani menstruacyjną mazią.

Pierwszą potrawę Jarek przygotował dla niej po około dwóch miesiącach znajomości. Smakowało jej. Po kolacji powiedział jej, co jadła. Ucieszyła się. Kiedy zobaczył, jak jest szczęśliwa, zapragnął się z nią kochać. Zrobili to na stole, obok potraw przygotowanych z ludzkiego mięsa.

Po kilku następnych kolacjach stało się to jednak nudne. Zapragnęli czegoś więcej. Jarek miał nadzieję, że dzisiejsza kolacja spełni jej oczekiwania. Z zamyślenia wyrwał go dzwonek do drzwi.

Anna ubrana była w czarną, skórzaną ramoneskę i spódniczkę mini w czerwoną kratę. Jej długie nogi otulały delikatną mgłą czarne rajstopy. Ciemne włosy opadały kosmykami na czoło. Uśmiechała się, odsłaniając rząd równiutkich, białych zębów, które kontrastowały z czarną szminką na ustach.

– Witaj, Jarek! Nie za wcześniej przyszedłam?

– No co ty, jesteś w samą porę. Rozgość się w salonie, a ja zaraz podaję kolację.

Ania mrugnęła okiem do swojego chłopaka. Przeszła do salonu, gdzie na stole stały dwa świeczniki z zapalonymi świecami. Stół przykrywał biały obrusik, a po jednej stronie leżała czerwona róża.

– Oj, nie musiałeś, kochany – zawołała z pokoju dziewczyna.

– To nasza specjalna kolacja, kochanie. Rozgość się, ja zaraz do ciebie dołączę. Po chwili Jarek wniósł do pokoju miskę z mięsem. Potrawa posypana była świeżą pietruszką. Ania pochyliła się nad naczyniem i zaciągnęła aromatem.

– Wygląda bardzo smakowicie, a pachnie jeszcze lepiej. Podzielisz się ze mną swoim przepisem? – zapytała.

– Najpierw chcę, żebyś spróbowała, a potem porozmawiamy o recepturze. Daj mi jeszcze chwilę, przygotuję przystawkę i możemy zaczynać.

Jarek wrócił do kuchni i zajął się przygotowaniem paznokci, które ściągnął ze stóp bezdomnego podczas gotowania. Wrzucił je na rozgrzaną patelnię i delikatnie podprażył. Zapach, który unosił się nad kuchenką, przywołał uśmiech na twarzy kucharza. Po paru

chwilach wysypał uprażone paznokcie na talerzyk. Dodał oliwek i troszkę sera feta. Wszystko polał sosem czosnkowym.

– OK, możemy zaczynać – powiedział do swojego gościa, wchodząc do pokoju z przystawkami.

Położył talerzyk przed swoją ukochaną.

– Spróbuj najpierw tego i powiedz, co sądzisz.

Dziewczyna nabrała na widelczyk jeden żółty paznokieć, który wyglądał po uprażeniu jak płatek kukurydziany. Włożyła przekąskę do ust i schrupała ją. Jarek patrzył na nią i uśmiechał się.

– Oryginalny smak – powiedziała dziewczyna i przełknęła porcję sałatki.

– Cieszę się, że ci smakuje, kochanie. – Jarek jadł w milczeniu, patrząc, jak jego ukochana pałaszuje przystawkę. Sam wybierał z sałatki tylko paznokcie i oliwki. Nigdy nie lubił sera feta. Uważał, że zbyt wypacza smak potraw.

– Zanim zajmiemy się daniem głównym, przyniosę wino, które, mam nadzieję, będzie pasowało do mięsa. – Chłopak wstał i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z butelką czerwonego trunku. Postawił ją na środku stolika, odkorkował i nalał wina do kieliszków. Nałożył dziewczynie sporą porcję mięsa, które polał zielonkawo-żółtym sosem.

– Proponuję wznieść toast za udaną kolację. Oby było takich więcej – powiedział i uniósł kieliszek z winem w górę. Ania ujęła swój i brzdęknęła nim o kieliszek chłopaka. Oboje napili się i pocałowali nad stołem.

– Smacznego – powiedziała dziewczyna i włożyła do ust porcję mięsa. – Mmm... ależ delikatne – dodała po chwili. Jarek uśmiechnął się i zajął się swoją porcją.

Kiedy już zjedli i dopili wino, chłopak wyniósł talerze do kuchni i oboje usiedli na sofie.

– Teraz koniecznie musisz mi zdradzić przepis, kochanie – zagadnęła Ania, gładząc jednocześnie chłopaka po włosach. – Jak udało ci się uzyskać tak delikatne mięso i tak gęsty, smakowity sos?

– Nie możesz znać wszystkich moich sekretów, skarbie. – Jarek uśmiechnął się i pocałował dziewczynę. Całowali się długo i namiętnie, a jemu zdawało się, że język Ani owija się wokół jego migdałków. Jego ręka powędrowała pod obcisłą bluzeczkę, pod którą nie było stanika. Jej sutki stwardniały, pieszczono delikatnie jego dłońią. Zaczął jej szeptać do ucha, co właśnie zjedli i jak przygotował potrawę...

Obudził ich klakson porannego ekspresu do Katowic. Leżeli nadzy w łóżku, przykryci niewidzialnym kocem swojej chorej miłości.

– Czego spróbujemy następnym razem? – zapytała dziewczyna.

– Nie można chyba już pójść wiele dalej, kochanie – odpowiedział, patrząc bezmyślnie w sufit.

– A jak bardzo mnie kochasz?

– Co to za pytanie? Wiesz, że jesteś dla mnie wyjątkowa. – Jarek popatrzył na leżącą obok dziewczynę. – O co ci chodzi?

– Wiesz, mam szalony pomysł... ale nie wiem, czy się odważymy. – Ania uśmiechnęła się i przysunęła do chłopaka. – Chcesz, żebym ci powiedziała, o czym myślę?

– Pewnie, że tak – odpowiedział. Dziewczyna zaczęła szeptać Jarkowi do ucha. On tylko kręcił głową i uśmiechał się. Kiedy skończyła, popatrzył na nią i pocałował w usta.

– Jeśli naprawdę tego chcesz... Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko. Ale będziesz musiała mi z tym pomóc.

– Pewnie, że ci pomogę. To będzie niezapomniana kolacja. – Dziewczyna pocałowała go i zaczęli się kochać, w blasku wschodzącego za oknem słońca.

Ania wyszła z mieszkania Jarka około południa i udała się do osiedlowego warzywniaka. Zapaliła po drodze papierosa i szła rozmyślając o tym, co zaplanowali na wieczór. Układała sobie krok po kroku, kęs po kęsie ich wymarzoną kolację. Nie spodziewała się, że Jarek zgodzi się posunąć tak daleko. Znała go przecież od niedawna. Chyba rzeczywiście wiązało ich coś szczególnego, skoro się na to zdecydował. *Może naprawdę mnie kocha* – pomyślała i uśmiechnęła się. Mijający ją mężczyzna popatrzył na nią ze zdziwieniem.

Warzywniak był jednocześnie kioskiem ruchu i drogerią. Gruba, niska ekspedientka około pięćdziesiątki przywitała dziewczynę uśmiechem. Ania wzięła do ręki metalowy koszyk stojący obok drzwi i udała się w stronę skrzynek ze świeżymi warzywami. Dokładnie wybierała produkty z listy zakupów, którą sporządziła razem z Jarkiem. Wszystko musiało być perfekcyjne. Nie chciała popsuć tak szczególnego posiłku nieodpowiednimi składnikami.

Kiedy miała już wszystkie potrzebne produkty z listy, podeszła do lady i postawiła koszyk na blacie. Pucułowana ekspedientka obsłużyła ją bez słowa, a głupkowaty uśmiech na jej okrągłej twarzy nie zniknął nawet na chwilę.

Ania zapłaciła i wyszła, życząc ekspedientce miłego dnia. Kobieta pomachała jej na pożegnanie i dalej bez ruchu tkwiła za ladą, ze swoim przyklejonym do twarzy uśmiechem.

W drodze powrotnej Ania weszła jeszcze do monopolowego i kupiła dwie butelki czerwonego wina. *Będą świetnie pasowały do wieczornego posiłku* – pomyślała i przełknęła ślinę, która napłynęła jej do ust na myśl o jedzeniu.

Po powrocie do mieszkania chłopaka rozpakowała zakupy w kuchni i zajęła się przygotowywaniem potraw. Jarek układał talerze i sztucce na stole w salonie. Nie rozmawiali ze sobą prawie wcale. Oboje zdawali się trwać pogrążeni w marzeniach o wspólnej, wyjątkowej kolacji.

Ania co chwilę wyglądała przez otwarte drzwi kuchenne, i obserwowała Jarka, jak starannie układa wszystko na stole. Lśniący, biały obrus, świece na środku, kryształowe kieliszki na wino i talerze perfekcyjnie do siebie pasowały. Wszystko równo poukładane. Srebrne sztucce dopełniały dzieła.

– Myślę, że za około pół godziny możemy zaczynać – zawołał z salonu Jarek. – Jak tylko będziesz miała gotowe wszystkie składniki, daj znać, a ja zajmę się resztą.

– Dobrze, kochanie. W sumie wszystko już mam przygotowane. Pójdę się odświeżyć do łazienki i poprawię makijaż.

– OK. Zmykaj się przygotować, a ja podam wszystko, jak będziesz już gotowa. – Jarek wszedł do kuchni i stanął za dziewczyną. Przytulił ją i pocałował w szyję.

– Kocham cię – wyszeptał. – Już nie mogę się doczekać, kiedy zasiądziemy do stołu.

Dziewczyna odwróciła twarz i pocałowała go w usta.

Ania wyszła z łazienki i zasiadła przy stole, na przygotowanym dla niej miejscu. Po chwili do pokoju wszedł Jarek. Był nagi. Niósł talerze z warzywami i surówkami. Położył wszystko na środku blatu i usiadł obok dziewczyny.

– Możemy zaczynać – powiedział i uśmiechnął się. – Życzę smacznego.

Dziewczyna wzięła do ręki skalpel, który leżał obok jej talerza. Przysunęła się do Jarka i zagłębiła ostrze w jego udzie. Chłopak cicho syknął. Poczuł jak zimne ostrze wchodzi w mięsień. Ania wykroiła kawałek mięsa i położyła go na talerzu. Rana nie krwawiła zbyt wiele, ale dziewczyna i tak nałożyła opatrunek na skaleczoną nogę. Przekroiła kawałek mięsa na dwie porcje i jedną podała Jarkowi.

Zjedli wszystko w milczeniu. Patrzeli tylko na siebie, uśmiechając się. Mięso miało smak zardzewiałego żelaza. Było ciepłe i soczyste.

– Teraz czas na drugie danie, kochanie – powiedziała Ania. Wzięła ponownie do ręki skalpel. Tym razem zagłębiła ostrze w plecach Jarka. Wycięła spory kawałek mięśnia,

odslaniając żebra. Chłopak patrzył na mięso z zachwytem. Kolejna porcja wylądowała przed nim na talerzu. Zaczął jeść, jednocześnie pochylając się do przodu, tak aby dziewczyna mogła opatrzyć ranę.

– Wspaniale przygotowałaś warzywa, kochanie. Świetnie się komponują z mięsem.

Ania odpowiedziała mu mrugnięciem i pocałowała go w czoło.

Kiedy skończyli drugie danie, dziewczyna pomogła przejść Jarkowi z krzesła na kanapę. Utrata krwi dawała mu się już we znaki. Głos dziewczyny dobiegał do niego jakby z oddali.

– Pora na deser, kochanie – powiedziała. Jarek nie odpowiedział. Kiwnął tylko głową i uśmiechnął się bladymi ustami.

– Ja chyba zrezygnuję – wyszeptał. – Ale ty jak najbardziej sobie nie odmawiaj.

Dziewczyna podeszła do niego z łyżeczką. Jedną ręką rozchyliła powiekę chłopaka, a drugą zgrabnie wydłubała oko.

Jarek zemdlął niemal natychmiast.

Dziewczyna włożyła oko do ust i przegryzła. Ciepły płyn rozlał jej się w ustach. Miał smak wody z cukrem i solą. Ania wysssała cały płyn, a resztę tego, co zostało z oka, wypłuła na talerzyk.

– I to się nazywa prawdziwy deser – powiedziała i pocałowała nieprzytomnego chłopaka w usta. – Szkoda, że nie możesz tego spróbować.

Wstała z kanapy, podeszła do stołu i ponownie wzięła skalpel.

Cięcie było zgrabne i szybkie. Ania włożyła rękę w otwór w klatce piersiowej i chwyciła serce. Było gorące. Dziewczynie zdawało się nawet, że poczuła jego ostatnie uderzenia, trzymając je w dłoni. Wyrwała narząd z klatki piersiowej chłopaka i położyła go na talerzu.

– To na śniadanie – powiedziała. – Tak ciężko w dzisiejszych czasach o pełne miłości i zrozumienia serce.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIAŻKA
GRA
KOMIKS



Strach

Robert Miłoś

Tamta noc na długo miała pozostać w pamięci mieszkańców Kruszwicy – małego miasteczka położonego gdzieś na krańcach ówczesnej Polski. Już kilka godzin po opisanych tu wydarzeniach ludzie zaczęli opowiadać sobie, że owego dnia po zachodzie słońca wampiry snuły się po okolicy, wiedźmy latały nago na miotłach, po zagajnikach watahy wilkołaków czyhały na swe ofiary, a psy kryły się po budach bądź kątach mieszkań swych właścicieli, skamląc ze strachu.

Jaga, kobieta chora na ciele i umyśle, przepowiadała już wcześniej na ten dzień koniec świata. „Ukarani będą grzesznicy” – głosiła. Szczury w wielkiej liczbie miały pojawić się w mieście, trupy porzucić groby i chadzać po ulicach jak za życia. „Sarny i wilki razem będą polowały, żaby opuszczą sadzawki i stawy, gdzie woda wrzeć będzie, jakby diabli gotowali zupy. Konie, krowy i osły będą, jak w Wigilię, ludzkim gadać głosem” – straszyla.

Trudno dziś orzec, co miało miejsce naprawdę, a co dodały później babskie lub gospodarskie języki. Jednak w każdej baśni lub opowieści kryje się ziarno prawdy...

Noc. Zbliżała się właśnie godzina duchów – północ. Gdy mała i duża wskazówka zegara dobiegły cyfry dwanaście, przeraźliwie zaskrzypiała otwierana czyjąś ręką żelazna brama. Skulona postać przemknęła się i weszła na teren cmentarza. Mężczyzna (sądząc po sylwetce i ruchach) w ręku trzymał latarnię, delikatnie rozpraszając ciemność, a na plecach dźwigał coś, co przywodziło na myśl krzyż. Czego tu szukał? Jakie nieczyste siły go tu przywiodły?

Zadarł głowę i poprzez gałęzie drzew spojrzał na miesiąc w pełni, którego tarcza wyglądała z tej perspektywy tak, jakby ktoś wyrysował na niej czarne, nieregularne linie. Gdzieś blisko zawył pies, cichym lotem przemknął się nad jego głową nietoperz, potem drugi, trzeci...

– Cholera! – zaklął, schyliwszy się. – Co je wystraszyło?

W końcu dotarł na miejsce, chwilę odsapnął i powiedział sam do siebie:

– Nieźle się wpakowałem.

Mężczyzna szedł pełną drogą, zagłębiając się niemal po kolana w błocie. Było już po zmroku, wiał silny jesienny wiatr, wczoraj cały dzień padał deszcz. Kierował się od swojego domostwa w stronę pobliskiego miasteczka, Kruszwicy. Szczelniej dopiął płaszcz, mocniej owinął wokół szyi czerwony szal, tak jak lubiła jego żona, tak jak go nauczyła, na zewnątrz wierzchniego okrycia. Kultywował ten zwyczaj nawet po jej śmierci. Odeszła z tego świata dziesięć lat temu (*jak ten czas leci* – pomyślał); zabiła ją gruźlica. To go załamało. Stał się zgorzkniały, smutny, zaczął pić. Trzy lata przed towarzyszką życia pochował swoją nowo narodzoną córeczkę, nawet nie zdążyli nadać jej imienia.

– Gruźlica płuc – orzekł lekarz.

Psioczył wówczas na cały świat, przeklinał Boga. Nie wiedział wtedy jeszcze, co go czeka w przyszłości, jaki zgotuje mu los trzy lata później wszechmocny Bóg. Dziś był złamanym życiem czterdziestoletnim mężczyzną, z bujną, siwą czupryną, ze zniszczonymi dłońmi. Żył z pracy własnych rąk – kuźnia, stojąca opodal drewnianej chaty, w której mieszkał, była jego drugim domem.

Powoli zbliżał się do pierwszych zabudowań miasta. Kazimierz, bo takie nosił imię, słynął w okolicy z niezwyklej siły i odwagi. Mawiano, że z niedźwiedziem mógłby się brać za bary, widziano ponoć, jak szarżującego byka chwycił za rogi i kark mu skręcił w gniewie, sam głosił, iż diabła z piekła za uszy by wyciągnął, gdyby mu założył za skórę. Ile było w tym prawdy, a ile wyobraźni ludzkiej i przechwałek samego bohatera? Trudno powiedzieć. Na pewno wszyscy schodzili mu z drogi, bano się go powszechnie, matki straszyły nim niegrzeczne dzieci.

Zaraz po śmierci żony (Agata nadal odwiedzała go w snach) nie przeżył ani jednego dnia bez pijatyki, rozróby. W miarę upływu czasu, jak ból łagodniał, częstotliwość tych ekscesów również traciła na intensywności. Ale i dziś jeszcze potrafił rozbić drewnianą ławę na czyimś grzbiecie albo rzucić kimś o ścianę. Miejscowy proboszcz wyklinał go z ambony, wzywał do poprawy – nic nie docierało do zapalczywej głowy.

W oddali majaczyła murowana wieża kościoła pw. św. Jana Chrzciciela, z której w niedziele rozchodził się dźwięk dzwonu, wzywającego wiernych na nabożeństwa. Dwa razy w tygodniu udawał się tą drogą do oddalonej o jakieś dwa, trzy kilometry Kruszwicy. We wtorki na cotygodniowy targ, by załatwić sprawunki, a w soboty do miejscowej gospody „Pod Czerwonym Bykiem”, by topić swe smutki i żale w alkoholu wraz z nielicznymi przyjaciółmi, jacy mu pozostali – lokalnymi obibokami i nicponiami.

Wszedł właśnie w obręb miasta. Latarnie nikłym światłem rozświetlały kamienice i brukowane uliczki, na których zalegały wciąż po wczorajszej ulewie kałuże i masy błota. Zaklął szpetnie i prawie biegiem ruszył w stronę gospody, czuł już w ustach smak wódki i piwa, ale też spieszno mu było zobaczyć pasierbicę gospodarza, siedemnastoletnią Martę.

Marta. Poznał ją zaraz po śmierci swojej ukochanej. Ona straciła wtedy ojca, on dwie kochane istoty; to zbliżyło ich do siebie. Zaczął się wtedy bać, że może stracić również i ją, nie mógł spać po nocach i często zrywał się z krzykiem.

Po roku Jagoda, matka dziewczynki, wyszła za mąż po raz drugi za obecnego właściciela „Pod Czerwonym Bykiem”, Jakuba, jednak zawiązana wówczas przyjaźń pomiędzy dorosłym, zgorzkniałym mężczyzną a dzieckiem przetrwała do dziś. Pamiętał, jak siadywała mu na kolanach i prosiła, żeby opowiadał jej bajki; robił to z wielką radością. Kiedy kończył jedną opowieść, patrzyła mu w oczy, a potem szeptała do ucha:

– Jeszcze, wujku, jeszcze jedną, ostatnią.

I opowiadał dalej. Dziwne, ten gburowaty człowiek potrafił rozmawiać z małym aniołkiem, Ignęła do niego i w przeciwieństwie do innych nie bała się go wcale. Jej matka początkowo patrzyła na tę ich przyjaźń z niechęcią; potem przywykła, pogodziła się z nią – i tak zostało aż do teraz. Może dziewczynka dostrzegała w nim ojca, wsparcie w trudnej

chwili, pociechę. On na pewno widział w niej utracone dziecko. Marta miała kruczoczarne włosy i ciemne jak węgiel oczy, podobnie jak jego zmarła córka. To ona zapewne uchroniła go przed postępującym szaleństwem, a kto wie, czy i nie przed samobójstwem, to sam jej widok tamował w nim gniew, destrukcję. Dziś dziewczyna była pannicą i oglądali się za nią chłopcy. Ona sama również wodziła oczyma za co przystojniejszymi kawalerami, jednak nie miała jak do tej pory żadnego, a chętnych nie brakowało – panna była nad wyraz urodziwa.

Stanął wreszcie u celu swej krótkiej podróży.

Dębowe, dwuskrzydłowe drzwi broniły dostępu do wnętrza. Nad nimi wisiał, przymocowany grubymi gwoźdźmi, również wykonany z dębowego drewna, szyld. Krwistoczerwony napis głosił: „Pod Czerwonym Bykiem”. Pod nim namalowano niewprawną ręką coś, co miało odzwierciedlać nazwę gospody. Na początku śmieszył go ten obrazek. Ni to byk, ni to krowa – mawiał, dopóki nie dowiedział się, że autorem rysunku jest „jego” Marta. Od tamtej pory przestał z niego szydzić i nie pozwalał na to innym. Nacisnął klamkę, zdecydowanie pchnął drzwi i wszedł do środka.

– Witaj, Kaziu! – rozległ się w tym samym momencie głos z głębi sali. – Czekaliśmy właśnie na ciebie!

Należał on do brodatego, barczystego mężczyzny około pięćdziesięciu lat, z bujnymi, długimi włosami opadającymi na ramiona. Musiał mieć już nieźle w czubie, bo wstając i próbując jednocześnie zamachać ręką, zachwiał się.

– Jak się masz, Protazy! – odrzyknął Kazimierz, zbliżając się w jego stronę. – Nie widzieliśmy się kawał czasu! – powiedział z humorem.

– Od zeszłej soboty. W porównaniu z tym, jak bywało dawniej, zaniedbujesz ostatnio naszą kompanię – rzekł poważnie.

– Wiem, wiem – powiedział z niechęcią. Mam teraz sporo roboty. Sam rozumiesz... Muszę przecież z czegoś żyć – ciągnął dalej. – A i wódki nie dają tu za darmo.

– Niestety, Niestety, stary druhu – zaśmiał się. – Ale dość gadki! Siadaj! – powiedział i po chwili, odwracając się w stronę szynkwasu, ryknął: – Karczmarzu, kufel piwa i szklanekę wódki dla mojego przyjaciela!

Kilka zaledwie świec nie mogło rozjaśnić sali i gdyby nie buzujący w kominku ogień, byłoby prawie ciemno. Przy surowym, ledwo ociosanym stole z buczyny siedziało jeszcze czterech innych mężczyzn. Wszyscy oni znani byli z pijaństwa, burd i nieróbstwa. Najmłodszy, zwany Kozikiem ze względu na wprawę w posługiwaniu się tym narzędziem, miał jakieś dwadzieścia pięć lat i już po jego twarzy można było poznać, że lubił alkohol. Wciąż siedział na utrzymaniu matki. Biedna kobieta ciągle klepała „zdrowaśki” w kościele, żeby syn się zmienił, przestał pić i znalazł sobie w końcu żonę. Najstarszy, na którego wołano

Ojciec, był milczkiem i samotnikiem. Towarzystwo, podobnie jak Kazimierz, tolerował tylko przy pijaństwie i rozróbach. Wynajmował się do różnych robót i prac polowych, w ten sposób zarabiając na kawałek chleba i wódkę. Pozostali dwaj to: Kartofel i Mietek. Ten ostatni od wczesnej wiosny do późnej jesieni pracował jako drwal. Nazywano go za plecami głupkiem. „Silny jest jak tur, ale jego rozum można by zmieścić w dłoni” – mawiali złośliwi. „Ale Kazimierzowi nie dałby rady!” – krzyczeli inni. „No, pewnie!” – odpowiadali tamci. O Kartoflu mówiono, że żyje z kradzieży, chociaż nie znalazł się taki, który z czystym sercem mógłby powiedzieć: „Mnie okradł”.

– Kaziu! – odezwał się Protazy. – Gdyby nie ty, dawno bym już rozwalił kuflem łeb temu łysemu pokrace. Powolny jest jak ślimak i tylko pieniądze potrafi liczyć szybko – zarechotał przy tym jak z najlepszego dowcipu.

W tym momencie pojawił się właściciel gospody.

– No, nareszcie! Już myślałem, że musisz wyprodukować te zacne trunki. – Protazy znowu się zaśmiał.

– A gdzie Marta? – zwrócił się Kazimierz do oberżysty.

– Zaraz powinna być z powrotem, żona wysłała ją w jakiejś sprawie. Jakiej, nie wiem. Nie pytaj – odpowiedział i zaraz wycofał się na zaplecze.

– Czemu się go zawsze czepiasz, Protazy. Przecież wiesz, że Marta jest dla mnie jak córka.

– Dobrze, już dobrze... – zabelkotał tamten i nagle zaintonował pijacką pieśń:

Hej, wytoczmy razem beczkę piwa!...

– No i takiego cię lubię, mój Protku – rzekł Kazimierz i wychylił jednym haustem szklankę wódki. Obtarł rękawem usta i odetchnął z ulgą.

– A ja ciebie takiego, Kaziu! – odparł tamten i zaśpiewał dalej:

Czy to w dzbankach, czy w kufelkach,

Wyżłapiemy z niej ten trunek.

Hej, wynieśmy drugą beczkę piwa!

Pragnienie nam dokucza.

– Za wasze zdrowie, pijackie mordy. – Wzniósł ni z tego, ni owego toast Mietek.

– I za twoje – krzyknęli zgodnym chórem pozostali biesiadnicy.

Towarzystwo rozochoczone alkoholem, zachowywało się coraz głośniej. Gospodarz „Pod Czerwonym Bykiem” co chwila zerkał zaniepokojony. *Znowu będzie awantura* – pomyślał. – *Żeby tylko Marta wróciła na czas.* Pozostali goście byli chyba podobnego zdania, bo co jakiś czas jeden po drugim wymykali się chyłkiem. Może by i poszli do innej gospody, gdyby takowa istniała w Kruszwicy.

– Skaranie boskie z tymi drabami – szeptem stwierdził jeden z gości, siedzący blisko Kazimierza i jego kompanii.

– Masz rację, nie ma na nich kary, a sami nie mają wstydu – odpowiedział jego sąsiad.

– Zabijaki – prawie krzyknął na koniec i zaraz przestraszył się swego wybuchu.

„Wesoła kompania” jednak tak już pogąrzyła się w pijaństwie, że nic, co działo się wokoło, nie docierało do ich uszu.

W tym czasie Kazimierz głęboko się zamyślił. *Co ja tu robię z tymi pijakami i durniami?* – dumał. *A przecież byłem kiedyś porządnym człowiekiem. Miałem żonę, rodzinę, byłem szczęśliwy, przede mną otwierała się przyszłość. A teraz co? Co ona by powiedziała, widząc, jak ja teraz żyję?* Wolał o tym nie myśleć. Przed oczyma stanęła mu Agata. Była piękną kobietą. Przynajmniej on ją taką pamiętał, może po prostu był w niej mocno, do szaleństwa zakochany i to przesłaniało mu jej wady. Tak! Bardzo ją kochał! Miłością czystą, niebanalną. Miała długie, kruczoczarne włosy. Zawsze nosiła je rozpuszczone, bo on tak lubił, robiła to dla niego. *Kochana Agata* – zapłakał w duszy. *Boże, czemuś mi ją odebrał i... nasze dziecko, tę małą, niewinną istotkę. Boże! Jak mi ich brakuje!*

Gdy zachorowała ich córeczka, a lekarze rozkładali bezradnie ręce, poszedł do znanej w okolicy znachorki. Nazywano ją czarownicą Heleną. Odczyniała uroki, dawała wywary dla nieszczęśliwie zakochanych, leczyła rany, oparzenia, postrzały, gdy „myśliwy” polował nielegalnie i bał się zgłosić do prawdziwego lekarza, a może po prostu wierzył bardziej czarownicy. Leczyła też „normalne choroby”. Niestety! Nie pomogła jego maleństwu! Jakoś przełknął tę gorzką pigułkę.

Potem zachorowała Agata. Znow po pewnym czasie lekarze rozłożyli ręce; przeklął ich. Ponownie udał się do Heleny. Ta po raz drugi zawiodła go. Wściekł się. Kilka dni później, po kilku głębszych, oszalały z rozpacz i wściekłości, postanowił udać się do chaty czarownicy, żeby, jak sam to nazwał w myślach, dać starej jędzy nauczkę. Dom stał w pobliskim lesie na skraju moczarów, otoczony gęsto starymi dębami i bukami. Niewielu zapuszczało się w okolicę, gdzie zamieszkiwała Helena, czy to ze strachu, czy z szacunku dla starej, a najprawdopodobniej z tych dwóch powodów naraz. Skoro leczyła, to mogła, jeśli by chciała, zaszkodzić.

Długo szykował się na tę wyprawę. Ogolił się, wykąpał, włożył odświętne ubranie i wystrugał sporych rozmiarów kij – karę. Gdy to wspominał, czuł wstyd. Dlaczego się tak tamtego dnia zachował, co go opętało? Przychodził mu na myśl tylko diabeł. Nie taki z opowieści, legend czy nawet Biblii, ale taki prawdziwy, wychodzący ze środka jego samego – z mrocznej duszy. Zdawał sobie sprawę z irracjonalności swego zachowania. Czemu się przed wyjściem tak wystroił? Chciał się oczyścić, sprawić, że poczuje się lepiej? Chyba sam nie wiedział. Przecież znachorka nie była niczemu winna, wręcz przeciwnie – chciała pomóc, tak jak pomagała do tej pory innym mieszkańcom Kruszwicy i okolicznych wiosek. Wielu ją szanowało, byli jej wdzięczni.

Czekał do zachodu słońca (może żeby ukryć wstyd?). Wtedy wziął kij i wyszedł. Poruszał się powoli, z ociąganiem, prawie włókł nogę za nogą, jakby chciał odwlec ten moment. Może coś walczyło w jego wnętrzu – pojedynek dobra ze złem, coś, co miał w duszy jeszcze dobrego ścierało się w tej chwili z jego mrocznym „ja”. Kiedy dotarł do skraju lasu, przyśpieszył; teraz prawie biegł. Wreszcie jego oczom ukazała się chatka Heleny. Przystanął, jakby zdziwiony, że tak szybko dotarł.

– No, jestem! – powiedział na głos, dodając sobie prawdopodobnie tym samym odwagi. W leśnym domku paliło się światło.

Chatkę zbudowano z drewnianych bali, a dach pokryto strzechą. Dwa okna (tylko w jednym paliło się światło) przedzielały jednoskrzydłowe drzwi. Przed swoim domkiem „stara jędza” – jak ją w tamtych dniach nazywał Kazimierz – urządziła mały ogródek pełen kwiatów i ziół, latem pięknych i kwitnących, teraz przywędłych i pożółkłych. *Miałem kiedyś taki ogródek* – zasmucił się. I to go popchnęło do działania. Podbiegł do drzwi i otworzył je jednym potężnym kopnięciem, wrywając je niemal wraz z futryną.

– Co, do diabła! – zaskrzeczała zaskoczona Helena, odwracając wzrok w stronę drzwi. W jej oczach pojawiło się najpierw zdziwienie, potem strach.

Kobieta miała tego typu urodę i ubierała się w taki sposób, że trudno było ocenić jej wiek. Mogła mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i osiemdziesiąt lat. Nikt w okolicy nie wiedział, ile wiosen sobie liczy; ludzie różnie o tym rozprawiali. Ona sama, kiedy ją o to pytano, milczała. Pojawiły się plotki, że może mieć i sto lat.

– Czego chcesz? – powiedziała, rozpoznając gościa. – Nic już dla ciebie nie mogę zrobić.

Kazimierz nie odpowiedział. W jego oczach kobieta dostrzegła szaleństwo i wtedy naprawdę zaczęła się bać.

On błędnym, dzikim wzrokiem rozejrzał się po izbie. Poza drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pomieszczenia, zobaczył tylko skromne wyposażenie siedziby znachorki: stół,

dwa zydle, oraz kilka worków z ziołami i naczynia stojące wprost na podłodze. Następnie kopnął kobietę w twarz. Cios musiał być dobrze wyprowadzony, bo upadła na podłogę. Potem zadał jej następne kopnięcia i ciosy kijem. Niewiele już dziś z tamtego wieczoru pamiętał, za to wyraźnie utkwiał w jego mózgu ranek. Kac! kac! I jeszcze raz kac! I to nie tylko ten fizyczny, ale przede wszystkim ten moralny, psychiczny.

– Co mi strzeliło do łba! – krzyczał, rwąc włosy z głowy. – To wszystko przez wódkę!

Kobieta przez miesiąc przychodziła do zdrowia; nikogo w tym czasie nie przyjmowała, nie leczyła. Ludzie w Kruszwicy patrzyli wilkiem na Kazimierza. Kiedy pewnego dnia spotkał Helenę na miejskim rynku, chciał podejść, by ją przeprosić. Ona jednak wpadła w szal. Zakryła twarz rękoma, skuliła się i zaczęła wrzeszczeć:

– Żebyś przepadł na wieki, żebyś zgnił za życia, zbójcu, morderco! Zobaczysz! Zemszczę się, choćby zza grobu! – wyła.

Nic pozostało mu nic innego, jak odejść, tym bardziej, że zaczęło się robić zbiegowisko.

– Cholera! – zaklął. – Muszę skończyć z pijaństwem! – szczerze postanowił.

Na postanowieniu się jednak skończyło. Kazimierz pił dalej. Może rzadziej, ale alkohol towarzyszył mu wciąż. Bał się, że nie poradzi sobie bez niego, bez ukochanej kobiety, dziecka, rodziny... chciał umrzeć! Śmierć, jakby znając jego pragnienia, omijała go szerokim łukiem.

Śmierć!!! Pamiętał dokładnie dzień, w którym odeszła Agata, jakby to było dziś. Choroba objawiła się kilkanaście tygodni wcześniej. Była wiosna. Słońce przebywało coraz dłuższą drogę po niebie, kwitły kwiaty, bujnie rosła trawa, ptaki śpiewały, przysiadając na ich płocie lub pobliskich drzewach. Czasami na skraju lasu przemknął lis, zając lub sarna. W niedalekim stawie wieczorem kumkały żaby, w trawie od czasu do czasu żałośnie zagrał świerszcz. Wtedy to się zaczęło, pojawiły się pierwsze objawy tej strasznej, wyniszczającej człowieka choroby. Tak! Znał ją już! Agata zaczęła najpierw kasłać, wystąpiła gorączka, po kilku dniach zaczęła pluć krwią, schudła. Był przerażony. Opiekował się nią do ostatnich dni, do ostatnich godzin, minut; cierpiał razem z nią. Mył ją, ocierał pot z czoła, robił, co mógł. Na próżno! Któregoś dnia wieczorem odeszła. Trzymał jej dłoń do świtu, aż stała się zimna, lodowata. Ale nawet wówczas ocierał jej pot z czoła, pot, którego już nie było. Nie miał pojęcia, co dzieje się wokół niego... Aż poczuł czyjąś rękę na ramieniu, otrząsnął się.

– Czego chcesz? – spytał cicho.

– Chciałem podkuć konia, ale... – zaczął silny, męski głos.

Gospodarz nie pozwolił mu dokończyć.

– Przecież widzisz, że nie mam dziś czasu. Opiekuję się chorą żoną – rzekł z wyrzutem.

Mężczyzna przez chwilę wahał się, potem zrozumiał.

– Przyjacielu! – szepnął. – Ona jest już na tamym świecie.

Świeżej daty wdowiec spojrzał na gościa, jakby dalej nic do niego nie docierało. Za chwilę jednak wstrząsnął nim dreszcz i zapłakał.

– Agata! Agata nie żyje! – wydusił z siebie.

Nowo poznany mężczyzna pomógł mu w pierwszych, najtrudniejszych dniach. Powiadomił rodzinę, zajął się pogrzebem, stypą. Po wszystkim zaprosił Kazimierza na wódkę. Pili przez trzy dni z rzędu, robiąc tylko przerwy na sen. Ostatniego dnia wyciągnął po prostu rękę i powiedział:

– Jestem Protazy.

Takie były początki ich przyjaźni; złe języki twierdziły, że niekończącej się libacji.

– A ty, co, Kaziu? – wyrwał go z rozmyślań głos Protazego. – Spiłeś się, przyjacielu?

– Nie, nie, zamyśliłem się.

– Do dobrze, bo już myślałem... – nie dokończył. – My, starzy, to możemy jeszcze wypić, bo ci młodzi są do niczego. Spójrz na Kozika. Bidula już ma dość na dzisiaj.

Kazimierz zwrócił wzrok w stronę młodzieńca. Kozik półleżąc, półsiedząc, zwiesił głowę na ramionach opartych o stół, cicho pochrapując. I gdyby chwilę potem nie zwałił się pod stół, dotrwałby tak do rana. Przyjaciele od kieliszka przenieśli go na ławę.

– Za tych, co już nie mogą! – zaryczał Kartofel, szczerząc zęby w pijackim uśmiechu.

– Za młodych! Niech się uczą sztuki picia wódki! – dołączył się Mietek.

– A wiesz ty, Kaziu, o czym my rozmawialiśmy, zanim przyszedłeś? – powiedział Ojciec.

– No?

– Kozik wpadł na pewien wariacki pomysł. Miał iść sam o północy na cmentarz i przynieść jakieś trofeum na znak, iż rzeczywiście tam był. Ustawiliśmy zakłady: całkiem nieźła sumka – podpuszczał. – Pokaż – rzucił w stronę Mietka.

Wskazany wyciągnął zza pazuchy pękaty woreczek z wyprawionej skóry, rozwiązał rzemyki i wysypał całą jego zawartość na stół.

– Całkiem nieźle – powiedział Kazimierz.

– Ale już chyba nie pójdzie – stwierdził Kartofel, wskazując na śpiącego młodzieńca i ryknął śmiechem. Zawtórowali mu pozostali. – Szkoda tego grosza – judził z kolei on.

– Ale ja pójdę! – Kazimierz grzmotnął pięścią w stół, aż ława zatrzęszczała.

– Gdzie pójdiesz, wujku? – zapytała Marta, która właśnie weszła do gospody.

Kazimierz zmieszał się, zrobiło mu się głupio.

– Ja... – zaczął.

– Kaziu pójdzie samotnie na cmentarz i przyniesie jakiś fant – powiedział Mietek. – Zrobiliśmy zakłady. Spora...

– Czyś ty oszalał!? – przerwała mu Marta.

Kazimierz nie wiedział, co odpowiedzieć. Gdyby mógł w tym momencie, to by udusił Mietka gołymi rękami.

– Marta! – prawie krzyknął. – Chodź, porozmawiamy na boku.

I kiedy znaleźli się w oddaleniu od reszty biesiadników, zaczął mówić:

– Nie wiem, co mi strzeliło do łba, ale już się zgodziłem, więc teraz muszę iść, bo jakże... Marta, posłuchaj! Byłaś zawsze dla mnie jak córka... Wiesz przecież... – mówił urywanymi zdaniem. – Obiecuję ci, że to ostatni raz. Możesz mi wierzyć! – ciągnął dalej. – Przysięgałem sobie sam niejedną raz, ale... Po raz pierwszy przysięgam tobie. Od jutra nie tknę wódki, ani piwa. Dość! Marta! Wierzysz mi? – prawie krzyknął.

– Oj, wujku, wujku, chyba tak... Mam nadzieję, że mówisz prawdę... Chcę ci wierzyć – niepewnie powiedziała dziewczyna.

– To uwierz! Tobie nie rzucałbym słów na wiatr. Zanim przyszedł – ciągnął – myślałem o tobie, swoim życiu, żonie, dziecku, spojrzałem wstecz... i – prawie się jęknął – nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Mam dość!

– Musisz skończyć z tym, burdami, rozróbami, bo... inaczej, źle się to dla ciebie skończy. I tak miałeś dużo szczęścia...

– Szczęścia? – przerwał jej. – Co to za szczęście? – powiedział z goryczą.

– Wiesz, że nie o tym mówię.

– Wiem, Marta. Wiem. Przepraszam cię. Wiesz! Chciałbym jeszcze zatańczyć na twoim weselu...

– Wujku – powiedziała zawstydzona.

– Może i ja poznam jakąś wdówkę, ożenię się drugi raz. Ale przede wszystkim chciałbym, żeby tobie się udało, żebyś była szczęśliwa.

Długo milczeli oboje; wreszcie Kazimierz przemówił:

– Idź teraz do siebie! Porozmawiamy jeszcze jutro, jak będę trzeźwy. Załatwię tylko szybko ten głupi zakład i wracam do domu.

Marta spojrzała na Kazimierza i powiedziała:

– Idę, uważaj na siebie, mam złe przeczucie.

– Nie martw się, będzie dobrze. Rano dokończymy naszą rozmowę.

– Pa, wujku.

– Pa, Marta.

Kazimierz wrócił do stołu, ale nie siadł.

– To czas na mnie, przyjaciele – powiedział. – Załatwię sprawę z tym zakładem i zaraz wracam.

– Wiwat, Kazimierz! – ryknęli Mietek, Ojciec i Kartofel. Tylko Protazy milczał i drapiąc się po brodzie, nad czymś głęboko się zamyślił.

– Kaziu, to głupi zakład, nie musisz wcale iść – zaczął go odwozić.

– Jak to, zakład jest, musi iść! – zaperzyła się reszta ferajny.

– Skoro żeście tacy mądrzy, to idźcie sami.

– Głupi, niegłupi, słowo się rzekło – stwierdził Kazimierz.

– Jak chcesz – zrezygnował Protazy.

Kazimierz chwycił szklankę z wódką i pociągnął spory łyk. Odstawił ją z łoskotem, chwycił płaszcz i szalik, i wyszedł.

Kiedy znalazł się za drzwiami, w duchu przyznał rację i przyjacielowi, i Marcie. *Głupi jestem jak but, niczego się nie nauczyłem przez te lata, wręcz przeciwnie, z wiekiem idiocieję. Marta dobrze powiedziała, że źle to się musi dla mnie skończyć. Muszę przestać. To zresztą już postanowione. Trzeba dalej normalnie żyć, naprawić to, co można jeszcze naprawić. Choćby ze względu na Martę, ale też ze względu na siebie samego, na pamięć Agaty.*

Tak rozmyślając, szedł ulicami Kruszwicy, rzucając długi, błędzący po ścianach i bruku cień. Gdzieniegdzie paliły się w oknach lampy bądź świece. Uliczne latarnie igrały światłem. Wszedł księżyc, pojawiło się kilka gwiazd. Powoli opuszczał miasteczko i zbliżał się do położonego niedaleko od niego cmentarza. Wreszcie dotarł. Otworzył bramę, która straszliwie zgrzytnęła, i wszedł na teren miejsca wiecznego spoczynku mieszkańców Kruszwicy.

Spojrzał jeszcze raz na księżyc, który zaczęły przesłaniać chmury. Noc ciemniała.

– Cholera, nic nie widać! – mruknął. – Mogłem wziąć latarnię.

Co by tu wziąć na dowód – pomyślał.

– Do diabła! – znowu zaklął. I kierowany jakimś dziwnym odczuciem chwycił pierwszy przedmiot, jaki wymacał w ciemności rękoma – wyrwał drewniany krzyż. Wyszedł lekko. *Grób musi być świeży* – dotarło do niego. Zarzucił go na plecy i ruszył w stronę wyjścia. Wtedy usłyszał dziki śmiech. *Chyba puszczają mi nerwy, duchów przecież nie ma* – przeszło mu przez głowę. Za cmentarną bramą przyspieszył kroku.

– No i po strachu! – odsapnął. Wkrótce otwierał drzwi do gospody.

– O, Kaziu, jesteś! – przywitali go.

– Ano jestem! Wódki! – krzyknął.

– Co tam przyniosłeś? Pokaż! – zaciekał się Kartofel.

Wtedy Kazimierz spojrzął po raz pierwszy na swe trofeum w pełnym świetle i aż go zmroziło. Na tabliczce przybitej do krzyża odczytał: Helena Kowalówna. Chwycił szklanę wódki i łyknął spory łyk. Odkasznął i robiąc dobrą minę do złej gry, stwierdził:

– Mamy do siebie szczęście, co?

Kartofel z Mietkiem wybuchnęli śmiechem.

– Chyba tak – zgodnie przytaknęli.

– I co masz teraz zamiar zrobić? – zapytał Protazy.

– Odniosę z powrotem. Dość się ode mnie nacierpiał za życia – rzekł zamyślony. – Aha! Dajcie jakieś światło! Ciemno jest jak diabli!

– Słusznie – stwierdził przyjaciel. Nie wiadomo tylko, czemu przytakiwał, czy odniesieniu krzyża, czy zabranu ze sobą oświetlenia.

Kazimierz jeszcze raz pociągnął porządny łyk wódki, wziął jedną z latarni stojących na stole, pod pachą umieścił krzyż i powiedział:

– No to idę. A wy szykujcie pieniądze. Zaraz wracam.

Kiedy zatrzasnął drzwi gospody, zrobiło mu się nieswojo. Jeszcze bardziej niewyraźnie poczuł się, gdy ponownie stanął przed cmentarną furtą; znowu zaskrzypiała, kiedy ją otwierał. Ciemność zdawała się gęstnieć, wzrastał wiatr. Skierował się następnie w stronę grobu czarownicy. Odszukanie go przyszło mu z niesłychaną łatwością, jakby ktoś niecierpliwy chciał, żeby go szybko odnalazł. Stanąwszy tam, po raz drugi usłyszał śmiech. *Za dużo dziś wypilem* – pomyślał. Postawił latarnię na ziemi, chwycił oburącz krzyż, podniósł go do góry i mocno wbił w ziemię, mniej więcej w to samo miejsce. Chmury całkowicie przykryły księżyc. Powiał mocny wiatr i przewrócił latarnię, gasząc ją.

– Cholera! – zaklął. – Nic mi dzisiaj nie wychodzi.

Gdy już odchodził, poczuł, że ktoś chwycił go za szyję. Zaczął się dusić. Próbował po omacku w ciemnościach odszukać przeciwnika, ale natrafił tylko na pustkę. *Kto to? Do diabła!* – myśl jak błyskawica przeleciała przez jego mózg. Zaczął opętańczo walczyć. Pomimo że użył całej swojej niemałej przeciwiejszy siły, dalej nie mógł uwolnić się z uścisku. Walczył desperacko. Jednak im bardziej chciał się uwolnić, tym bardziej uścisk się zacieśniał.

Kto to może być – pomyślał. *Komu tak załatwem za skórę, że na mnie dybie?* Poczuł, że słabnie z minutę na minutę, język wychodzi mu na wierzch, a oczy niemal z orbit. Kurczowo zaciskał pięści. I wtedy trzeci raz usłyszał obłąkańczy śmiech. Rozpoznał głos. Helena! –

chciał krzyknąć, ale z jego gardła wydobył się tylko charkot. Po raz pierwszy w życiu zaczął się bać. Przed zamglonymi już oczyma stanęła mu czarownica, przypomniał sobie całe wyrządzone jej zło. I w tej chwili usłyszał wyraźnie ostatnie do niego skierowane słowa kobiety: „Żebyś przepadł na wieki, żebyś zgnił za życia, zbóju, morderco! Zobaczysz, zemszczę się, choćby zza grobu!”.

Wiatr ciągle nabierał na sile, zaczął padać deszcz, szumiały liście targane przez wiatr. W ciemności rozległ się głos puszczyka, do swojej nory przemýkała się uciekająca przed deszczem polna mysz, wysoko na drzewie zamiauczał obserwujący wszystko kot. Ale Kazimierz nic nie słyszał poza tryumfalnym, opętańczym śmiechem Heleny, który głużył wszystkie inne dźwięki.

Tymczasem w gospodzie „Pod Czerwonym Bykiem” towarzystwo dalej wesoło się bawiło. Kozik ciągle chrapał na ławie, Kartofel zaczął kiwać się przy stole, ledwie utrzymując równowagę, Ojciec bełkotał sam do siebie, a Protazy miał zamglony wzrok. Poza nimi nikogo już nie było. Oberżysta zniecierpliwiony krążył przy kontuarze, nie śmiał jednak ich wyprosić, zresztą od dawien dawna panował tutaj zwyczaj, że gospoda czynna jest dopóty, dopóki ostatni gość jej nie opuści.

Marta nie mogła zasnąć tej nocy, zaniepokojona o Kazimierza, i co jakiś czas schodziła ze swojej sypialni, która mieściła się dokładnie nad główną salą gospody.

– Długo nie wraca – powiedziała za którymś razem do Protazego.

– Nie martw się, może gdzieś przysnął po drodze albo poszedł do domu – odpowiedział, chociaż sam był zdenerwowany z powodu przedłużającej się nieobecności przyjaciela.

– Chyba sam w to nie wierzysz – rzekła Marta.

– No, może do domu to nie wrócił, zaszedłby tutaj, ale pewnie gdzieś śpi.

– Chodźmy go poszukać.

– To nic nie da. Jest ciemno, nic nie zdziałamy. Możemy minąć się po drodze.

Marta tupnęła nogą i powiedziała z pretensją w głosie:

– To co, mamy tu siedzieć i nic nie robić?!

– A co możemy teraz po ciemku zdziałać? – odpowiedział jej pytaniem.

– Nie wiem! – krzyknęła – Ale bezczynne siedzenie tu na pewno nic nie da.

– Uspokój się, dziewczyno! Jak słońce wzejdzie, pójdziemy go poszukać.

Marta wróciła do sypialni. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Długo chodziła po pokoju z miejsca na miejsce. *Co się mogło stać – myślała. – Przecież już powinien dawno wrócić. Od początku miałam złe przeczucia. Mówiłam mu, żeby nie szedł, ale mnie nie posłuchał. Gdzie on teraz jest? Czy nic mu się nie stało. Muszę coś zrobić! Tylko co?*

Złowiła jednym uchem ciche pukanie.

– Marta, Marta, nie śpisz? – rozległ się głos matki.

– Nie! Wejdź, mammo.

– Ja też nie mogę spać. Boli mnie głowa. Usłyszałam, jak miotasz się po pokoju, podłoga tak strasznie piszczy, i...

– Dzisiaj nie usnę. Boże! Kiedy nadejdzie ranek! Chyba oszaleję!

Kobieta weszła i przytuliła córkę. Marta wtuliła się w pierś matki i cicho załkała.

– Co się dzieje, Martuś?

– Mammo, boję się!

– Czego, kochanie?

– Wujek nie wraca.

– A gdzie go lichy znowu poniosło?

– Poszedł na cmentarz.

– Co? A po co on tam polazł?

Dziewczyna uwolniła się z objęć matki i odpowiedziała:

– Założyli się, że...

– No? Mów! Jestem przecież twoją matką.

– ...że pójdzie tam nocą i... i przyniesie na to dowód. Przyniesie jakiś fant... i przyniósł... Tylko że to był krzyż Heleny Kowalówny... i z powrotem tam...

– Mów powoli, bo tak do niczego nie dojdziemy – przerwała jej matka.

Marta zebrała się w sobie. Odetchnęła głęboko, wzięła głęboki oddech i kontynuowała przerwany wątek:

– Poszedł tam z powrotem, żeby go odnieść na miejsce...

– No i dobrze!

– Ale to był jakieś trzy godziny temu. Mammo, powinien już dawno wrócić – krzyknęła.

– Protazy chce iść dopiero z rana. Ja oszaleję, mammo, do tego czasu!

Jagoda przez chwilę trawiła to, co usłyszała od córki. Gruba bruzda przecięła jej policzek.

– A niech go piekło pochłonie! Po śmierci córki, a potem żony zwariował – stwierdziła.

– A dziwisz się mu! – Marta prawie krzyknęła. W jej głosie słychać było rozgoryczenie, złość na matkę, ale i zrozumienie dla bólu Kazimierza.

– Marta, to człowiek przeklęty! Kiedy to wreszcie zrozumiesz!

– Dla mnie był zawsze jak ojciec.

– Może dla ciebie. A dla innych?

– A co mnie obchodzą inni? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

– Marta! Pamiętasz, co zrobił Helenie?

– Opowiadał mi. Żałował tego. Dzisiaj powiedział mi, że od jutra przestaje pić.

– I ty mu uwierzyłaś!?

– Nie wiem, mamu, chyba tak.

– Córcia, on już się nie zmieni!

– Wiem. To człowiek przeklęty – rzekła z goryczą i podeszła do okna. Otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz.

– Przestało padać. Niebo jest pełne gwiazd – mówiła jakby do siebie. – Jaka dzisiaj piękna noc.

Jagoda podeszła do córki i położyła jej rękę na ramieniu.

– Marta, połóż się chociaż na chwilę, obudzę cię. Protazy ma rację, trzeba czekać do rana.

Marta nie odpowiedziała, ani nie odwróciła się w stronę matki.

– Jaka piękna noc. Wyczuwam coś złego. Jaka piękna noc, mamu.

Jagoda ze łzami w oczach wyszła po cichu. Nie wiedziała, jak pomóc córce, chociaż bardzo kochała swoją jedynaczkę.

Marta dalej krążyła po pokoju. W końcu niebo na horyzoncie zaróżowiło się. Słońce najpierw nieśmiało, potem z coraz większą pewnością siebie pokazywało swą krwistoczerwoną twarz. Nadchodził piękny jesienny dzień.

Marta zbiegła schodami na dół.

– Protazy, Protazy! – krzyczała już z góry. – Jest ranek! Idziemy!

Protazy, Mietek, Ojciec i Kartofel spali w pozycji siedzącej, oparci głowami i ramionami o blat stołu, a Kozik dalej chrapał w kącie na ławie.

– Protazy! Protazy, wstawaj! – krzyknęła mu do ucha.

– Co!? – Podniósł głowę i powiedział: – Cholernie łeb mnie boli.

– Kto się tak drze, do diaska? Pospać nie dadzą – rzekł Mietek. – A to ty, Marta. Co się stało, że się tak wydzierasz z samego rana?

– Jak to co? Mieliśmy iść szukać Kazimierza.

Kartofel również został zbudzony krzykami dziewczyny.

– Łeb mi pęka – pozałił się. – Napiłbym się wody – poprosił.

– Zaraz przyniosę – powiedziała Marta. – A wy szykujcie się.

Ojciec otworzył oczy, przetarł je i szeroko ziewnął. Tylko Kozik nie przejmował się wrzaskami Marty i dalej spał w najlepsze.

Protazy podszedł do niego i ryknął:

– Wstawaj, Kozik!

– Co? Co się stało? – pytał zdezorientowany.

– Idziemy szukać Kazia. – Protazy podrapał się po głowie.

– A prawda, ty nic nie wiesz – przypomniał sobie. – Pamiętasz wczorajszą noc?

– No, nie bardzo – odpowiedział zawstydzony.

– Miałeś iść na cmentarz o północy. Zakład zrobiliśmy. Dowód miałeś przynieść. Ale się spiłeś jak świnia i Kaziu poszedł. I jeszcze do tej pory nie wrócił – wyjaśniał.

– O, cholera! Co się mogło stać? – zainteresował się.

– Nie wiem. Pewnie gdzieś usnął po drodze.

W tym momencie z pełnym dzbankiem wody weszła Marta.

W godzinę później szli cmentarną aleją: na przedzie Marta z Protazym, z tyłu pozostali. Pożółkłe liście drzew wyścielały im drogę, wiatr, czasami w postaci jakby małych trąb powietrznych, wirował tymi oznakami jesieni, unosząc je, by za chwilę rzucić je w innym miejscu. Maszerowali już dosyć długo, bo czasami zbaczali w boczne uliczki, rozglądając się za Kazimierzem. Nie dane im jednak było go odnaleźć. Kierowali się teraz w stronę grobu Heleny.

– Daleko jeszcze? – zapytał Protazy dziewczynę.

– Zaraz będziemy na miejscu – odpowiedziała. – O, tu skręcamy!

I rzeczywiście kilka sekund później Marta oznajmiła:

– O, już widać grób czarownicy!

Kiedy zbliżyli się jeszcze bardziej, widok, który stanął przed ich oczami, zmroził krew w ich żyłach. Przystanęli i zdumieni wpatrywali się przed siebie. Pod Martą ugięły się kolana, Protazy zdjął kapelusz z głowy i cicho westchnął, Mietek rozdziawił usta, Kartofel

wybałuszył oczy, Ojciec ściągnął brwi, jakby nie wierzył w to, co zobaczył, a Kozik zbladł, jakby cała krew odpłynęła z jego twarzy.

– Skończył, jak żył – oznajmił Kartofel, wycierając nos rękawem płaszcza.

– Zamknij gębę! – uciszył go Protazy. – Patrz, byś sam tak nie skończył!

– Boże! Co to ma znaczyć? – szepnęła Marta.

I rzeczywiście widok mógł przyprawić chorego na serce o zawał. W pierwszej chwili pomyśleli, że Kazimierz zrywa się do biegu, w podobnej bowiem pozie się znajdował. Ręce miał zaciśnięte i wyciągnięte przed siebie, jakby przed kimś lub przed czymś uciekał, twarz przybrała barwę sinoblada, oczy wychodziły niemal z orbit, a nienaturalnie długi język zwisał na brodzie. Cała jego postać wychylona była do przodu, a podtrzymywał ją szal, którego jeden koniec okręcony był wokół szyi mężczyzny, a drugi przyszpilał do ziemi krzyż.

Czarny kot na pobliskim drzewie z ciekawością obserwował przybyłych. Po czym powoli zsunął się z gałęzi, błysnął czerwonymi oczyma i zniknął pomiędzy grobami. Słońce dalej pięknie świeciło.

Tylko Marta uroniła kilka łez.



Zapach kamienia

Agnieszka Kwiatkowska

– Jesteś jak Grenouille – powiedziała pewnego razu Monica i to był początek końca. Coraz mniej szczerzy uśmiech, coraz mniej czasu dla mnie, coraz więcej spotkań z przyjaciółmi. Kiedy zatem zaczęła rozmowę od „dużo o nas myślałam i nie jestem pewna, czy to ma sens”, przerwałam jej, stwierdzając, że faktycznie, nie ma to sensu, i rozstałam się z nią, uprzedzając jej ruch. A w parę dni później wróciłem na wieś, do ojca, do rodzinnego domu. Zamknąłem czwarty rok studiów, byłem wolny.

Już pierwszej nocy wybrałem się na wędrowkę. Wcześniej sądziłem, że zmęczenie podróżą z Padwy do Rovigo da o sobie znać i że tę noc prześpię we własnym łóżku. Gdy usiadłem wraz z ojcem do kolacji, bolała mnie głowa, oczy się zamykały. Kuchnia była ciemna i chłodna, a rozmowa się nie kleiła. Ojciec wtapiał się w półmrok – znów padło oświetlenie, więc siedzieliśmy przy świeczce. Już wtedy, pomimo zmęczenia, odczuwałem w całym ciele ten delikatny zew, któremu poddawałem się tyle razy.

A potem leżałem na łóżku, w ubraniu, czując narastający niepokój. Zerwałem się na równe nogi, chodziłem po pokoju, udałem się do kuchni po kubek gorącej herbaty. Wreszcie wyszedłem przed dom, a gdy już byłem na zewnątrz, nogi same poniosły mnie w stronę cmentarza. Noc była cicha i ciepła; po kwadransie niespiesznego spaceru dotarłem na miejsce. Jak zwykle rozejrzałem się dla pewności, a potem zwinnie wdrapałem się na niewysoki murek. Zeskoczyłem na ziemię, wyprostowałem plecy. Znajdowałem się w rogu cmentarza, tuż koło krypty rodziny Fabresi. Nagle pociemniało; pędzące po niebie chmury zasłoniły księżyc. Przymknąłem oczy, wyciągnąłem dłoń. Pod palcami wyczułem kształty kamiennej rzeźby zdobiącej kryptę. Przyłożyłem policzek do chłodnego skrzydła anioła. Z lubością wdychałem zapach kamienia.

To, że jestem inny, wiedziałem już od dziecka. Matka sądziła, że się wygłupiam, gdy podczas spacerów podnosiłem z ziemi kamienie i je obwąchiwałem. Gdy jej wyjaśniałem, że one tak pięknie pachną, tylko potrząsała głową i śmiała się. Mówiła, że kamień nie pachnie, a ja myślałem, że tylko się ze mną droczy, bo dla mnie promieniował całą feerią zapachów, wrażeń i wspomnień. Po tym kamieniu jeździły samochody, powozy, szli ludzie. Nie widziałem ich, ale wyczuwałem.

Gdy chodziłem do szkoły, umyślnie nadkładałem drogi, aby przejść obok cmentarza. Wtedy miałem już dość dobrze wyczulony zmysł węchu i wystarczyło mi iść powoli, wdychając woń muru. Z trudem powstrzymywałem się, aby nie wejść w bramę, powędrować alejkami i rozkoszować się zapachem kamiennych płyt grobowych.

Zrozumiałem, że muszę być ostrożny, gdy miałem dwanaście lat i wraz z rodzicami pojechałem do Padwy, na grób dziadków. Zapaliłem świeczkę, schyliłem się, aby odmówić modlitwę i wtedy zakręciło mi się w głowie. Kamienna płyta pachniała najpierw chłodem i wilgocią, potem słońcem, ciepłą skórą babci, jej mydłem, tytoniem dziadka, szorstkością brody, głębiej, jeszcze głębiej... Ojciec podniósł mnie jednym szarpnięciem, gdy położyłem się na płycie, przywierając do niej policzkiem. Wyciągnął mnie z cmentarza z trudem, ponieważ wrywałem się i nie chciałem wyjść.

– Nie wiedziałam, że aż tak to przeżyjesz – mówiła wieczorem matka, krzątając się po kuchni. Siedziałem w milczeniu, próbując zrozumieć, co się właściwie stało i apatycznie skubiąc kawałek ciasta, którego nigdy wcześniej nie wolno było mi jeść zamiast kolacji.

Ojciec się nie złościł, po prostu nic nie mówił. Jadł kolację w milczeniu. Jakaż to była ulga, gdy w końcu kazano mi iść do pokoju! Wszedłem po schodach, a gdy upewniłem się, że jestem już na półpiętrze i nikt mnie nie zobaczy, zbliżyłem nos do poręczy i zacząłem ją

obwąchiwać. Pachniała drewnem. Po prostu drewnem. Pod spodem nie było żadnych warstw, głębi, niczego. Tak samo pachniał metal, papier, ubranie. Metalem, papierem, tkaniną.

Za to gdy następnego dnia wyszedłem za dom i zbliżyłem nos do kamiennej podmurówki... Kamień pachniał troskliwością matki, małomównością ojca, radością i niepokojem młodej mężatki, psią sierścią, jazzem.

Wiedziałem, że mógłbym wejść głębiej w feerię doznań i wspomnień. Ale nie chciałem, choć kusilo. Nie zamierzałem wchodzić z butami w życie i uczucia rodziców. To byłoby... obrzydliwe. Ale kamienie na drodze? Posągi? Grobowce? Tam czały się wspomnienia ludzi, których nawet nie znałem.

Opuściłem cmentarz tą samą drogą, przez mur, gdy jeszcze było ciemno. Przez tyle lat nikt mnie nie przywazył, no ale też byłem ostrożny. Cmentarz leżał nieco na uboczu, a prowadząca do niego droga asfaltowa położona była z drugiej strony. Tutaj zaś miałem wiecznie rozdeptaną ścieżkę, wiodącą z jednej strony na pola, z drugiej do lasu. Mało kto się tutaj kręcił, zwłaszcza nocą. Przeskoczyłem przez murek, otrzepałem dłonie, podciągnąłem suwak swetra pod samą szyję. Chłodno. Chmury wciąż pędziły po niebie, to zakrywając księżyc, to go odsłaniając. Ruszyłem w drogę powrotną, miejscami nie widząc ścieżki i idąc na oślep.

W lasu było tak ciemno, że parę razy omal się nie przewróciłem. Gdy wreszcie dotarłem pod dom – duży, prostokątny budynek – dostrzegłem, że w pokoju ojca pali się światło. Skrzywiłem się i zawahałem. Nie uśmiechało mi się wyjaśniać ojcu, czemu wałęsam się po dworze o trzeciej w nocy, ale w końcu byłem już dawno dorosły. Mimo to zawahałem się. Podeszedłem do ściany, przykucnąłem, palce sunęły po kamiennej podmurówce.

Lata temu obiecałem sobie, że nie wejdę we wspomnienia rodziców. Ale teraz matka nie żyła, od dwóch lat. A ja przez szacunek dla niej nigdy nawet nie dotknąłem płyty nagrobnej. Chciałem, aby pozostała w moich wspomnieniach taka, jaką zapamiętałem. Teraz jednak ogarnął mnie smutek i żal. Zmarła cicho i spokojnie, w łóżku, parę dni po tym, jak wróciłem na uniwersytet, a mnie dręczyła myśl, że nie pożegnałem się z nią odpowiednio. Po prostu „cześć, mam, przyjadę w któryś weekend”. A przecież wiedziałem, że chorowała na serce. Na pogrzebie byłem zupełnie oziębiały.

Położyłem dłonie na podmurówce, przytknąłem czoło do chłodnych kamieni. I tak powoli zacząłem wchłaniać dom.

Po raz pierwszy zdarzyło mi się świadomie szukać w zapachu kamienia konkretnej osoby. Do tej pory przyjmowałem odczucia bez filtrowania, teraz zaś skupiłem się na matce. Po dłuższej chwili zaczęła się pojawiać w kalejdoskopie emocji i wrażeń – lawendowe mydło nieśmiało wynurzyło się spod papierosów ojca i jego skórzanych butów. Skrzypienie podłogi pod jej krokami, ranek, dłonie matki, budzące mnie do szkoły. Chłonałem matkę, jej uczucia, emocje, jestestwo, całym sobą.

Dopiero teraz zrozumiałem, ile razy dokuczała jej migrena, choć nigdy nie skarżyła się na ból głowy. Pamiętałem ją jako zdrową, energiczną i silną, a teraz odczuwałem jej cierpienia – rozłupujący czaszkę ból głowy, mdłości, ociężałe i opuchnięte nogi, skurcz, krwawienie i rozpacz. Matka straciła dziecko! Emocje i wrażenia wirowały mi w głowie, ale nie byłem w stanie ich zatrzymać. Wchłaniałem dom, ale i dom wchłaniał mnie, połączyliśmy się w jedno; chciałem go odrzucić, odepchnąć, ale nie umiałem. Dom stał się matką, matka stała się mną.

Emocje i doznania wlewały się w mnie niczym fala. Nie byłem w stanie ich kontrolować; przelewały się przeze mnie bezładnie. Śmiech i płacz, radość i smutek, pierwsze kroki dziecka, wschód słońca nad Padem, zatańcz ze mną, Carlo. I długi korytarz o falujących ścianach, wijący się jak wąż, zniekształcony przez wgryzającą się w ściany chorobę. Słabe serce kruszące zdrowie matki od środka, odbierające oddech, malujące włosy siwizną. Coraz głębsze zmarszczki wydrapane pazurami zmartwienia.

W lawendowy zapach matki wdarło się coś obcego. Lawenda zbladła i zszarzała, ustąpiła woniom ziemi, tytoniu i skóry. To coś nadchodziło, narastało, stawało się coraz groźniejsze. Miękkie pierze, puch zaledwie wypełnił mi usta, a ja próbowałem kaszleć i walczyć, ale powoli zanurzyłem się w bezruchu ciepłej od snu pościeli.

I nagle ocknąłem się. Strumień emocji się urwał; leżałem na plecach, z głową opartą o wystający z ziemi kamień. Przez moment miałem wrażenie, że ogłuchłem, taka była różnica między tym, co wchłonałem z domu, a chłodną czerwcową nocą. Powoli wszystko wskakiwało na swoje miejsce – księżyc wyglądał zza chmur, wiatr szumiał w koronach drzew, a ja leżałem przed domem, w realnym świecie.

Ścieżką nadchodził ojciec. Usiadłem z trudem, brutalnie przywrócony do rzeczywistości, świadom tego, jak bardzo zmieniła się owa rzeczywistość. Widziałem

sylwetkę ojca, oświetloną od tyłu światłem palącym się przed frontowym wejściem, ale z każdym jego krokiem kolejne wrażenia dopływały do mojego mózgu.

– Co ty wyrabiasz? – Ojciec pochylił się nade mną, a ja w tym momencie wiedziałem już wszystko. Czulem zapach jego papierosów, wypitego w południe wina, kremu do golenia. I głębiej. Po raz pierwszy w życiu czulem człowieka takim, jakim jest, od środka. Przymknąłem oczy. Pachniał niepokojem i irytacją, a głębiej, jeszcze głębiej, nosił w sobie dobrze zakonserwowany strach, aby nikt się nie dowiedział, jak bardzo był zmęczony, zniechęcony. Gorycz klótni, zapiekła niechęć, poczucie zamknięcia w klatce...

Ten delikatny powiew kobiecego ciała, młodości i perfum czał się gdzieś w głębi – delikatny, ale na tyle silny, aby nie dać się wyrugować. A niżej, jeszcze niżej...

Teraz po raz pierwszy w życiu wchłaniałem żyjącego człowieka.

– Synu, wstawaj. Zabiorę cię do domu – powiedziało coś, co kiedyś było ojcem, a teraz stało się nagle zapachem. Zapachem śmierci i dłoni pełnych poduszki, w której na zawsze zastygł ostatni oddech mojej matki.

rys. Roman Panasiuk



Zbrodnia Ericha Knothego

Przemysław Karbowski

Michałek ocknął się z okropnym bólem głowy. Czuł naciągniętą nad skronią skórę, pod którą uformował się potężny guz. Pamiętał tylko, że wywołano go z lekcji niemieckiego i dwóch panów w cywilu wsadziło go do samochodu. O nic nie pytał. Znał trochę niemiecki, ale pytania Niemców o cokolwiek zabronili mu rodzice, którym został zabrany.

Teraz nagi i związany stał w brudnej wannie, a przed nim chodził tam i z powrotem jasnowłosy podenerwowany pan. Michałek domyślił się, że są w piwnicy, maleńkie okienko

pod sufitem przepuszczało nieco światła. W kącie, przy słabym blasku nieosłoniętej żarówki siedział brodaty mężczyzna. Na kolanach trzymał wielką księgę.

Nerwowy pan zatrzymał się wreszcie i zapytał o coś po niemiecku brodatego. Ten ukrył twarz w dłoniach, księga spadła na ziemię. Nerwowy krzyknął i wyciągnął pistolet. Brodaty podniósł tomisko, zaczął dziwacznie mamrotać i podał nerwowemu nóż.

Michałek chciał zawołać mamę i tatę, ale nie mógł. Szmaciany knebel skutecznie zatykał mu usta. Ostrze noża rozcięło szyję Michałka od ucha do ucha, dziecko upadło na dno wanny.

– Dlaczego centrala nie wydaje zgody? – Wściekły podporucznik Raszyński rzucił papierami o blat. – Zebrzemy o wyrok śmierci dla tego skurwysyna od roku!

– Proszę się uspokoić, podporuczniku. – Kapitan Szczyszek głos miał zimny i bezwzględny. – Widocznie są ku temu powody. Tym się właśnie różnimy od AK i tych sowieckich kundli z Gwardii Ludowej, że dostrzegamy bezsens wyroku śmierci na byle feldfebla, jeśli za niego zginie stu niewinnych Polaków.

– To nie jest byle feldfebel, to jest hauptsturmführer Stroheim!

– Wiemy, kto to jest! Wam chodzi o prostą proporcję: zginął z rąk Gestapo komendant Wszędybył, więc rozwalmy Stroheima! Wczoraj na Kanonickiej jakieś teutońskie ścierwo kopało babę w ciąży. I co? Mam ruszyć do Berlina, zacząć się na jakąś brzemienną Gretchen i poskakać sobie po niej w ramach rewanzu?

– Pan kapitan po prostu udaje, że mnie nie rozumie... – Raszyński zaczął zbierać porozrzucane kartki. – To jest wojna, a my jesteśmy Narodowe Siły Zbrojne...

– Otóż to, podporuczniku! Wszelkimi siłami i czynem zbrojnym mamy chronić naród, a nie dostarczać pretekstów do masowych egzekucji, łapanek i wywózek! Na ile jest to możliwe. Niemcy po Kursku już się nie podniosą, przegrali, rozumiecie? A wyrok na Stroheima jest kwestią czasu, Armia Krajowa ma go na bieżącym rozkładzie. Teraz chodzi o jego totumfackiego, obersturmführera Knothego. Zapoznaliście się ze sprawą?

Tomek usiłował za wszelką cenę wyrwać się blondynowi, ale w starciu z dorosłym nie miał szans. Dostał jeszcze po twarzy i łkając przez zakneblowaną buzię wylądował w wannie.

Zaczął taplać się w czymś lepkiem. Obok wanny leżał Michałek, którego tak bardzo nie lubił. Zawsze się wywyższał i chwalił. A to że jadł szmuglowaną kielbasę, a to że przez okno napluł Niemcowi na hełm... Teraz leżał nieżywy... Tomek był z przerażenia, ale wychodził z tego śmieszny, wytłumiony skowyt. To lepkie to była krew Michałka. Tomek już wiedział, że do ośrodka nie wróci, a co dopiero do babci...

Kapitan Szczyszek dopił gorzką herbatę.

– Jak taki szaleniec zrobił karierę w Gestapo? – Raszyński kręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie widzę sprzeczności. – Wzruszył ramionami kapitan. – Widzę nawet konsekwencję. Rzekłbym wręcz, że im bardziej szalony, tym prawdopodobieństwo zrobienia kariery w tej formacji większe...

– I on tak na poważnie się tym zajmował? Magią, alchemią?

– Nawet nekromancją...

– Alchemią w XX wieku?!

Szczyszek spojrzał krzywo na podporucznika.

– Różnica stopnia między nami niewielka, ale różnica lat przeżytych coraz bardziej zaczyna mi doskwierać – powiedział z przekąsem. – Pan się dziwi alchemii w naszym wieku, a nie dziwi pana, jak można na skalę przemysłową gazować ludzi? A mydło z ludzkiego tłuszczu też pana nie dziwi? I, cóż za przypadek, wymyślają ten proceder jasnie oświeceni spadkobiercy Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Ci, którzy na świat wydali Kanta, Hegla, Schopenhauera. To też pana nie dziwi?

– Przepraszam... – bąknął podporucznik Raszyński.

– Ależ nie ma za co. Przejdźmy do rzeczy. W Kaliszu giną dzieci. Czwooro zniknęło z ośrodka germanizacyjnego, mimo iż nasi informatorzy z personelu zapewniali, że nikt ich nie odesłał do Rzeszy. Nie poznały jeszcze nawet podstaw niemieckiego, a co bezdzietnym Szwabom po dziesięciolatkach, które mówią tylko po polsku? Zabrano je na dodatkowe badania i już nie wróciły. Oprócz nich wiem o pięciu zaginionych. Jednym z nich jest syn mojego sąsiada. Troprowadzą do rezydencji obersturmführera Knothego. Dużo można by o tym alchemiku i czarodzieju mówić, ale w jego charakterystykach nie ma ani słowa o skłonności do małych dzieci.

– To pewne papiery? – spytał Raszyński.

– To nie papiery, to mikrofilmy z samego Berlina. Muszą być pewne, bo za ich wykradzenie nasi agenci zostali zgilotynowani w Dreźnie...

Podporucznik Raszyński z zakłopotaniem podrapał się po nosie.

– Boję się pomyśleć, co on z tymi dziećmi wyprawia, ale co my możemy? Zaatakować dom, w którym rezyduje? Sam pan kapitan mówił, że nie można narażać cywilów...

– Zawsze może zajść wyższa konieczność. Jest jeszcze jedna kluczowa sprawa... Wiecie, o czym mówię?

– Zamaskowany więzień! – Raszyński aż podskoczył na krześle. – Przywieziono go trzy tygodnie temu, ale nie udało nam się ustalić, kto to jest.

– No to kiepsko pracujecie. – Kapitan Szczyszek bawił się pustą szklanką. – Bo my już wiemy. To jest rabin Ajzyk Sztajnberg.

Raszyński spociał się i zbladł, nie wiadomo, czy bardziej wobec sugestii na temat swojej pracy, czy na dźwięk nazwiska.

– Ten rabin Ajzyk Sztajnberg? – zapytał z niedowierzaniem.

– Ten sam.

Obersturmführer Erich Knothe nalał współbiesiadnikowi wina.

– Na zdrowie! – Sam wychylił kieliszek jednym haustem. – Myślał rabin, że zawołam „heil Hitler”? Nic z tych rzeczy. Rozmawiamy zupełnie prywatnie, rabin jest moim gościem. Myślę, że po wdrożeniu odpowiednich procedur będzie szansa przerzucenia was do Ameryki. Niemcy nie zapominają o swoich współpracownikach.

– Nawet o tych, którzy są Żydami?

Knothe machnął ręką.

– Porzućmy już te brednie o czystości rasy. Tak się złożyło, że przez paru idiotów poszło to w tym kierunku, ale rabin wie doskonale, że gdyby nie ustawy norymberskie, maszerowałbym na Polskę ramię w ramię z Żydami mieszkającymi w Rzeszy.

– Wiem... Ale teraz mam wam pomóc działać w imię innej bredni. Już nie ogólnonarodowej, ale indywidualnej. Wymyślonej przez pana.

– Niech się rabin hamuje. – Obersturmführerowi niebezpiecznie zaświeciły się oczy. – Cena pomocy jest tego warta?

– Jest. – Skinął głową rabin Sztajnberg. – Tylko jaką mam gwarancję, że moja żona i synowie żyją?

– Żadnej. W getcie w Czachulcu znaleźliście się przez pomyłkę. Ale nie sądzicie chyba, że zatrzymaliśmy sobie was, jednego z najlepszych szpiegów w Wielkopolsce, zasłużonego od 1918 roku, a rodzinę puściliśmy przez komin w Auschwitz? Jaki byłby wtedy z was pożytek?

– Pan sugeruje, że ktoś o tym myślał już w roku 1918?

– Sugeruję, że nie całkiem oszaleliśmy. Jak rabin myśli, krew już chyba skrzepła na dobre?

– Związek Walki Zbrojnej miał wykonać na nim wyrok już w listopadzie 1939 roku, nie wiemy, co poszło nie tak. – Kapitan Szczyszek mieszał kolejną herbatę, choć nie było w niej cukru. – Dzisiaj to brzmi dość kuriozalnie: Żyd, rabin, chałaciarz w służbie Rzeszy. Co miał robić, jak był agentem od prawie dwudziestu lat? Powiedzieć: Hitler mi się nie podoba, bijecie Żydów, sram na was?

Erich Knothe szpachelką zdrapywał krwawe skrzepy z dna i ścian żeliwnej wanny. Brunatnoczerwone skrawki lądowały w misce trzymanej przez rabina Sztajnberga, który ciężko wzdychał.

– Niech mi tu rabin z łaski swojej nie spazmuje. – Obersturmführer wyprostował się. – To są przecież dzieci gojów, nieludzi, podludzi, jak wy to tam nazywaliście? Ironia losu, chichot historii... Przejęliśmy od was terminologię?

– Porzućmy te brednie o czystości rasy – wycedził nienawistnie Sztajnberg. – Skupmy się na bredniach o macy z chrześcijańskiej krwi.

– Wiem, wiem. – Knothe przechylał miskę w różne strony. – Krwi nie mogliście spożywać, bo niekoszerna, dzieci nie zabijaliście, bo niby po co? Ja dobrze wiem, że tyfusu nawet nie roznosiliście, ale co ja mogę? Muszę spróbować... Taka rewolucja w leczeniu... Może Führer mnie ozłoci?

– Gdzie pan w ogóle wyczytał o macy, która powoduje gojenie ran?

– Długo by wymieniać – zamyślił się gestapowiec. – Na pewno nie w „Der Stürmerze”, jeśli o to rabinowi chodzi. Elear z Leonu...

– Komentarz do „Sefer ha-Zohar”? Apokryf...

– Eliphas Lévi, „O rytuałach”...

– Fałszywka.

– Jechiel Cwi, „Ludzie i goje”...

– Bzdura...

– Tośmy sobie pogadali... – zaśmiał się obersturmführer. – Same bzdury i wymysły. Jak „Protokoły Mędrców Syjonu”, nie przymierzając. Wszyscy wiedzą, że zmyślane i wszyscy wiedzą, że treść zadziwiająco pasuje do rzeczywistości. Ciężko za wami trafić...

– Wyrazy współczucia – odparował rabin. – Mi też było ciężko trafić do baraku w Czachulcu, gdy stłukł mnie na kwaśne jabłko niezbyt piśmienny gefreiter Alois Koppe. A jak sobie pomyślałem, że równocześnie rządę światem, jakoś nie zrobiło mi się lżej...

– To była pomyłka. – Zmrużył oczy Niemiec. – Jak już powiedziałem, muszę spróbować. Upieczemy macę i zobaczymy... Jednego dzieciaka zostawimy sobie na próbę. Siedmioro chyba wystarczy?

– Niech pan oficer nie zadaje mi takich pytań. Co z ciałami?

– Za miastem jest nieużywana studnia, trzeba będzie je potajemnie wywieźć. Wolałbym nie ryzykować po lasach, bo Polacy śledzą każdy konwój i bawią się potem w niepotrzebne ekshumacje. Hm, dołożę jeszcze jednego...

Knothe odemknął drzwi sąsiedniego pomieszczenia i wyciągnął zapłakanego chłopczyka. Ten był młodszy od pozostałych dzieci, które zaszlachtował. Nie przywieziono go z Gaukinderheimu – ośrodka dla przyszłych obywateli Rzeszy, musiał być z tych porwanych na ulicy.

Obersturmführer sprawdził kciukiem klingę rzeźnickiego noża. Miał wrażenie, że przytępiała się nieco, ale nie w głowie mu było teraz ostrzenie. Spojrzał chłopczykowi w oczy i ruchem o wiele bardziej wprawnym niż przy pierwszym dziecku przeciął tętnice szyjne. Malec upadł w wannie, by powoli się wykrwawić. Świeża krew zaczęła kontrastować z tą zaschniętą, której nie dał rady zdrapać Erich Knothe.

Oficer Gestapo wytarł nóż w szmatę i spojrzał na bladego Ajzyka Sztajnera.

– Proszę otworzyć ten cholerny „Zohar” i wyrecytować odpowiedni fragment – powiedział niemal przyjaźnie. – Bo potem może być za późno.

Rabin na chybił-trafił otworzył księgę i bezczelnie zaczął mówić w ladino. Knothe nie wiedział, że Sztajner recytuje dziecinną wyliczankę. Sztajner wiedział, że Knothe i tak go nie słucha.

Podporucznik Raszyński pozornie spokojnie spacerował Maikowskistrasse, przedwojenną Browarną. Gazetki, które przemycono z Warszawy dla członków podokręgu kaliskiego NSZ, trochę się pewnie zdezaktualizowały, zwłaszcza po perturbacjach z kolejną nieudaną próbą akcji scaleniowej narodowców z AK, ale Niemcy raczej nie pytają, czy ta prasa ukryta w podszewce płaszcza aby na pewno jest aktualna. Wyczekał, aż minie go leniwy niemiecki patrol i zniknął w bramie kamienicy. Powoli wszedł na piętro i trzykrotnie zastukał w drzwi z numerem czwartym.

– Co tak późno? – warknął na powitanie kapitan Szczyszek.

Weszli do salonu, w którym czekał na nich porucznik Dewidzki.

– Napije się pan gorzkiej herbaty? – łagodniej spytał podporucznika Szczyszek.

– Poproszę. – Raszyński zdjął płaszcz i z niemałym trudem wydobył dwa egzemplarze „Biuletynu Centralnego”. Położył je na stole.

– „...i nie może być kolportowany nawet wśród innych członków organizacji” – przeczytał Dewidzki na pierwszej stronie i westchnął. – Podziemna prasa w Generalnym Gubernatorstwie to jednak stan pewnego odrealnienia, nie uważacie panowie? Nawiedziłby jeden mądrała z drugim Kraj Warty, toby się przekonał. Mniejsza z tym...

– Owszem. – Kapitan Szczyszek podał Raszyńskiemu parującą szklankę. – Robi się źle i niebezpiecznie. Gestapowcy zeszłej nocy wyrzucili do wyschniętej studni na Półku ciała ośmiorga dzieci. Z trudem wydobyliśmy jedno. Skrępowanego chłopca z poderżniętym gardłem, wykrwawionego do ostatniej kropli. Franio Buczek, syn mojego sąsiada... Czekać już nie możemy.

– Co z tym rabinem Sztajnbiergiem? – Wzdrygnął się podporucznik.

– Od tygodnia siedzi w domu u obersturmführera. Śmierdzi to wszystko okrutnie, panowie. Oprócz wszystkich swoich niecodziennych zainteresowań, Knothe miał podobno lekkiego fioła na punkcie Kabały i innych żydowskich ciekawostek.

– Pan kapitan sądzi, że rebe Ajzyk pomaga tej gnidzie mordować polskie dzieci? – zdumiał się Dewidzki. – To jakaś niedorzeczność...

– Chyba nie ostatnia w tej wojnie. Judenraty w każdym mieście pomagają Niemcom mordować i wywozić własne dzieci do obozów. Dorzecznosc? Rabin Sztajnberg do 1941 roku przebywał z rodziną w czachuleckim getcie. Rodzinę wywieźli do Treblinki, jego przez dwa lata gdzieś przetrzymali. To stary niemiecki szpieg, z wyrokiem śmierci polskiego podziemia. Musi zginąć i Knothe, i Sztajnberg.

– Za jaką cenę? – porywczo spytał Raszyński. – Sam pan wbijał mi do głowy, że nie możemy narażać cywilów, prowokować masowych rozwałek. Zmienił pan kapitan zdanie?

– Nie, nie zmieniłem... Nie możemy na pewniaka zaatakować rezydencji Knothego. Nie mamy tylu ludzi, broni, środków i przekonania. Można próbować zabić go na ulicy, bez żadnej gwarancji powodzenia, nigdy nie jest sam. My musimy...

Kapitan Szczyszek zawiesił głos.

– My musimy kupić jego śmierć – dokończył pewnym tonem.

– Na Boga! – Porucznik Dewidzki pocierał czoło. – Niech mnie szlag trafi, jeśli pana rozumiem. Kupić śmierć Knothego? Od kogo?

– Od hauptsturmführera Stroheima...

Oficer Gestapo i rabin patrzyli na talerz bez przekonania.

– Maca jak maca – poglądził brodę Sztajnberg. – Tyle że doprawiona skrzeplą krwią niewinnych dzieci. Paradoksalnie, krwią dzieci, które uznaliście za niemal czystych Aryjczyków. Są jakieś granice obłędu, panie Knothe?

Obersturmführer sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał.

– Cóż, zajmiemy się tą dziewczynką jutro. Jeśli jej rany się od tego zagoją, będę na dobrej drodze.

– Ona ma jakieś rany?

– Jeszcze nie...

Oficerowie Narodowych Sił Zbrojnych szybko uwinęli się ze skromną kolacją, nad którą unosił się duch gorzkiej herbaty. Raszyński i Dewidzki pytająco spojrzeli na kapitana Szczyszka, w nadziei na szczegóły planu, którego jeszcze nie rozumieli.

– Musi być łącznik – zauważył porucznik. – Pewny łącznik. Chyba że któryś z nas osobiście pofatyguje się na Jasną...

– Bez głupich dowcipów, przekąsów i sarkazmów – szybko usadził Dewidzkiego kapitan Szczyszek – W siedzibie Gestapo jeszcze pan może wylądować, więc niech pan ograniczy żarty. Łącznik się znajdzie. Wytypowałem dwie osoby. Volksdeutsche, którym cofniemy wyrok śmierci, Oskar Bruschi i Leon Tomporek.

– Dwa największe skurwysyny! – syknął podporucznik Raszyński. – Przecież to najprawdopodobniej Brusch zadenuncjował komendanta Wszędybyła! Centrala wyrazi zgodę?

– Cofniemy formalnie. Przy odpowiedniej okazji i Brusch, i Tomporek oczywiście śmiertelną krzywdę sobie wyrządzą, ale bez naszego oficjalnego udziału.

Raszyński odetchnął z ulgą.

– Bo już myślałem... – pokręcił głową.

– Niech pan podporucznik tyle nie myśli – zalecił cierpko Szczyszek. – Oskar Brusch czuje się dość pewnie i wierzy, że Niemcy jakoś go chronią, więc wydaje mi się, że większy pożytek będzie z Tomporka. Zaszantażowany powinien nie najgorzej odegrać przypisaną mu rolę. Do hauptsturmführera obaj muszą dotrzeć niezależnie od siebie, już nad tym pracujemy.

– Ale czym postraszymy Stroheima? – zapytał Dewidzki. – Zagrozimy mu śmiercią czy skontaktujemy się z Armią Krajową, żeby wstrzymali wykonanie wyroku?

– To byłoby bez sensu. – Kapitan dopił zimną herbatę. – Ciężko obrażeni po tej scalieniowej hecy, zaraz by zaczęli wrzeszczeć, że układamy się z Gestapo. Zbyt wiele w tej przeklętej wojnie zginęło polskich dzieci, dlatego z samym diabłem będę się układał, jeśli wyratuję choć jedno z łap Knothego! Ale hauptsturmführer Stroheim na groźbę śmierci może nie zareagować właściwie...

– Właśnie – przytaknął Raszyński. – Będzie zgrywał dumnego Niemca z trupią czaszką na otoku... Pogarda dla śmierci...

– Szkoda tylko, że głównie dla cudzej – westchnął kapitan Szczyszek. – Nie tędy droga. Użyjemy cudownej menory.

Raszyński z Dewidzkim zbaranieli i zaniemówili.

– Myśleliście, że to tylko legenda? – spytał nieco rozbawiony głupimi minami oficerów Szczyszek. – Widzimy się jutro rano na Cmentarnej, lokal ten sam co ostatnio.

Basia nie wiedziała, ile czasu upłynęło, odkąd została sama. Ostatniego z chłopców, z którymi siedziała w ciasnej klitce, ktoś wyciągnął i zamknął drzwi. Kiedy to było? Jak trudno liczyć dni i godziny w ciemnościach! Była taka głodna... Coraz ciężiej oddychała przez zasmarkany nos, ale nie dała rady wypłuć kneblującej ją chustki. Jak jeszcze miała trochę siły, szarpała związane na plecach ręce. Nic nie wskórała. Posikała się. Po raz kolejny.

Z otworu w podłodze kapitan Szczyszek podał Raszyńskiemu zawiniątko. Sam po chwili wspiął się po drabinie i zamknął maleńką piwnicę. Dewidzki z Raszyńskim z uwagą śledzili, jak Szczyszek rozwiązuje tobolek. Nic szczególnego ich oczom się nie ukazało, żydowski siedmioramienny świecznik jakich wiele.

– Przecież to nie jest ani złote, ani nawet srebrne – zauważył porucznik Dewidzki. – Co w tym cudownego? Za ten kandelabr Stroheim wystawi nam Knothego?

– Mam nadzieję. – Kapitan Szczyszek niemal się uśmiechnął. – Obiecał, a co warte jego słowo, to się okaże... Patrzcie!

Oficer chwycił za jedno z zewnętrznych ramion świecznika i po prostu je odkręcił. Opatrzony gwintem lichtarz był w środku wydrażony. Kapitan za pomocą widelca delikatnie wysunął z wnętrza niepozorny zwitek i rozprostował go na stole.

– Dolary! – zachłysnął się podporucznik Raszyński. – Cudowna menora, niech mnie kule biją!

– Pięćset dolarów?! – zawtórował mu Dewidzki, obracając w dłoniach banknot z podobizną prezydenta McKinleya. – W życiu nie widziałem takiego nominału... Cała menora jest pełna pieniędzy?

Szczyszek pokręcił głową.

– W trzech ramionach dolary, w czterech kokaina – powiedział. – Część tego majątku przekazemy Stroheimowi przez Bruscha i Tomporka. W zamian hauptsturmführer jutro odwoła całą obstawę rezydencji Ericha Knothego razem ze służbą. Na dwie godziny...

– To może być pułapka – trzeźwo ocenił porucznik Dewidzki.

– Może – zgodził się kapitan Szczyszek. – Wtedy we trzech pofatygujemy się do siedziby Gestapo na ulicę Jasną, o czym, zdaje się, pan porucznik coś wczoraj wspominał?

Zaczerwieniony Dewidzki nie odpowiedział.

Knothe wyciągnął dziewczynce knebel z ust i przytknął do nich kubek z wodą. Mała chyba zasłabła, ale zaczęła jej wracać przytomność. Pociągnęła kilka łyków, zachwiała się, obersturmführer zdołał ją złapać. Gdzie by ją tu nakłuć? Może zacząć od dość powierzchownego nacięcia?

– Niech pan nie próbuje podrzynać jej gardła. – Rabin Sztajnberg zdawał się czytać w myślach gestapowca. – Żadne okładanie macą nie pomoże, jak się wykrwawi...

Związane dziecko stanęło samodzielnie. Knothe nie zdążył dobyć noża ani pistoletu, gdy z zawiasów wyleciały piwniczne drzwi. Do środka wpadło trzech mężczyzn, w dłoniach każdego z nich błyszczało parabellum.

Knothe i Sztajnberg bez komendy podnieśli do góry ręce. Najmłodszy z nieproszonych gości dopadł do dziewczynki.

– Dzięki Bogu... – szepnął podporucznik Raszyński rozwiązując dziecko. – Dzięki Bogu. Jak masz na imię? Nieważne... Idziemy stąd!

Wziął Basię na ręce i zniknął na schodach.

– To ostatnie dziecko? – spytał po niemiecku kapitan Szczyszek.

Sparaliżowany lękiem obersturmführer z trudem skinął głową.

– Kabalisto od siedmiu boleści, alchemiku, nekromanto cholerny... – w gniewie cedził słowa polski oficer. – Panie Erichu Knothe z Wuppertalu... Mało ci było mordowania od pierwszego września trzydziestego dziewiątego? Tamto było ku chwale Hitlera, a to tutaj?

– Kapitanie, nie mamy czasu! – przypomniawszy nerwowo Dewidzki.

– Mamy dość czasu. – Szczyszek wciąż mówił nienaganną niemczyzną. – Dla ciebie, obiecałem sobie, że znajdę czas. Boże jedyny, ile ja myślałem o tym, co ci zrobię! Jak ci obetnę dłonie i stopy, i nos, i jądra. Oczywiście nie tak, żebyś się wykrwawił, o nie! Tak żebyś żył i żeby, broń Boże, nie wdało się zakażenie! Jak ci wylupię oczy, wyrwę język, do uszu naleję fenolu, a potem wyrzucę z samochodu pod siedzibą Gestapo, aby cię uratowali i żebyś żył bardzo długo, rozpamiętując swoje zbrodnie. Tylko obawiam się, że postradałbyś przy tym zmysły i żył nieświadomy tego, co zrobiłeś. O każdym zbrodniarzu, którego zabiłem, myślałem dokładnie w ten sam sposób... A potem przypominałem sobie, że wierzę w Boga, sąd ostateczny i piekło. Ale, mimo to, wciąż boję się, że nie ma ani Boga, ani piekła, i tacy jak ty uchodzą sprawiedliwości...

Kapitan dwukrotnie wystrzelił, Knothe trafiony w pierś i głowę padł na ziemię.

– Ale jeśli Boga nie ma... – wyszeptał Szczyszek po polsku. – To... Nadreńczyku, zwyciężyłeś...

Podporucznik Raszyński wsadził Basię do samochodu, sam usiadł obok niej.

– Jedź! – krzyknął na kierowcę, by zamaskować choć trochę efekt zaszkłonych łzami oczu. – Dowiem się, jak masz na imię?

– Basia... – Dziewczynka zaczynała rozumieć, że jest uratowana. – A ty?

– Emil...

– Zapewniali mnie, że moja rodzina żyje. – Sztajnberg obserwował wyloty luf lugerów.

– Wbrew stanowi faktycznemu. – Szczyszek schował broń do kieszeni płaszcza. – Wasza żona i synowie zginęli w Treblince w zeszłym roku.

– To nieprawda! – krzyknął rabin. – Knothe obiecał mi...

– Nie wiem, co ci, Żydzie, obiecał. Nie wiem, jaka obietnica zmusić może do współnictwa w szlachtowaniu dzieci...

– Żadnego z nich nie zabiłem!

– Być może... – skinął głową kapitan. – Powinniśmy zabić cię tak czy owak jako niemieckiego szpiega, ale... Nie umiem cię ocenić, po prostu nie umiem, wierzę jednak, że ocenisz się sam...

Szczyszek przyklęknął nad trupem Knothea i zabrał pistolet Niemca. Podał Ajzykowi Sztajnbergowi nóż, którym obersturmführer zamordował ośmioro dzieci.

– Za chwilę wrócimy... – Kapitan spojrzał rabinowi w oczy. – Żyły przecinaj wzdłuż, cięcie w poprzek jest mniej skuteczne, najlepiej celuj w tętnice. Chyba wiesz coś o tym?

– Emil... Dziwne imię...

– Co ty możesz, pannico, wiedzieć?

– O, ja wiem dużo...

– Wiem, że wiesz dużo... Nawet za dużo...

Kapitan Szczyszek i porucznik Dewidzki zeszli po schodach. Ajzyk Sztajnberg leżał w kałuży krwi obok Knothea. W gardle rabina po rękojeść tkwił nóż.

– Tego się nie spodziewałem... – szepnął Dewidzki. – Myśli pan kapitan, że odkupił swoje winy?

– Nie wiem... Wiem tylko, że się zabił. Wychodzimy!

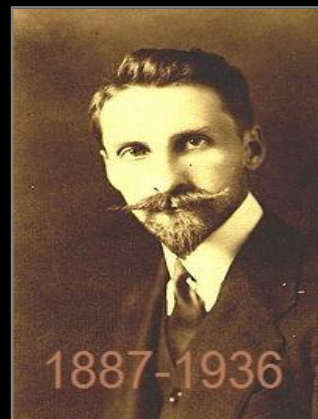
Słowo szefa kaliskiego Gestapo – hauptsturmführera Klausa Stroheima – było niewiele warte, ale cudowna menora cudowną była nie bez kozery. Gdy podniecony Stroheim zaczął kreślić plan upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu – pozbycia się Ericha Knothego, za którym coraz bardziej ciągnęło się odium magika i osoby niezbyt przydającej splendoru III Rzeszy, oraz likwidacji członków polskiego podziemia, którzy niemal sami wleźli w łapy hauptsturmführera – nie omieszkiał spróbować, czy kokaina jest rzeczywiście tak dobrego sortu, jak zachwalali dwaj volksdeutsche.

Narkotyk był rewelacyjnej jakości. Kiedy Szczyszek z Dewidzkim uciekali z domu Knothego, naćpany Stroheim w swoim gabinecie na ulicy Jasnej pochrapywał ze szwabską mordą wtuloną w porozkładane na stole amerykańskie banknoty.

Grabiński i lęk

Mówiono, że jego opowieści trzeba czytać późnym wieczorem... słuchać, czy wiatr okna nie otworzy i nawionie do izby czegoś nieokreślonego – utwory Stefana Grabińskiego budziły grozę – co ciekawe, mimo że w tym roku przypada siedemdziesiąta ósma rocznica jego śmierci, nadal wywołują niepokój.

Kochanek upiorów, magik niesamowitości, czarnoksiężnik literacki, odgadywacz zaświatów – nazywano go różnie. Wtłaczano w różne formuły – fantasta, pisarz grozy, niesamowitości; przyporządkowywano do tzw. epok literackich – jeszcze lub nie Młoda Polska, już Dwudziestolecie Międzywojenne, a przecież taki młodopolski. Wszystko to, aby oswoić niezwykłość, którą wielokrotnie podkreślali ci, którzy jego twórczość badali. By pokonać lęk przed tą literacką dziwnością, której niejedno imię. Kim był? Co pisał?



Z Grabińskim jest problem, z Grabińskim był problem, rzec można Grabiński – Stefan Grabiński – pisarz problematyczny. Pisarz wywołujący lęk. Jak go określić? Jak go sklasyfikować, opisać? Czy się nim zachwycać, czy odrzucać? Niby naturalne pytania, jakie mogą pojawiać się wobec literatury, wobec każdego tekstu kultury, ale w przypadku autora *Salamandry* to kwestie, które zaważyły na jego pisarskim istnieniu. Warto przyjrzeć się tej enigmatycznej postaci i jego równie zagadkowej twórczości.

Niniejszy tekst nie jest biografią, choć pewne fakty z życia Grabińskiego się pojawiają, ani katalogiem jego dzieł, chociaż nie obędzie się od wspomnienia paru z nich, tekst ten spróbuje być opowieścią o Grabińskim i jego twórczości z pewnego jednego, zasadniczego punktu, o którym za chwilę. Ale najpierw kilka faktów dotyczących jego życia i twórczości dla tych, którzy słabo kojarzą pisarza, który jest bohaterem niniejszego artykułu lub jego nazwisko nigdy nie obilo im się o uszy.

Profil osobowy Grabińskiego jest dosyć skromny, aczkolwiek to, co z niego wynika, zdaje się być ważne. Urodzony 26 lutego 1887 roku w Kamionce Strumiłowej nad Bugiem, uczeń lwowskiego gimnazjum, student literatury polskiej i filologii klasycznej Uniwersytetu Lwowskiego, później nauczyciel we Lwowie i Przemyślu, był człowiekiem wycofanym i jakby nie do życia. Dziedziczna choroba niewątpliwie wpłynęła na taki stan rzeczy – od dzieciństwa żyjący z wizją (spełnioną niestety) gruźlicy, która podstępnie wysysała jego siły życiowe, a także i twórcze.

Choroba odcisnęła piętno na jego tekstach w podwójny sposób – po pierwsze ograniczyła jego możliwości pisarskie – szczególnie widoczne było to w ostatnich latach jego życia – przejmująca jest relacja zaprzyjaźnionego krytyka literatury Jerzego Eugeniusza Płomińskiego, który odwiedził go w grudniu 1935 roku; po drugie – zdaje się mieć wpływ na konstruowanie jego bohaterów – innych, dziwnych, wyalienowanych. Bezpośrednim dowodem jest tekst zatytułowany *Zmora* – senna wizja choroby. Na jego introwertyzm i literackie zbliżanie się do rubieży – jak je nazywał – świata zapewne wpłynęła blaha z pozoru, a niemal katastrofalna w skutkach historia ostatnich lat gimnazjalnej edukacji. Zraniony przypadkowo w prawą dłoń przez kolegę zabrudzonym piórem, prawie przyplacił tę przygodę życiem – próchnica kości opierała się leczeniu, operacjom, w końcu Grabińskiego uzdrowił pewien wiejski znachor. Po tym wydarzeniu pozostała pisarzowi pamiątka w postaci blizny na ręce, a jak można wyczytać z jego tekstów, także (wzmoczone) poczucie bliskości śmierci, kruchości rzeczywistości, ale również istnienia cudownych mocy, które wymykają się ludzkiemu rozumowi.

Ta zaduma nad życiem, cudownością jego przejawów szła w parze u Grabińskiego ze wspomnianym wcześniej wycofaniem. Alienacji nie przemogły lata studiów ani uczenia w szkole. Mimo że uważano go za doskonałego pedagoga, nie czuł się dobrze w roli belfra. Spełniał się dopiero przy pisaniu tekstów. To było jego życie.

Zadebiutował w 1909 roku zbiorem *Z wyjątków. W pomrokach wiary* – tomik napisany pod pseudonimem Stefan Żalny przeszedł w zasadzie bez echa. Oceniany jako niezbyt udane wprawki pisarskie był zbiorem całkiem niezłych tekstów, które wskazywały już główne rejony zainteresowań Grabińskiego. Obok *Wampira*, który skupia w sobie kulturowe wyobrażenia o tytułowej istocie, interesującym tekstem jest *Na wzgórzu róż* – tekst intrygujący, zapewne oceniony przez samego autora pozytywnie, bo znajdzie się w wydaniu następnych nowel, którego całościowy tytuł wziął się od tytułu tego właśnie utworu. Utwór ten jest o tyle ciekawy, że mimo iż stworzony na progu pisarskiej kariery, stanowi kwintesencję twórczości Grabińskiego – mamy w nim wszystko to, co dla tego autora jest charakterystyczne: nastrój niepewności, napięcia, budowany ową niepewnością niepokój; jest jakieś dziwne miejsce, jest bohater, który znajduje się w nim (oczywiście jego zagadkowość może wiązać się z różnymi czynnikami – w przypadku *Na wzgórzu róż*, podstawowym jest zamknięty charakter przestrzeni, odgradzonej od człowieka, w którą główny bohater wkracza), jest wreszcie tajemnica, którą kryje owo miejsce, a która, odkryta przez postać literacką, zostaje dana czytelnikowi. Grabiński oczywiście w późniejszych tekstach ten model twórczo modyfikuje i rozwija, ale te elementy budujące napięcie fabuły są powtarzalne i widoczne.

Zbiór *Na wzgórzu róż* ujrzał światło dzienne w 1918 roku, przyjęty został aprobatywnie, następny – *Demon ruchu* (1919 r.) przyniósł mu sławę i zachwyt większości ówczesnych krytyków

literackich, w tym Karola Irzykowskiego (to on miał później uczynić uwagę o wieczornym czytaniu Grabińskiego). Zwrócono uwagę na jego indywidualność, oryginalność, podkreślano, że trzeba szukać dla niego nowej rubryki – odrębność Grabińskiego na polu literatury polskiej była dla współczesnych mu widoczna. Autor *Pałuby* widział w nim nie prowincjonalnego, zapomnianego pisarza, lecz twórcę, który swoją wyobraźnią może się równać z Poem (nawiasem mówiąc, też traktowanym w swoim czasie jako biedny pisarzyna, nie dość, że uwielbiający rozwiązywać szyfry, zagadki; to w dodatku nadużywający alkoholu – twórca przeklęty, który albo zapił się na śmierć, albo w najlepszym, tylko nie widzieć dla kogo, bo na pewno nie dla Poego, razie zmarł po pogryzieniu przez psa na wściekliznę). Wprawdzie biografia Grabińskiego nie obfituje w takie wydarzenia, jednak i jego życie obrosło w legendę straconego pisarza. Jest zresztą autorem tekstów, którym dzięki obrazowości bliżej jest do języka poezji niż prozy; a on sam w prozie próbował wyrazić to, czego dotyka poezja – istnienia.

Grabiński swoim zbiorem nowel *Demon ruchu* wpisał się w ówczesne zainteresowanie techniką, nie można jednak traktować zawartych w tym tomie utworów jedynie jako wytworów fascynacji wynalazkiem ludzkiej cywilizacji. Teksty, które poruszają, z braku lepszego terminu – tematykę pociągową – są utworami, w których Grabiński dotyka istotnego w swej twórczości tematu istnienia innej niż znana człowiekowi rzeczywistości, poszukiwania innego świata i osobności człowieka. Odczytywanie Grabińskiego jako fascynata kolei znacznie zubaża wartość jego twórczości. A taka lektura, obok odczytań stricte fantastycznych, przeważa w interpretacjach utworów autora *Na wzgórzu róż*. Reszta jego książek bywała różnie przyjmowana przez krytykę, w tym także przez baczne oko Irzykowskiego, stąd też powtarza się, że *Demon ruchu* jest najlepszą książką w dorobku pisarza. Mówić by można o pewnej ciągłości linii interpretacyjnej – Grabiński bywa autorem kolejowym nie tylko dla Karola Irzykowskiego, ale także dla Artura Hutnikiewicza, Stanisława Lema, Krzysztofa Vargi (w *Posłowie* do wznowienia *Demona...* stwierdza, że wspomniany zbiór to najśłynniejszy tom opowiadań o pociągach, ich niewytłumaczalnych katastrofach, pasażerach pociągów – tajemniczych osobnikach i zjawach nie z tego świata) czy W. Tomasika. Podejście pozostałych trąca myszką. Nawiasem mówiąc najlepszą, moim zdaniem, uwagę w dyspucie nad „kolejowością” twórczości Grabińskiego wygłosił przywoływany już Irzykowski, pisząc nowelę *Wagon astralny*. Jest to zresztą zręczne podsumowanie zmagania Grabińskiego z nierozumiejącą go krytyką, o tyle zręczne, że kpiące i z samej krytyki, i trochę – czego nie da się ukryć – z samego Grabińskiego. Kpiące jednak przede wszystkim z zapędów nadinterpretacyjnych odbiorców.

Jeśli mowa o reszcie jego książek – dobra passa (przynajmniej, jeśli pod uwagę weźmie się jego utwory w oczach krytyków) nie trwała jednak długo, po zbiorze opowieści kolejowych pojawiły się kolejno: *Szalony Pątnik* (1920), *Niesamowita opowieść* (1922) i *Księga ognia* wydana

w tym samym roku. Żaden z wymienionych zbiorów nowel nie zachwylił tak, jak historie o pociągach. A szkoda, bo i w tych późniejszych tomach są niezwykle perełki – o czym za chwilę.

W międzyczasie w jego życiu dochodzi do zdarzeń, zdarzeń znaczących, w które uwikłane są kobiety – bliskie mu kobiety – w 1917 roku ożenił się z Kazimierą Korwin-Gąsiorowską, z którą miał dwie córki – związek nie przetrwał zbyt długo – w 1921 roku żona zostawiła go. Drugą kobietą była siostra pisarza, poetka, która w 1918 roku zmarła. To wydarzenie było dla Grabińskiego wielkim przeżyciem. O ile te dwie odchodzą od niego, inna kobieta trwa przy nim niezmiennie – jego matka. Ona jest recenzentką jego tekstów, opiekunką chorego, powierniczką jego pomysłów i rozterek. Będzie przy nim do końca jego życia.

Grabiński mimo ciężaru osobistych przeżyć i pogłębiającej się choroby tworzy ciągle, poszukując nowych form wyrazu – „próbuję” powieści – i choć jest wirtuozem krótkich form narracyjnych, także i jego dłuższe utwory zasługują na uwagę. Wprawdzie nie były one tak dobrze przyjmowane jak nowele, ale ich istnienie warto odnotować. Ich atutem jest plastyczność obrazów, ich sugestywność, stopniowany nastrój niepokoju. W 1924 r. wydana zostaje pierwsza powieść Grabińskiego *Salamandra*, opowiadająca o perypetiach pewnego mężczyzny uwikłanego w dwa światy, na życie którego wpływa rzeczywistość innego rzędu, ujawniająca się w postaci niezwykle kuszącej rudowłosej kobiety.

Kolejne powieści to *Cień Bafometa* z 1926 roku, *Klasztor i morze* (1928) i *Wyspa Itongo* (1936). Nie zostały one przyjęte zbyt dobrze. Zarzucono im niespójności fabularne, zbytnią rozwlekłość i powtarzalność tematów, a nawet brak odpowiedniego warsztatu pisarskiego. Choć rzeczywiście można by znaleźć w tych tekstach słabsze partie, fragmenty czy wątki (szczególnie wychylenie w kierunku realizmu), które rozbijają jakościowo tekst, nie można Grabińskiemu zarzucić braku znajomości literatury, motywów, które były dla niego punktem wyjścia, odwołania, twórczej reinterpretacji.

W każdym z jego tekstów, niezależnie od długości i jakości (sprawiedliwie trzeba przyznać, że Grabiński bywa nierówny, jedne jego teksty rzeczywiście zachwycają, inne tracą przez swoją sztywność i fabularną sztywność) można zauważyć rys charakterystyczny dla tworzonej przez autora *Demonia ruchu* rzeczywistości – pojawia się coś lub ktoś, co jest inne, co budzi niepokój i grozę. Na tym opierają się fantastyczne światy Grabińskiego.

Z jednej strony jakby nic się nie działo, a zaczyna się dziać – niby zwyczajna rzeczywistość, a za chwilę stać może się zupełnie niezwykła. To sprawiało, że nazwany został *fantastykiem czystej krwi* (określenie wspomnianego już Karola Irzykowskiego), wpisany został w fantastykę (jego przynależność podkreśla chociażby Artur Hutnikiewicz). Ten ostatni określił go mianem dziwnego pisarza, zwracając uwagę na pozorność tej zwyczajności i realności w jego opowieściach. Rzeczywistość, miejsca, postacie, wydarzenia u Grabińskiego stają się niecodzienne, nieraz

nierealne, niezwykle, niesamowite – to ostatnie określenie jest słowem-kluczem w czytaniu autora *Salamandry*, szczególnie jako pisarza fantastycznego. Powieści Grabińskiego są niesamowite, on sam pisarzem niesamowitym bywa określany. Wprawdzie sam Grabiński nadał jednemu ze swoich tomów tytuł *Niesamowita opowieść*, biorąc jednak pod uwagę zawarte w nim nowele, autor pod pojęciem niesamowitości nie rozumiał fantastyki, lecz fenomeny rzeczywistości, które z istotą człowieka są nierozzerwalnie związane.

Ta niesamowitość okazała się dla Grabińskiego określeniem równie kłopotliwym, co jego nowele kolejowe. Stała się kolejną etykietką, którą opatrzone jego twórczość. Fakt ten pogłębił zbiorczy tytuł *Niesamowite opowieści*, który nadano wybranym nowelom – i który towarzyszył wznowieniom Grabińskiego, a wzięty został od wspomnianego zbioru opowiadań. I tak w 1958 pojawia się wznowienie pod tym tytułem. Taki sam tytuł nadano zbiorowi nowel wydanemu w 1975 roku, różnice polegały jedynie na dodaniu dwóch opowiadań i zrezygnowaniu ze skrótów edytorskich wydania z 1958 roku. Do pojęcia niesamowitości wcześniej odwoływał się przywoływany już Karol Irzykowski, który pojęcie to łączy z autorem *Księgi ognia*, mówiąc o tematach jego utworów jako niesamowitych – podkreśla, że pisarz zajmował się *duchami, czarownicami, czartami, rozdwojeniami ludzi, dziwadłami wałęsającymi się wśród urzędów nowoczesnych*. Z drugiej strony klasyfikuje Grabińskiego, zaliczając jego twórczość do „gatunku niesamowitego”, wskazując na fakt, że w odróżnieniu od innych autorów takiej literatury Grabiński jest autentyczny, potrafi *wywoływać dreszcz, bo miał go w sobie, żył* (Irzykowski powołuje się oczywiście na jego biografię – chorobę gruźliczą) *z lękiem za pan brat*.

Sam autor w swoich *Wyznaniach* wskazywał na dwa zasadnicze uczucia, które wpłynęły na jego teksty – zdumienie i lęk. U źródeł jego pisarstwa znajduje się zdumienie – na początku było zdumienie – pytanie zasadnicze – nad czym? Pisarz udzielił odpowiedzi, pisząc o uczuciu wielkiego zdumienia, pełnego czci i uwielbienia zarazem – zdumienia nad życiem i jego tajemniczością.

Zainteresowanie Grabińskiego zagadką ontologiczną, ukierunkowanie na to, co niejasne, niemieszczące się w ludzkim poznaniu; skupianie się na zjawiskach granicznych (w rozumieniu na granicy pomiędzy rzeczywistością ludzką i pozaludzką) to pojmowanie, postrzeganie świata z gruntu romantyczne. Świat w twórczości Grabińskiego jest bliski rzeczywistości z Mickiewiczowskich dzieł – wprawdzie zamiast Świtezianki mamy Czerwoną Magdę, zamiast Karusi, widzącej swego Jasieńka, mamy Szamotę i jego kochankę, ale istota świata jest ta sama. Gdzieś, kiedyś pojawia się w ludzkim wymiarze moment, w którym człowiek dostępuje kontaktu z czymś, kimś, czego nie zna ludzkie oko. Bohaterowie Grabińskiego niczym pielgrzym z *Drogi nad przepaścią w Czufut-Kale* – patrzą w dół – w tajemnicę. Inną oczywiście sprawą jest, czy spoglądają tam z własnej woli – jak Mickiewiczowski pielgrzym, czy nie.

Twórczość Grabińskiego koncentruje się wokół lęku. I to jest właśnie pojęcie, które służy

jako punkt odczytywania przeze mnie dokonań autora *Księgi ognia* – lęk – jego literacka odsłona, jego wywoływanie w akcji utworu, wywoływanie tekstem...

Warto najpierw przyjrzeć się, czego boją się jego bohaterowie. W zasadzie pytanie powinno brzmieć: czego się nie boją, bo jeśli czytamy się w utwory autora *Salamandry*, to można uznać, że boją się wszystkiego. I tak można by mówić – wymieniając w telegraficznym skrócie – o lęku przed ludźmi (w tym głównie przed kobietami), przed innym/obcym, przed światem, przed rzeczywistością innego rzędu, przed istnieniem, przed przestrzenią (tytułowego *Szarego pokoju* czy obszarów bardziej otwartych, jak na przykład w *Salamandrze*). Lęk budzi wszystko, jest to jednak uczucie wiążące się z ciekawością, przestrach połączony z fascynacją i zdziwieniem. Sam Grabiński zauważał: *Cudowność życia i jego przejawów, zagadkowość zdarzeń, owa dziwność, o którą potracamy niemal na każdym kroku, kazały mi patrzeć na świat w zaraniu dni rozszerzonymi od zdumienia oczyma dziecka, przepoiły uczuciem lęku i podziwu*. I chociaż bohaterów dziecięcych w jego twórczości w zasadzie nie ma (*Willa nad morzem*, *Dzieża*), to właśnie taki sposób patrzenia na świat, chłonięcia go, jest charakterystyczny dla większości postaci zapełniających karty jego dzieł.

Tak na marginesie – można doszukiwać się w przywoływanej wypowiedzi pisarza osobistych przeżyć, nie tyle chyba samej gruźlicy, ale wspomnianej już historii ze zranioną ręką i uzdrowieniem jej przez znachora, przeżytej pomiędzy 15 a 21 rokiem życia. Nie na marginesie – warto dodać, że zachwyt nad rzeczywistością, o którym wspomina pisarz, przejawiał się w jej kilkuwymiarowym postrzeganiu. Wielość świata, jego przejawów widać w twórczości pisarza na każdym kroku. Przestrzenie ludzkie nakładają się obszarami innego rzędu, te ostatnie zazwyczaj anektują, wchodzą w rejony znane i przypisane człowiekowi, zazwyczaj dzieje się to poprzez pojawienie się jakiejś postaci lub rzeczy, zjawiska (może to być wspomniana rudowłosa Kama z *Salamandry*, może to być cień na oknie) – ktoś lub coś może z tej innej rzeczywistości przechodzić w ludzki świat, inna rzeczywistość nakłada się na tę znaną człowiekowi. Tym, co z wielokrotnia świat jest to, co przychodzi z zewnątrz do człowieka, to także to, co jest immanentne – Grabiński wskazuje na kreacyjność myśli ludzkiej, która jest w stanie zbudować inną rzeczywistość – najdoskonalszą realizacją tego pomysłu jest nowela *Dziedzina*, traktująca o żyjącym na odludziu pisarzu, który wycofał się (jak się okazuje – pozornie) z życia literackiego. Jego ucieczka jest formą poszukiwania nowego środka wyrazu – i udaje mu się to – w opuszczonym domu naprzeciwko miejsca, które zamieszkuje na odludziu, powstają wytwory jego myśli, które przybierają postać cielesną. Nie muszę zdradzać, co owe wytwory będą chciały zrobić ze swoim pomysłodawcą, żeby uzyskać wolność...

Lęk u Grabińskiego budzą przestrzenie – nagle zaułki ulic, puste domy, opuszczone przez ludzi siedziby na rozstaju dróg; elementy przestrzeni – jak chociażby niedomknięte drzwi;

wywoływać mogą go także pory dnia i nocy – co ciekawe, nawet wonne popołudnie może być porą tajemnicy i zagrożenia (jak w przywołanym na początku *Na wzgórzu róż*). Spośród terytoriów, które wykreowane zostały na kartach utworów Grabińskiego, wszystkie niosą w sobie coś innego, pozornie zwyczajne (no może poza miejscem sabatu w *Salamandrze*), stają się areną dziwnych wydarzeń. Następuje jakby lekkie przesunięcie – pokój nie jest już tylko pokojem, dom naprzeciwnie nie jest tylko domem, na ścianie pojawia się kobiece oblicze, a zza ściany, gdzie nie ma prawa nic się znajdować, słychać coś... Osobną kategorię stanowią przestrzenie kolejowe – wagony, stacje, dworzec, które przemieniają samego bohatera, w których jest jakaś tajemna siła, mogąca przybrać jakąś postać lub oddziaływać bezcieleśnie na człowieka.

Ważną rolę w budowaniu grozy odgrywają sny, to osobne przestrzenie, w których bohaterom objawiają się znaki innego świata. Sen jest też momentem, w którym ludzka rzeczywistość ulega metamorfozie, także na jawie (jak w opowieści *Czarna Wółka* czy w *Projekcjach*), można także – co szczególne – wpływać na przestrzeń snu, jak w *Szarym pokoju*, gdzie bohater usuwaniem sprzętów z tytułowego obszaru wpływa na pojawiające się w jego śnie wydarzenia rozgrywające się w tym samym pokoju, w które uwikłany jest poprzedni, nieznan, a śniony przez niego lokator. Nastrój tego utworu, jego minimalizm fabularny przy jednoczesnym wysokim stopniu zmetaforyzowania sprawia, że jest to moim zdaniem jeden z najlepszych, najbardziej sugestywnych tekstów Grabińskiego. Zazwyczaj jednak przemiany miejsc związane są z tym, że materializuje się w nich coś lub ktoś. Nieraz czynnikami zmieniającym przestrzeń są pojawiające się w niej istoty.

Lęk budzą zatem i postacie – ludzkie i nieludzkie (choć w człowieka nieraz się wcielające czy do niego się upodabniające, czy będące człowiekiem obdarzonym jakąś nadprzyrodzoną właściwością – i tu po raz kolejny wyłania się Kama z *Salamandry*, jak nie przymierzając z lustra, w którym pojawia się bohaterowi powieści; wampiryczna kochanka Szamoty, tytułowy *Smoluch*, *Czerwona Magda*, wielka baba z *Czadu*, sobowtóry – na przykład w *Problemacie Czelawy*, czy Brzechwa z *Zeza* lub stwory nieantropologiczne – jak biały wyrak z noweli o takim tytule). Można by nazwać je potworami, Irzykowski w swoim pożegnaniu pisarza zauważał, że *Grabiński lotną wyobraźnią jeździł po „mare tenebrarum”, polował na blakające się tam potwory i potworki, pogrążał się w książkach o gusłach, o czarnych mszach, o demonach, o spirytyzmie, przebijał się poprzez nie do świata „innego”. Faust gimnazjalny starej daty. Nie mogąc sam wywołać duchów i demonów, pisał je.*

Daleka byłabym od określania tych postaci potworkami, określenie to umniejsza ich znaczenie. Grabińskiemu zdaje się nie chodziło o powierzchowne, w zabawnym tonie straszenie. Raczej o wskazanie, że coś/ktoś tajemniczego jest tuż obok nas i może w nasz świat wkroczyć, a ta ingerencja nie przejdzie bez echa. Potwory Grabińskiego są sugestywne, nie dlatego, że wyglądają

przerażająco (niektóre z nich rzeczywiście nie mają przyjemnej powierzchowności – jak chociażby podwójny stwór w *Czadzie* czy *Białym Wyraku*, ale inne przyciągają swą urodą, jak Kama czy mniszka z *Projekcji*), ale dlatego, że mogą w każdej chwili zjawić się, że granica pomiędzy światami w zasadzie nie istnieje.

Istotne jest miejsce, w którym pojawiają się potwory, ta wzajemna zależność przypomina sprzężenie zwrotne. Potwory Grabińskiego można nazwać przestrzennymi: zaliczałyby się do nich – nazwijmy je – potwory kolejowe (tytułowe stwory, czyli Smoluch, Demon ruchu), jak i domowe (Biały Wyrak, Czerwona Magda) oraz potwory erotyczne, które istnieją w zamkniętych, intymnych obszarach pokoi czy domu (Kochanka Szamoty, Sara, cień mniszki z noweli *Projekcje*). Potwory są u Grabińskiego przypisane terytoriom; mogą zostać rozpoznane przez człowieka, który w danej przestrzeni się znajduje: Smoluch ukazuje się konduktorowi, Czerwona Magda gaszącemu pożar ojcu, Biały Wyrak (żyjący w kominach) ukazuje się kominiarzom. Spotkanie człowieka z potworem jest niebezpieczne dla tego pierwszego, niekiedy może kończyć się śmiercią, zawsze kończy się ingerencją w ludzką rzeczywistość. Przemienia ją, modyfikuje – w tym kontekście potwory są nie tylko elementem wywołującym strach, ale znakiem zmienności i różnorodności życia, świata.

Różne istoty, które raz są bardziej, a raz mniej (bardziej materialne zdają się te, które przybierają fizyczną postać, niż te, które na przykład śnią się bohaterom) same ujawniają się człowiekowi (czasem może on je także przywołać), przybierają postać rozpoznawalną przez niego, symbolizują jego lęki.

Zarówno terytoria, jak i poruszające się po nich istoty zamknięte zostają przez Grabińskiego w obrazach, stanowiących o sukcesie jego twórczości. To one górują nad fabułą, to one budują napięcie. Cechą tekstów Grabińskiego jest wyobraźniowość (na nią zwracał uwagę w swoich zachwytach nad pisarzem przywoływany już Irzykowski). I to jest właśnie wielki atut pisarski autora *Cienia Bafometa* – budowanie takich obrazów, które oddziałują na czytelnika, które budzą niepokój.

Oczywiście sprawą indywidualną jest to, co wywołuje strach w odbiorcach, co na nich, mówiąc kolokwialnie „działa”. Nawet przy archetypowych odczytaniach naszych zachowań uznać trzeba, że każdy boi się czegoś innego. Ale Grabiński zdaje się wychodzić ponadto, buduje poczucie grozy, któremu nadaje uniwersalność. Próbuje on wyrażać niewyraźne – zamknięte w znakach rozpoznawalnych, znakach, które sprawiają, że opowieści Grabińskiego nadal oddziałują na czytających, że nowi fascynaci autora *Demonu ruchu*, sięgając po jego teksty, odczuwają ten niepokój, zaklęty w słowach, ten dreszcz, ten lęk... przed nieznanym.

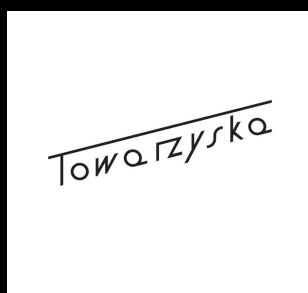
Eliza Krzyńska-Nawrocka (ur. 1983) – doktor nauk humanistycznych, historyk literatury. Autorka monografii *Ciemne terytoria. Człowiek i świat w prozie Stefana Grabińskiego* (Kraków 2012). Mieszka i pracuje w Tarnowie.

PARTNERZY



STRASZNE-HISTORIE.PL

ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.

Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

